MAGAZYN

Ekspert: Szkoła nigdy nie była miejscem w 100 proc. bezpiecznym i nim nie będzie
– Str. 14-15

Hotel Sanssouci był legendą w PRL. Luksusowe miejsce w Karpaczu znów nas olśni?
– Str. 18-19

Telemagazyn wraz z programem telewizyjnym i omówieniami najciekawszych propozycji

Nr ISSN 2353-6152
Nr indeksu 350-206
42
9 772353 615057

www.gazetawroclawska.pl

Nr 241 | Cena 6,50 zł (w tym 8% VAT)

Piątek, 16.10.2026

78 lat

Gazeta WROCŁAWSKA

Relaks

Krzyżówki do kawy. Nowości w programie TV

Warszawa

Prezydent Sutryk na ławie oskarżonych stołecznego sądu

Wczoraj miał się rozpocząć proces w sprawie afery Collegium Humanum. Wśród oskarżonych jest prezydent Wrocławia Jacek Sutryk
– Str. 4

Kultura

Olga Tokarczuk zaprezentowała nową powieść w Hali Tysiąclecia

Takiego spotkania autorskiego nie miał we Wrocławiu żaden pisarz. Noblistka przedstawiła książkę „Świata jest za dużo" tysiącom osób
– Str. 2

Bezpieczeństwo

Zbudują nową bazę dla amerykańskiego lotnictwa

Na wrocławskim lotnisku powstaną nowe płyty postojowe, drogi kołowania i budynki techniczne. Będą tu lądować największe amerykańskie samoloty transportowe
– Str. 8

FOT. WIKIMEDIA COMMONS/ROLAND BALIK

REKLAMA

0011584361

35 LAT HISTORII
JEDNEJ Z NAJSTARSZYCH NIEPUBLICZNYCH UCZELNI W POLSCE

1991 Sądecko-Podhalańska Szkoła Biznesu

1992 WYŻSZA SZKOŁA BIZNESU NATIONAL-LOUIS UNIVERSITY

2026 Akademia WSB-NLU

eprasa.pl c1e91c68ff

POLECAMY

JUTRO: Kulinaria. Grzyby w roli głównej PONIEDZIAŁEK: Wydarzenia sportowe weekendu

16.10.2026
Piątek

Dziś imieniny: Gaweł, Jadwiga, Grzegorz, Emil, Florentyna
Telefon alarmowy: 112

GAZETA WROCŁAWSKA

Redaktor naczelna Maja Majewska
Z-ca redaktor naczelnej Mateusz Różański
Wydawcy Grzegorz Chmielowski, Cyprian Dmowski

www.gazetawroclawska.pl

Polska Press Makroregion Zachód
Redakcja ul. św. Antoniego 2/4 (wejście A, I p.), 50-073 Wrocław
tel. 71 37 48 151, 71 37 48 100
redakcja@gazeta.wroc.pl
Prezes Makroregionu Robert Glinkowski
Dyrektor marketingu oddziału Anna Bijak-Bednarska
Druk Polska Press Oddział Poligrafia, 41-203 Sosnowiec Milowice, ul. Baczyńskiego 25a

POLSKA PRESS GRUPA

Wydawca Polska Press Sp. z o.o.
ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa, tel. 22 201 44 00, fax: 22 201 44 10
Prezes Zarządu Polska Press Grupy Robert Feluś
Redaktor naczelny Polska Press Grupy Marek Twaróg
Projekt graficzny, dyrektor artystyczny PPG Tomasz Bocheński
Dyrektor kolportażu PPG Tomasz Osoliński
Biuro Konsumenta PPG biurokonsumenta@polskapress.pl, tel. 12 688 85 10

©℗ - umieszczenie takich dwóch znaków przy Artykule, w szczególności przy Aktualnym Artykule, oznacza możliwość jego dalszego rozpowszechniania tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem zamieszczonym na stronie www.gazetawroclawska.pl/tresci i w zgodzie z postanowieniami niniejszego regulaminu.

Komentarz

Janusz Michalczyk: Sędzia kiwa piłkarzy i strzela gola, czyli o sprawie Książula

publicysta

Smakowała ci pizza Książula? – zapytałem kolegę. – Nie lubię mrożonek – odparł. Chwilę wcześniej zapewniał mnie, że recenzent z internetu jest w porządku, a fala hejtu, która się na niego wylała, to przejaw czystej zawiści wobec faceta z ludu, który zrobił karierę. Niektórzy spekulują, że na umowie z siecią Żabka zarobi grube miliony, a on przecież tylko wymyślił składniki kosztującej 25 zł pizzy i dał jej swą twarz.

Ktoś, kto nie kojarzy gościa, może zapytać, skąd ta popularność? Zaczynał od oceniania lokali z kebabami i sprawdzania smaku jedzenia serwowanego na ulicy, a teraz wizytuje słynny hotel w Pobierowie albo gani telewizyjnego guru od kulinariów – Roberta Makłowicza. Cóż, Książulo jest inteligentny, zabawny, pomysłowy i zachowuje się jak wasz znajomy, chłopak z podwórka.

Do tej pory uchodził za niezależnego, jego opinie były dla wielu osób wiarygodne, ale niedawno zaryzykował, gdy wszedł w układ z Żabką. To trochę tak, jakby sędzia w trakcie meczu dopadł piłki, pognał na bramkę, strzelił i czekał na oklaski. Dlatego nawet osoby sympatyzujące z Książulą mają teraz kłopot z wyjaśnieniem jego postawy.

Najciekawsze, że wcale nie wygląda, by stracił na popularności. Do polecanych przez niego lokali wciąż ustawiają się kolejki klientów, głównie młodych ludzi. Wieść niesie, że pizzą Książula zajadają się studenci. Być może tak jest, ale pamiętam, że moja – studiująca kilka lat temu – kuzynka permanentnie zapychała żołądek pierogami za 6 zł. Różnica w cenie obiadu: 19 zł. Czyżby status materialny studenta tak mocno się podniósł? Bardziej prawdopodobne, że w przypadku pizzy działa efekt nowości i Książulo będzie musiał wkrótce wymyślić coś innego.

AUTOPROMOCJA

Prenumeruj „Gazetę Wrocławską”

tel. 71 727 62 37
bok.prenumerata@polskapress.pl
prenumerata.gazetawroclawska.pl

POGODA

dziś 16°C/7°C

jutro 16°C/7°C

WROCŁAW

„Świata jest za dużo”. Olga Tokarczuk z nową książką

Robert Migdał

Fani twórczości naszej noblistki - Olgi Tokarczuk - przyjechali z całej Polski na światową premierę jej powieści „Świata jest za dużo”. Spotkanie odbyło się we wrocławskiej Hali Stulecia w środowy wieczór. 4200 osób słuchało laureatki, która opowiadała o swojej najnowszej książce.

FOT. PAWEŁ RELIKOWSKI

Olga Tokarczuk: Jesteśmy różni od siebie, ale te różnice między nami są dobre. One są ewolucyjne, one pozwalają społeczeństwu przetrwać

Nowa książka Olgi Tokarczuk to licząca prawie 700 stron powieść „Świata jest za dużo”. Akcja rozgrywa się na Dolnym Śląsku - we Wrocławiu i Wałbrzychu. – Ta książka jest moim aktem wiary w siłę życia, w moc budowania nowego po katastrofie, w potęgę różnorodności. Mam nadzieję, że przysłuży się lepszemu rozumieniu naszej złożonej zbiorowej tożsamości – mówi Olga Tokarczuk.

Światowa premiera powieści odbyła się w środę wieczorem, 14 października, we Wrocławiu - mieście, w którym dzieje się akcja książki i w którym od wielu lat mieszka nasza noblistka.

Na pięknie zbudowanej scenie (w tle była widoczna dekoracja - ruiny Festung Breslau) rozmowę z autorką poprowadziła prof. Urszula Glensk – literaturoznawczyni, wykładowczyni Uniwersytetu Wrocławskiego, krytyczka literacka i pisarka.

Na początku spotkania noblistka zdradziła, że pomysł napisania tej książki pojawił wiele lat temu, na początku „lat dwutysięcznych”. - Pisać można tylko o rzeczach, które są energetyczne, które niosą jakieś emocje (...) Ta książka była taką książką, którą sobie obiecywałam od wielu, wielu lat i wiedziałam, że kiedyś ją napiszę, żeby opowiedzieć te wszystkie historie, które słyszałam od teściów, od rodziców, od dziadków. Po prostu przyszedł ten moment - opowiadała Olga Tokarczuk. - Próbowałam tę powieść napisać wcześniej. Zbierałam dokumenty, rozmawiałam z ludźmi. Ale zawsze coś wypadało, jakaś pilniejsza sprawa i odciągała mnie od tego tematu. I dopiero właśnie teraz udało mi się to skompletować w całość - dodała.

Noblistka podkreślała jednak dobitnie, żeby nie traktować „Świata jest za dużo” jako dokumentu - opowieści o ludziach, którzy przyjechali na Ziemie Odzyskane. To literacka opowieść, a nie dokumentalny spis faktów z życia repatriantów, pierwszych osadników, pionierów Wrocławia.

Książka opowiada o ludziach, którzy przeżyli II wojnę światową i spotkali się w tym samym miejscu, w tym samym czasie. Różni ludzie, z różnych stron, i kobiety, i dzieci, i mężczyźni. Różni, ale razem ich historie tworzą całość - jedną opowieść...

- Jesteśmy różni od siebie, ale te różnice między nami są dobre. One są ewolucyjne, one pozwalają społeczeństwu przetrwać. W społeczeństwie przydają się pisarze, którzy opowiadają jakieś historie, przydają się filmowcy, ale przydają się i górnicy, i nauczyciele. I przydają się też ci, którzy właściwie nic nie robią - też jakoś przydają do czegoś. Mam wrażenie, że czasami nie doceniamy tego, jaką my, jako społeczeństwo, tworzymy skomplikowaną tkankę, której celów nie potrafimy rozpoznać. I dopiero pewna sytuacja, dopiero to, co nas czeka, wyzwala z nas te wszystkie energie, których jesteśmy nosicielami. I trochę w taki sposób myślałam pisząc tę książkę: że wezmę sobie kilka osób i stworzę o nich opowieść. I one będą opowiadały swoje historie, ale bez żadnej z tych osób nie byłoby całości tej całej opowieści - mówiła Olga Tokarczuk i dodawała:

- Świat, w którym żyjemy, nie jest jakąś wyspą ludzi, którzy coś robią, tworzą. Jesteśmy bardzo głęboko wkorzenieni w naturze: jesteśmy zależni od klimatu, od wirusów, od poziomów morza, od temperatury.

Na koniec pisarka zdradziła, że poczuła radość, gdy skończyła pisać powieść:

- Cieszę się, że ta książka jest napisana i że udało mi się to wszystko jakoś zamknąć klamrami, że ma początek i koniec, i myślę, że nawet ma punkt kulminacyjny (uśmiech).

eprasa.pl c1e91c68ff

MATERIAŁ INFORMACYJNY OK OPERATOR KAUCYJNY
0011587709

„System działa, ale to dopiero pierwszy etap". Rok systemu kaucyjnego w Polsce

O pierwszym roku funkcjonowania systemu kaucyjnego w Polsce, jego dotychczasowych efektach, największych wyzwaniach oraz zmianach, które są niezbędne do usprawnienia jego działania, rozmawiamy z Tomaszem Suligowskim, prezesem OK Operator Kaucyjny.

Minął już rok od wprowadzenia systemu kaucyjnego w Polsce. Po co nam system kaucyjny?

Podstawowym celem systemu kaucyjnego jest zabezpieczenie dostępu do surowców i wykorzystanie ich ponownie w gospodarce. Chodzi o to, żeby opakowania nie stawały się odpadem, lecz wracały do obiegu jako wartościowy materiał. W tym scenariuszu z butelki powstaje kolejna butelka, a z puszki kolejna puszka.

To kwestia nie tylko ekologii, ale również bezpieczeństwa surowcowego i konkurencyjności polskiej gospodarki. Dobrej jakości surowiec z recyklingu może ponownie wykorzystywać krajowy przemysł, ograniczając zapotrzebowanie na surowce pierwotne i zależność od dostaw zewnętrznych.

Czystsze otoczenie i mniejsza liczba opakowań porzucanych w przestrzeni publicznej są oczywiście ważnymi efektami systemu. Nie powinny jednak przesłaniać jego podstawowego zadania: skutecznego odzyskiwania surowców i zamykania ich obiegu.

Jak ocenia Pan ten okres? Czy system spełnił pokładane w nim oczekiwania?

Z perspektywy konsumenta system działa, a Polacy coraz lepiej odnajdują się w nowych zasadach. Na początku zdarzało się, że butelkomaty odrzucały opakowania, które nie były jeszcze objęte systemem albo nie zostały prawidłowo zarejestrowane przez producenta w bazie produktów kaucyjnych. Problemem bywała również organizacja opróżniania urządzeń. To typowe wyzwania przy uruchamianiu tak złożonego przedsięwzięcia, wymagającego jednoczesnego działania wielu uczestników systemu kaucyjnego.

Nie oznacza to jednak, że możemy już uznać cały projekt za zakończony sukcesem. Sprawny zwrot opakowania to dopiero pierwszy etap. Najważniejsze jest, jaka część zebranego materiału rzeczywiście trafia do recyklingu i wraca do produkcji nowych opakowań. Ostatecznym miernikiem skuteczności systemu powinno być więc nie tylko to, ile opakowań zebraliśmy, ale przede wszystkim to, co stało się z odzyskanym surowcem, czy został zawrócony w obiegu zamkniętym. Musimy mieć wiarygodne dane o tym, ile materiału przekazano do recyklingu, jaka część wróciła do produkcji nowych opakowań. Dopiero takie podejście pozwala rzetelnie ocenić efektywność systemu.

My jako OK Operator prezentujemy nasze dane, zebraliśmy ponad 1,4 miliarda opakowań, co przekłada się na ponad 30 tysięcy ton materiału przekazanego do recyklingu. To najbardziej skuteczny recykling, bo już u źródła udaje nam się odpowiednio posortować materiał i oddzielić PET od puszek. A w ponad 20 sortowniach, z którymi współpracujemy w Polsce, sortujemy materiał na kolory. Jak wygląda sytuacja w przypadku innych operatorów, tych informacji nie mamy. Pytanie, czy ma MKiŚ.

System z perspektywy konsumenta działa, ale co wciąż wymaga poprawy? Jakie są obecnie największe wyzwania? Co nie działa?

Największym wyzwaniem jest dziś przejście od etapu sprawnej zbiórki do etapu pełnej koordynacji i przejrzystego rozliczania całego systemu. Polska przyjęła model wielooperatorski, w którym działa kilku niezależnych operatorów. Taki model daje możliwość konkurencji i optymalizacji kosztów, ale wymaga również wspólnych reguł współpracy.

Po roku działania systemu widzę wiele luk w ustawie. Kluczowym problemem w obecnych przepisach pozostaje brak precyzyjnej definicji tzw. clearing fee, czyli opłaty rozliczeniowej między operatorami za zbiórkę opakowań innych producentów. Ta kwestia nie jest ostatecznie rozstrzygnięta, co prowadzi do sporów. Nie ma też jasnego stanowiska ministerstwa.

Kolejna sprawa to kwestia nieodebranej kaucji. To jeden z najbardziej zapalnych punktów całego systemu, szczególnie w kontekście finansów. W obrocie sześciu działających operatorów znajduje się ok. 5 mld zł depozytu konsumenckiego. W ustawie brakuje pełnej definicji i sposobu postępowania z niezwróconą kaucją, która powinna być przeznaczana na rozwój systemu, a nie stanowić własność operatora czy producenta. Ustawa nie interpretuje tego jednoznacznie.

Nie istnieje obecnie żadna państwowa, ustawowa instytucja kontrolna, która monitorowałaby przepływy finansowe i materiałowe oraz weryfikowała realny poziom recyklingu w całym kraju.

Rozwiązaniem, które może uporządkować te kwestie, jest powołanie niezależnej instytucji parasolowej z udziałem przedstawicieli branży i regulatora, która koordynowałaby wspólne standardy, wymianę danych i zasady rozliczeń.

Potrzebujemy doprecyzowania przepisów, dialogu z administracją i regularnego analizowania danych. Chodzi o to, aby poprawiać działanie systemu tam, gdzie praktyka ujawniła niedoskonałości.

Czy wypracowane przez nas rozwiązania mogą stać się przykładem dla innych krajów?

Tak, pod warunkiem, że będziemy potrafili pokazać nie tylko skalę zbiórki, ale również efektywność kosztową i rzeczywiste rezultaty recyklingu.

Chciałbym, żeby Polska była przykładem nie tylko tego, jak szybko uruchomić system kaucyjny, ale przede wszystkim tego, jak stworzyć efektywny mechanizm zamkniętego obiegu opakowań, który łączy korzyści środowiskowe z bezpieczeństwem surowcowym i racjonalnymi kosztami dla przedsiębiorców.

eprasa.pl c1e91c68ff

WROCŁAW/DOLNY ŚLĄSK

• **Dyżur reportera**
email: redakcja@gazetawroclawska.pl
Facebook: @GazetaWrocławska

ZGORZELEC

„Szakal" i jego wspólnik skazani prawomocnie 34 lata po napadzie

Konrad Bałajewicz

Sąd odwoławczy utrzymał 12 października w mocy rozstrzygnięcie dotyczące winy mężczyzn, którzy dokonali napadu w Zgorzelcu w 1992 roku, w wyniku którego zmarł 25-letni mężczyzna.

Do zbrodni doszło 21 stycznia 1992 roku w Zgorzelcu. Celem napastników był kantor wymiany walut w Domu Handlowym Centrum przy ul. Okrzei. Dwaj zamaskowani mężczyźni zaatakowali pracowników kantoru około g. 18, gdy ci szli w kierunku zaparkowanych samochodów. Nieśli skórzaną torbę z pieniędzmi pochodzącymi z utargu.

Bandyci strzelali do Cezarego Ł. i Grzegorza C., właściciela kantoru. Pierwszy miał 25 lat. Został poważnie ranny w lewe ramię i płuca i zmarł. Właściciel kantoru przeżył zamach.

Sprawcy zabrali torbę z gotówką. Jej wartość oszacowano na około miliarda ówczesnych złotych. Ukryli się na terenie Zgorzelca. Sprawa pozostawała nierozwiązana przez ponad 30 lat.

Wrócono do niej dopiero na początku 2024 roku. Nowe informacje uzyskali funkcjonariusze Centralnego Biura Śledczego Policji , zajmujący się zwalczaniem zorganizowanej przestępczości kryminalnej. Czynności prowadzono pod nadzorem prokuratora Dolnośląskiego Wydziału Zamiejscowego Prokuratury Krajowej we Wrocławiu.

Według nowych ustaleń śledczych bezpośrednimi wykonawcami napadu byli Zbigniew K. oraz Józef S., który już nie żyje. O zorganizowanie przestępstwa oskarżono natomiast Romualda Ł., pseudonim „Szakal".

Prokuratura zarzuciła mu kierowanie działaniami napastników. Romuald Ł. obserwował okolice kantoru przed napadem i przebywał w Zgorzelcu w dniu zbrodni. Miał także przekazać wykonawcom dwa pistolety z amunicją, zorganizować im kryjówkę i mieć decydujący wpływ na podział zrabowanych pieniędzy. Romuald Ł. i Zbigniew K. zostali oskarżeni o zabójstwo Cezarego Ł. na tle rabunkowym, usiłowanie zabójstwa Grzegorza C. oraz kradzież gotówki.

28 listopada 2025 r. Sąd Okręgowy w Jeleniej Górze uznał obu mężczyzn za winnych zarzucanych im czynów. Romuald Ł. ps. „Szakal" został skazany na 25 lat pozbawienia wolności, a Zbigniew K. na dożywocie.

12 października br. sąd odwoławczy utrzymał w mocy rozstrzygnięcie dot. winy obu mężczyzn. Nie zmienił również kary 25 lat więzienia orzeczonej wobec Romualda Ł. W przypadku Zbigniewa K. zmienił jednak dożywocie na 25 lat pozbawienia wolności. Wyrok jest prawomocny.

FOT. SCREEN Z PROGRAMU TV 997

WROCŁAW/WARSZAWA

Prezydent Wrocławia na ławie oskarżonych

Karolina Kwiatek

W czwartek miał rozpocząć się proces dotyczący Collegium Humanum. Na ławie oskarżonych zobaczyliśmy m.in. polityków, samorządowców i byłych szefów Straży Pożarnej. Wśród nich był także prezydent Wrocławia Jacek Sutryk. Proces odroczono.

FOT. ADAM JANKOWSKI

Wśród oskarżonych, w Sądzie Okręgowym w Warszawie, znalazł się też wczoraj Jacek Sutryk

Decyzja o odroczeniu do 3 grudnia procesu ws. Collegium Humanum zapadła po ponadgodzinnym posiedzeniu organizacyjnym. Wniesiono na nim wnioski o umorzenie sprawy lub zwrot sprawy prokuraturze, celem uzupełnienia ewentualnego postępowania. Zostały odrzucone, dlatego najprawdopodobniej na początku grudnia będziemy mieli szansę usłyszeć tłumaczenia prezydenta Wrocławia. Jacek Sutryk utrzymuje, że jest niewinny.

- Postępowanie z pewnością będzie skomplikowane z uwagi na charakter osób, ich liczbę, ale też charakter zagadnienia - powiedział prokurator Piotr Żak z Prokuratury Krajowej. - Moim zdaniem dowody są mocne. Podkreślam, to nie są tylko „wyjaśnienia tylko jednego z oskarżonych, który poszedł na współpracę z prokuraturą", ale też dowody zupełnie innego rodzaju, takie jak: zabezpieczone nośniki danych, zapisy z systemów komputerowych, maile, rozmowy z kontroli operacyjnej, która została odtajniona - dodaje.

Prokuratura postawiła zarzuty 29 osobom. Wśród nich są postacie z pierwszych stron gazet, jak europoseł PiS Ryszard Czarnecki (oskarżony o powoływanie się na wpływy i pranie brudnych pieniędzy - red.) czy prezydent Wrocławia Jacek Sutryk. Śledczy zarzucają włodarzowi stolicy Dolnego Śląska 4 przestępstwa, za co grozi mu do 8 lat więzienia. Trzy z nich dotyczą oszustwa, czwarte korupcji.

Dyplom, który otworzył drzwi do pieniędzy

- Prokurator przedstawił (Jackowi S. - red.) zarzut korupcyjny dotyczący wręczenia korzyści majątkowej rektorowi Collegium Humanum, Pawłowi C., w zamian za wystawienie poświadczającego nieprawdę świadectwa ukończenia studiów podyplomowych „Executive Master of Business Administration" - informowała Katarzyna Calów-Jaszewska z Prokuratury Krajowej.

Po co prezydentowi Wrocławia miałby być dyplom MBA? Zdaniem śledczych dokument otwierał mu furtkę do zasiadania w radach nadzorczych 3 spółek samorządowych, co miało pozwolić mu na wzbogacenie się o blisko pół miliona zł. Z ustaleń dziennikarzy „Wrocławskiej" wynika, że chodzi o: Koleje Dolnośląskie, Śląskie Centrum Logistyki i Regionalne Centrum Gospodarki Wodno-Ściekowej w Tychach.

- Czuję się poszkodowany w tej sprawie, czuję się niewinny. Jestem przede wszystkim dumnym absolwentem z wyróżnieniem, który miał stypendium naukowe i przez całe życie ciężko uczył się i pracował. Właśnie dlatego bardzo mocno mi zależy, aby tę sprawę rozwiązać - mówił prezydent Jacek Sutryk podczas spotkania z mediami z 27 listopada 2025 roku.

Przypominamy, że kilka tygodni temu 6 z 29 osób, które zostały wymienione przez prokuraturę w pierwszym akcie oskarżenia, usłyszały już wyrok. Sąd skazał ich na wysokie grzywny, a kilkoro z nich także na kary więzienia (w zawieszeniu). Oskarżeni przyznali się wcześniej do winy.

REKLAMA 0011599447

WYCIĄG Z OGŁOSZENIA

Dyrektor Instytutu Archeologii i Etnologii PAN
podaje do publicznej wiadomości, iż
OGŁASZA CZWARTY PRZETARG USTNY NIEOGRANICZONY
NA NAJEM POMIESZCZEŃ USŁUGOWYCH WRAZ Z CZĘŚCIĄ DZIEDZIŃCA
w budynku zabytkowym położonym we Wrocławiu przy ul. Więziennej 6, na działce nr ewid. 42, obręb Stare Miasto. Dla nieruchomości Sąd Rejonowy dla Wrocławia-Krzyków we Wrocławiu, IV Wydział Ksiąg Wieczystych prowadzi księgę wieczystą nr WR1K/00105774/2.

Cena wywoławcza za pomieszczenia na parterze budynku (skrzydło zachodnie): 9 900,00 zł/m-c plus podatek VAT
Wysokość wadium: 1 980,00 zł
Cena wywoławcza za ogródek: 1200,00 zł/m-c plus podatek VAT
Wysokość wadium: 240,00 zł
Termin przetargu: 19 listopada 2026 r. godz. 10.00

Miejsce przetargu: siedziba Ośrodka Badań nad Kulturą Późnego Antyku i Wczesnego Średniowiecza IAE PAN we Wrocławiu, ul. Więzienna 6, Sala Konferencyjna.

Szczegółowe informacje w sprawie można uzyskać: Ośrodek Badań nad Kulturą Późnego Antyku i Wczesnego Średniowiecza IAE PAN we Wrocławiu, przy ulicy Więziennej 6, tel.: (71) 344 16 08 wew.34.

Ogłoszenie o przetargu: opublikowane na stronie internetowej Instytutu: www.iaepan.edu.pl (zakładka BIP przetargi) na stronie Ośrodka Badań nad Kulturą Późnego Antyku i Wczesnego Średniowiecza IAE PAN www.arch.pan.wroc.pl oraz wywieszone na tablicy ogłoszeń w Ośrodku Badań nad Kulturą Późnego Antyku i Wczesnego Średniowiecza IAE PAN we Wrocławiu, przy ulicy Więziennej 6 oraz na tablicy ogłoszeń w siedzibie Instytutu w Warszawie, al. „Solidarności"105.

REKLAMA 0011599295

ZAWIADOMIENIE
BURMISTRZ ŚRODY ŚLĄSKIEJ

zawiadamia, że w okresie od 16.10.2026 r. do 6.11.2026 r. w siedzibie Urzędu Miejskiego w Środzie Śląskiej, Pl. Wolności 5 na tablicy ogłoszeń przy pok. nr A-7 zostanie wywieszony wykaz:
- nieruchomości przeznaczonej do najmu na okres do 3 lat w trybie bezprzetargowym. Przedmiotem najmu jest lokal użytkowy położony w Szczepanowie przy ul. Średzkiej 19 o powierzchni 113,60 m². Lokal użytkowy z przeznaczeniem do wykorzystania przedmiotu najmu jako miejsca kontynuowania i prowadzenia SPZOZ ze specjalistyką związaną z usługami medycznymi w sektorze Ochrony Zdrowia w Wiejskim Ośrodku Zdrowia w Szczepanowie.

Wykaz jest umieszczony na stronie internetowej Gminy Środa Śląska pod adresem: www.srodaslaska.pl i www.bip.srodaslaska.pl

eprasa.pl c1e91c68ff

MATERIAŁ INFORMACYJNY: MĘDRECKI, WILK I WSPÓLNICY KANCELARIA ADWOKATÓW I RADCÓW PRAWNYCH SPÓŁKA KOMANDYTOWA 0011589066

Sankcja kredytu darmowego. Promocja banku czy prawo konsumenta?

Pomimo że jeszcze kilka lat temu niewielu konsumentów słyszało o sankcji kredytu darmowego, obecnie świadomość kredytobiorców jest znacznie większa. Sankcja kredytu darmowego to jeden z elementów ochrony konsumenta na rynku kredytowym.

Czym właściwie jest sankcja kredytu darmowego?

Sankcja kredytu darmowego (SKD) została uregulowana w art. 45 ustawy o kredycie konsumenckim z 12 maja 2011 roku. W określonych przypadkach, jeżeli kredytodawca naruszył obowiązki informacyjne wynikające z ustawy, konsument może skorzystać z sankcji kredytu darmowego.

Jej istota jest prosta: przy spełnieniu ustawowych przesłanek konsument może być zobowiązany do zwrotu kredytodawcy wyłącznie kapitału, bez odsetek i innych kosztów kredytu należnych kredytodawcy. Rata zostaje obniżona na przyszłość, a wszelkie dotąd wpłacone koszty (odsetki, prowizje, składki ubezpieczeniowe) zostają kredytobiorcy zwrócone.

TSUE otworzył nowy etap sporów z bankami

Po przełomowym wyroku Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej z kwietnia 2026 roku (C 744/24) sądy coraz częściej zajmują się sporami dotyczącymi nieprawidłowości w umowach kredytów konsumenckich. Otrzymały one kolejne wskazówki dotyczące interpretacji przepisów chroniących konsumentów. W rezultacie sprawy, które wcześniej trwały latami zaczęły ponownie nabierać tempa.

Jednym z najważniejszych ośrodków tych sporów pozostaje Warszawa. To właśnie warszawskie sądy odgrywają istotną rolę w kształtowaniu praktyki orzeczniczej dotyczącej sporów pomiędzy konsumentami a instytucjami finansowymi.

Znaczenie tych rozstrzygnięć oraz wyroku TSUE nie ograniczają się jednak wyłącznie do stolicy.

Wrocław: pozew i wyrok na posiedzeniu niejawnym

Dobrym przykładem tego, jak szybko zmienia się praktyka w sprawach dotyczących sankcji kredytu darmowego, jest sprawa prowadzona przez Kancelarię Mędrecki Wilk i Wspólnicy rozpoznawana przez **Sąd Rejonowy dla Wrocławia-Fabrycznej we Wrocławiu**.

Kredytobiorcy zdecydowali się 29.07.2026 r. na wystąpienie z pozwem o zapłatę w sprawie dotyczącej sankcji kredytu darmowego. Sąd Rejonowy dla Wrocławia-Fabrycznej, XIV Wydział Cywilny, rozpoznał sprawę już **30 września 2026 roku, na posiedzeniu niejawnym**.

Rozstrzygnięcie wrocławskiego sądu jest konkretne. Sąd zasądził od **Banku Millennium S.A.** na rzecz kredytobiorczyni kwotę **26 459,09 zł** wraz z ustawowymi odsetkami za opóźnienie liczonymi od 13 listopada 2024 roku do dnia zapłaty. Kredytodawca został ponadto zobowiązany do zwrotu kosztów procesu.

To przykład pokazujący, że spór dotyczący sankcji kredytu darmowego nie kończy się wyłącznie abstrakcyjną oceną zapisów umowy. To wyraz ochrony konsumenta przed naruszeniami rynku kredytowego.

Wyrok ten dla kredytobiorców może stanowić ważną informację, jeszcze z jednego względu. Postępowanie cywilne nie zawsze musi oznaczać wielomiesięczne oczekiwanie na rozprawę i osobiste przesłuchanie konsumenta. Jeżeli sąd uzna, że zgromadzony materiał pozwala na rozstrzygnięcie sprawy, przepisy przewidują możliwość wydania wyroku na posiedzeniu niejawnym bez konieczności przesłuchiwania powoda i wielomiesięcznej wymiany pism procesowych.

Warszawa wyznacza kierunek, a inne ośrodki jak m.in. Wrocław pokazuje praktykę

Właśnie takie przypadki pokazują, dlaczego aktualne orzecznictwo dotyczące SKD jest uważnie obserwowane przez kredytobiorców w całej Polsce.

Warszawa pozostaje jednym z najważniejszych ośrodków kształtowania linii orzeczniczej w sprawach bankowych. Jednak bez wątpienia znaczenie mają również rozstrzygnięcia sądów w innych miastach, których w ostatnim czasie zaczęło zdecydowanie przybywać.

Wrocławski wyrok pokazuje, że dyskusja dotycząca sankcji kredytu darmowego nie jest już wyłącznie domeną największych ośrodków. Spory trafiają do sądów w różnych rejonach Polski, a konsumenci coraz częściej decydują się na dochodzenie swoich praw.

Czas ma znaczenie

Kredytobiorcy, którzy chcieliby skorzystać z przewidzianej dla nich ochrony w postaci sankcji kredytu darmowego nie powinni zwlekać z analizą dokumentów.

W sprawach SKD znaczenie ma bowiem ustawowy termin, który wynosi rok od dnia wykonania umowy.

Nie oznacza to jednak, że po upływie tego rocznego terminu lub jeżeli inna przyczyna wyklucza zastosowanie sankcji kredytu darmowego, kredytobiorca pozostaje z niczym.

W ostatnim czasie kredytobiorcy, którzy spłacili swoje zobowiązania już wiele lat temu ponownie sięgają do szuflad, by zweryfikować w swoich umowach jeden kluczowy mechanizm umowy. Mowa o sytuacji, w której bank nie tylko finansował własną prowizję lub inne koszty, ale od sfinansowanych kosztów następnie naliczał odsetki. W efekcie kredytobiorca płacił odsetki nie tylko od pożyczonego kapitału, lecz również od kosztów doliczonych do kredytu. Wyrok TSUE przesądził jednoznacznie o bezprawności takiego działania kredytodawcy, a w konsekwencji o konieczności zwrotu nienależnie pobranych odsetek kredytodawcom.

Podsumowanie

SKD nie jest automatycznym rozwiązaniem. Jest jednak instrumentem, z którego – w przypadku spełnienia ustawowych przesłanek – konsument może i powinien skorzystać.

Artykuł, który Państwo przeczytali, jest sponsorowany przez Votum Legal Mędrecki, Wilk i Wspólnicy Kancelaria Adwokatów i Radców Prawnych sp. k. z siedzibą we Wrocławiu. Jednocześnie informujemy, że niniejszy materiał stanowi informowanie o wykonywaniu zawodu radcy prawnego w rozumieniu art. 31 ust. 2 Kodeksu Etyki Radcy Prawnego oraz informację handlową w rozumieniu § 23 ust. 2 Kodeksu Etyki Adwokackiej.

MĘDRECKI, WILK I WSPÓLNICY

Kontakt do Kancelarii:
- Wyścigowa 56i, 53-012 Wrocław
- medrecki-law.pl
- tel.: 71 302 41 01
- e-mail: biuro-medrecki@votum-legal.pl

eprasa.pl c1e91c68ff

PRZEGLĄD MINIONEGO TYGODNIA

CZWARTEK, 8.10

Nowi komendanci policji na Dolnym Śląsku

Inspektor Tomasz Kościcki został pełniącym obowiązki komendanta miejskiego policji w Jeleniej Górze. Ostatnio kierował Komendą Powiatową Policji w Świdnicy. Tymczasem w Świdnicy pełniącym obowiązki komendanta powiatowego został mł. insp. Janusz Kozendra, który od 2023 roku był I zastępcą komendanta miejskiego policji w Wałbrzychu. Obaj oficerowie swoje kariery rozpoczynali w rejonach, w których teraz zostali szefami policji.

Sprawa ks. Teodora

Wrocławska kuria wyjaśnia sprawę fundacji Teobańkologia.Jej twarzą jest ksiądz Teodor. Duchowny dostał zakaz prowadzenia kierownictwa duchowego na platformach internetowych po tym, jak media obiegła wiadomość o nadużyciach, których miał się dopuszczać wobec osób pod jego kierownictwem duchowym. Mowa m.in. o upokorzeniu o charakterze seksualnym.

FOT. PIOTR KRZYŻANOWSKI

47-letni Emmanuel Olisadebe zagrał w barwach KS Kłopotów-Osiek w meczu piłkarskiej A klasy. Było to pożegnanie ze sportem byłego reprezentanta Polski

PIĄTEK, 9.10

Zlikwidowali fabrykę „lewych" papierosów

9 osób zatrzymano w związku z likwidacją nielegalnej fabryki papierosów. Centralne Biuro Śledcze Policji potwierdziło, że zarzuty usłyszało trzech Polaków i 6 Paragwajczyków. Policjanci znaleźli m.in. milion papierosów, ponad 16 ton tytoniu i linię technologiczną do produkcji i pakowania papierosów. W momencie wejścia służb maszyna była włączona. Szacunkowa wartość przejętych wyrobów i maszyny wynosi 20 mln zł.

SOBOTA, 10.10

Staną dwie wieże wysokości Sky Tower

Dwie wieże o wysokości 212 metrów, wielka hala przemysłowa i fabryka wodoru powstają w Gaju Oławskim pod Wrocławiem. Kompleks energetyczny ma kosztować około 447 mln zł. W silosach znajdzie się system lin, potężne silniki elektryczne i betonowe bloki. W wieży będzie 1415 bloków o wadze 60 ton każdy. Gdy elektrownie słoneczne i wiatrowe będą produkowały zbyt dużo prądu, jego część zostanie wykorzystana do podnoszenia bloków i energia elektryczna zostanie w nich „zamrożona". W razie potrzeby bloki będą opuszczane i ich ruch wytworzy prąd.

NIEDZIELA, 11.10

Szykował zamach na najwyższe władze

Wrocławianin, który groził zamachem na premiera Donalda Tuska i wicepremiera Władysława Kosiniaka-Kamysza, został zatrzymany przez służby. Swoje plany motywował politycznie. W jego mieszkaniu znaleziono kilkanaście improwizowanych ładunków wybuchowych.

Tunel na S3 znów jest przejezdny

Zamknięty po pożarze ciężarówki (6 bm.) tunel na trasie S3 koło Bolkowa znów służy kierowcom. Przez kilka dni usuwano uszkodzenia, m.in. montowano i kalibrowano uszkodzony system pomiaru temperatury.

FOT. PIOTR KRZYŻANOWSKI

Z okazji Dnia Edukacji Narodowej uhonorowano dolnośląskich nauczycieli

PONIEDZIAŁEK, 12.10

Trzy pożary na Gądowie

Na wrocławskim osiedlu Gądów między godz. 22.30 a 23.30 ogień pojawił się na ulicach Drzewieckiego, Horbaczewskiego i Lotniczej. Zniszczeniu uległy głównie kontenery i tuje. Ogień gasili mieszkańcy m.in. przy pomocy gaśnic samochodowych. Policja bada okoliczności zdarzenia.

WTOREK, 13.10

Groźni nastolatkowie

Policja sprawdzała okolice szkół i reagowała na wpisy w sieci, które mogły wskazywać na zagrożenie życia lub zdrowia. To akcja po serii ataków nożowników oraz tzw. krwawego piątku. Policja podjęła czynności wobec 8 osób z woj. dolnośląskiego w wieku 14-16 lat. M.in. w Świdnicy wobec 16-latka, który przesyłał treści dotyczące planowania zabójstwa wielu osób. Nastolatek mówi, że chciał „nastraszyć rówieśników". Trafił do Policyjnej Izby Dziecka.

ŚRODA, 14.10

Tokarczuk w Hali

„Świata jest za dużo" to tytuł najnowszej powieści Olgi Tokarczuk. Jej premiera odbyła się w Hali Stulecia. Książka opowiada o losach ludzi przybyłych z różnych stron , którzy w 1946 roku spotykają się na Dolnym Śląsku i budują tu nowe życie po traumie, jaką była wojna.

Zebrał GCH

REKLAMA 0011598352

Wojewódzki Szpital Specjalistyczny
im. Janusza Korczaka w Słupsku Sp. z o.o.

Podmiot Leczniczy Samorządu Województwa Pomorskiego

ogłasza
wszczęcie postępowań kwalifikacyjnych na stanowiska:

Dyrektora ds. Lecznictwa

oraz

Lekarza z jednoczesnym pełnieniem funkcji Koordynatora Szpitalnego Oddziału Ratunkowego

Składanie ofert w obydwu konkursach:
do dnia 23.10.2026 r. do godz. 15.00.

Szczegółowe informacje na stronie **www.szpital.slupsk.pl**

WROCŁAW

Pościg ulicami za skradzionym busem poczty, rozbite radiowozy!

J. Jakubczak, K. Bałajewicz

Jak ustaliła „Gazeta Wrocławska" zaczęło się od kradzieży busa Poczty Polskiej z przesyłkami. Ruszył za nim policyjny pościg. Spektakularna ucieczka zakończyła się na Popowicach. Bilans: dwa uszkodzone nieoznakowane radiowozy i rozbite auto przypadkowego kierowcy.

FOT. JAROSŁAW JAKUBCZAK

Samochód Poczty też został rozbity. Na razie nie wiadomo, w jakim stanie są przewożone nim przesyłaki

Do kradzieży busa Poczty Polskiej doszło w środę (14 października) w godzinach popołudniowych na ul. Nowowiejskiej. Z ustaleń „Gazety Wrocławskiej" wynika, że kurier Poczty Polskiej dostarczał przesyłki i zostawił otwartego busa, by zanieść paczkę pod wskazany adres. To wystarczyło, by ktoś skorzystał z okazji. Złodziej wsiadł do samochodu i odjechał razem z przewożonymi paczkami.

Sprawą zajęli się policjanci z Wydziału do spraw Przestępczości Samochodowej Komendy Miejskiej Policji we Wrocławiu. Funkcjonariusze prowadzili czynności, które następnego dnia doprowadziły ich do skradzionego pojazdu. Policjanci zauważyli busa w rejonie ul. Długiej. Wtedy rozpoczął się pościg. Kierowca nie zamierzał się zatrzymać i ruszył ulicami. Trasa ucieczki prowadziła m.in. przez okolice Politechniki Wrocławskiej. Podczas pościgu uszkodzone zostały dwa nieoznakowane radiowozy oraz samochód osoby postronnej. Ostatecznie policjanci zatrzymali skradzionego busa na Popowicach, przy ul. Niedźwiedziej, w pobliżu skrzyżowania z ul. Legnicką.

Zatrzymany został 47-letni obywatel Polski. - Żaden z policjantów nie ucierpiał – mówi „Wrocławskiej" podkom. Aleksandra Freus z Komendy Miejskiej Policji we Wrocławiu.

eprasa.pl c1e91c68ff

MATERIAŁ INFORMACYJNY IPN WROCŁAW

0011596985

Nowa Kwatera Żołnierzy Niezłomnych

dr hab. Kamil Dworaczek, dyrektor IPN Oddział we Wrocławiu

Pola więzienne 81A i 120 na Cmentarzu Osobowickim zajmują szczególne miejsce na powojennej mapie martyrologii Polaków, którzy padli ofiarą represji komunistycznych. Nie ma w tym stwierdzeniu przesady.

W latach 1945–1956 na ponad 20 polach grzebalnych tego cmentarza komuniści pochowali prawie 850 więźniów, którzy zmarli lub zostali zamordowani w Więzieniu nr 1 przy ul. Kleczkowskiej, Więzieniu nr 2 przy ul. Sądowej oraz w kazamatach Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego we Wrocławiu. Najwięcej pochówków dokonano na polach 77 (1945–1946), 102 (1946–1948), 83B (1948–1949) oraz AV, AVI i AVII (1949–1956). Komunistyczni oprawcy doskonale wiedzieli, że wielu spośród skazanych z przyczyn politycznych padło ofiarą egzekucji i tortur na podstawie fałszywych oskarżeń. Wśród osób pogrzebanych w tym miejscu znaleźli się działacze podziemia niepodległościowego, żołnierze Armii Krajowej, Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość", Narodowych Sił Zbrojnych, Narodowego Zjednoczenia Wojskowego, Konspiracyjnego Wojska Polskiego oraz wielu innych niescentralizowanych organizacji walczących o wolność Polski. Były to osoby, dla których II wojna światowa nie zakończyła się 8 maja 1945 r., ale rozpoczynał się nowy jej etap, w którym musieli walczyć z sowietyzacją naszego kraju. Dla komunistów stanowili oni największe zagrożenie. Nazwani w politycznej nomenklaturze „bandytami", „terrorystami", „zaplutymi karłami reakcji" zostali wyrzuceni poza margines społeczny. Wszyscy, którzy sprzeciwiali się powojennej rzeczywistości, w której Polska pozostawała całkowicie podporządkowana Związkowi Sowieckiemu i Józefowi Stalinowi, mieli zostać zgładzeni, a pamięć o ich działalności niepodległościowej – zszargana i skazana na zapomnienie. Mordowano ich w ubeckich kazamatach i więzieniach, strzałem w tył głowy. Ich ciała grzebano potajemnie, pod osłoną nocy, z dala od wzroku osób postronnych, nie informując o tym rodzin skazanych. W następnych latach Polski Ludowej komuniści starali się za wszelką cenę zatrzeć ślady po swoich zbrodniach, przeznaczając kwatery więzienne pod ponowny pochówek lub niszcząc groby, zalewając je wapnem. Nie mieli żadnego poszanowania dla tradycji chrześcijańskiej i naczelnego prawa każdego człowieka do godnego pochówku.

Pola 81A i 120, które w latach 40. i 50. XX w. były oznaczone jako 83B, AVII, AVI i AV, to jedyne kwatery więzienne w Polsce, które zachowały się do naszych czasów – mimo intencji i działań władz komunistycznych nie zostały zniszczone. Tylko na tych dwóch kwaterach w latach 1948–1956 pochowano łącznie około 350 osób. W 1987 r. działania zmierzające do uratowania kwater podjęły osoby skupione wokół Chrześcijańskiego Uniwersytetu Robotniczego przy parafii św. Klemensa Dworzaka we Wrocławiu, a także członkowie Konfederacji Polski Niepodległej i Solidarności Walczącej. Zaangażowali się w to Irena Kluba, Danuta Skraba, Wincenty Pycak, Witold Sulżycki, Władysław Fus, Antoni Lenkiewicz i wiele innych osób. Początkowo wykonywano prace porządkowe, ale z czasem zaczęto organizować uroczystości patriotyczne oraz usypywać symboliczne groby i umieszczać na nich tabliczki z napisami: „Śp. żołnierz nieznany Polski Walczącej prosi o modlitwę". Służba Bezpieczeństwa podjęła działania operacyjne, inwigilowała zaangażowane osoby, uruchomiła także tajnych współpracowników, którzy zbierali potrzebne dane o inicjatywie społecznej. Działania te na szczęście okazały się niewystarczające. W obliczu poważnego kryzysu politycznego w PZPR i chylącego się ku upadkowi systemowi komunistycznemu, los kwater więziennych i zbrodni okresu stalinowskiego stał się dla pezetpeerowskiego establishmentu mniej istotnym tematem. Datą tego zwycięstwa był symboliczny pogrzeb ofiar terroru komunistycznego, który odbył się 27 października 1990 r. Natomiast 25 maja 1996 r. na polach 81A i 120 osłonięto Pomnik „Ofiarom Terroru Komunistycznego 1945–1956" według projektu artysty rzeźbiarza i grafika Andrzeja Żarnowieckiego.

Historia tego miejsca nie została zapomniana w III Rzeczypospolitej. Od 2003 r. Instytut Pamięci Narodowej zainicjował działania zmierzające do szczegółowego rozpoznania kwater więziennych. Prekursorem tych przedsięwzięć z ramienia IPN był dr hab. Krzysztof Szwagrzyk. Od 10 października 2011 r. do 5 maja 2012 r. kierowany przez niego zespół przeprowadził ekshumacje obejmujące całość kwater więziennych 81A i 120. Ich zasadniczy cel sprowadzał się do potwierdzenia zgodności lokalizacji poszczególnych pochówków z księgami cmentarnymi oraz – w miarę możliwości – określenia tożsamości pochowanych tam osób.

Odrębną kwestią była próba zbadania życiorysów wszystkich pochowanych tam osób. Trzeba pamiętać, że pola więzienne stały się miejscem pochówku nie tylko bohaterów podziemia niepodległościowego, ale osób skazanych z innych powodów, w tym zbrodniarzy wojennych i funkcjonariuszy UB.

W odpowiedzi na liczne apele wrocławskich środowisk patriotycznych oraz rodzin ofiar pochowanych na kwaterach więziennych, domagających się uporządkowania tego miejsca, w latach 2023–2024 przy Oddziale Instytutu Pamięci Narodowej we Wrocławiu powołano zespół specjalistów. Jego zadaniem było wytypowanie spośród osób pochowanych na polach 81A i 120 tych, które zostały stracone lub zamęczone z powodu swojej działalności na rzecz niepodległości Polski. Przez wiele lat obserwowaliśmy sytuację, w której osoby zainteresowane historią tego miejsca, nie zdając sobie z tego sprawy, oddawały hołd pochowanym tam funkcjonariuszom UB, a nawet zbrodniarzom UPA. Jednocześnie część bohaterów podziemia niepodległościowego pozostawała bez własnych nagrobków, a odwiedzający nekropolię nieświadomie stąpali po miejscach ich pochówku. Taki stan rzeczy był nie do zaakceptowania. W rezultacie wielomiesięcznych kwerend archiwalnych, analiz, weryfikacji i dyskusji, powstała lista 62 osób, które niewątpliwie działały na rzecz niepodległego bytu Państwa Polskiego. Część z nich została decyzją rodzin wcześniej ekshumowana i przeniesiona w inne miejsca spoczynku, dlatego też w rezultacie na polu 120 (góra) w sąsiedztwie pomnika powstało 50 nagrobków honorujących z imienia i nazwiska Żołnierzy Niezłomnych.

Realizacja tego trudnego projektu spotkała się również z wyrazami wdzięczności oraz poparciem dla podejmowanych przez nas działań. Było dla nas ważne, aby rodziny bohaterów walki o niepodległość zaakceptowały nasze plany, podejście to zmiany kwater więziennych i przede wszystkim uporządkowania tego miejsca. Nie bez znaczenia był głos rodziny ppłk. Ludwika Marszałka, ostatniego kierownika dolnośląskiego okręgu WiN, zamordowanego w 1948 r. Jego syn, Krzysztof Marszałek, wspierał nasze plany. Za jego przykładem poszły również inne rodziny m.in. zamordowanych Władysława Ciska, Henryka Urbanowicza, Bronisława Kozaka i pozostałych. To dla nas ogromny zaszczyt i wyróżnienie.

Powstała w 2026 r. Kwatera Żołnierzy Niezłomnych to jedno z nielicznych tego typu miejsc pamięci na terenie naszego kraju. Posiada status cmentarza wojennego objętego opieką Państwa Polskiego zgodnie z ustawą o grobach i cmentarzach wojennych. Przede wszystkim jest jednak wyrazem pamięci i szacunku kolejnych pokoleń wobec bohaterów, którzy oddali życie za wolną i niepodległą Polskę.

eprasa.pl c1e91c68ff

WROCŁAW

Kolejna inwestycja na wrocławskim lotnisku. Zbudują nową bazę dla Amerykanów

Konrad Bałajewicz

Wrocławskie lotnisko czeka kolejna rozbudowa, tym razem na potrzeby amerykańskich sił zbrojnych. Ma to umożliwić obsługę takich maszyn, jak C-5 Galaxy. To jedna z największych maszyn transportowych na świecie.

FOT. INSPEKTORAT WSPARCIA SIŁ ZBROJNYCH

Tak będzie wyglądać nowa baza we Wrocławiu. Inwestycja za 539 mln zł ma być gotowa w 2029 roku

W środę, 14 października, podpisano pierwszą umowę dotyczącą budowy bazy przeładunkowo-załadunkowej amerykańskich sił powietrznych APOD Wrocław-Strachowice. Obejmuje ona pięć z 20 zadań składających się na rozbudowę lotniska. W tym etapie zaplanowano budowę dwóch płyt postojowych dla wojskowych samolotów transportowych, dróg kołowania, budynku wojskowej straży pożarnej oraz budynku dyżurnego technika lotniska.

„To przedsięwzięcie realizowane na podstawie polsko-amerykańskiej umowy o wzmocnionej współpracy obronnej (EDCA). Nowa infrastruktura ma zwiększyć możliwości przyjmowania wojskowych statków powietrznych i zabezpieczenia transportu lotniczego sił USA" – informuje Inspektorat Wsparcia Sił Zbrojnych.

Zakończenie prac, certyfikacja infrastruktury i osiągnięcie gotowości do przyjmowania wojskowych statków powietrznych mają nastąpić w 2029 roku.

Za inwestycję odpowiada Rejonowy Zarząd Infrastruktury we Wrocławiu, podlegający Inspektoratowi Wsparcia Sił Zbrojnych. Wykonawcą została spółka PORR.

Z rozbudowanego lotniska będzie korzystał m.in. samolot Lockheed C-5 Galaxy. To największy amerykański wojskowy samolot transportowy i jedna z największych maszyn tego rodzaju na świecie. Ma około 75 metrów długości i 68 metrów rozpiętości skrzydeł. Może unieść ponad 127 ton. Maszynę zaprojektowano do transportu ciężkiego sprzętu wojskowego na duże odległości. Na jego pokładzie mogą znaleźć się czołgi, śmigłowce, artyleria oraz duże ilości zaopatrzenia.

Drugim typem samolotu, który skorzysta z rozbudowy, jest Lockheed C-130 Hercules. To średniej wielkości wojskowa maszyna transportowa. Hercules może przewozić żołnierzy, rannych, sprzęt i zaopatrzenie. Wykorzystuje się go również do zrzutów spadochroniarzy.

Według informacji Inspektoratu nowa infrastruktura ma obejmować cztery stanowiska dla C-5 Galaxy oraz trzy dla C-130 Hercules.

Wojskowych samolotów nie obejmują ograniczenia hałasu ani cisza nocna ustanowiona przez lotnisko.

0011597053

Z głębokim żalem zawiadamiamy,
że 7 października 2026 roku
w wieku 90 lat zmarła
ukochana Mama, Babcia i Teściowa

ś†p

Krystyna Orzechowska

Lekarz stomatolog

Ceremonia pogrzebowa rozpocznie się
dnia 17 października 2026 roku o godzinie 11.00
mszą św. w kaplicy cmentarza parafialnego
przy ul. Smętnej 3 we Wrocławiu, po czym nastąpi
odprowadzenie Zmarłej do grobu rodzinnego.

Pogrążone w smutku
Córki z Rodzinami

AUTOPROMOCJA

REKLAMA 0011486419

ZAKŁADY POGRZEBOWE

● „ABEL" – Zakład Pogrzebowy, bezgotówkowa organizacja pogrzebów i kremacji. Całodobowe przewozy zmarłych z domu, szpitali, hospicjum. Tel. całodobowe, kom. 502-922-708, 71/ 355 92 23 ul. Św. Wincentego 10 A.

● „ADORIA" Usługi Pogrzebowe. Tanio, profesjonalnie i bezgotówkowo. Całodobowy odbiór ciała z dowolnego miejsca. Pożegnania i kremacje. Obsługa ekskluzywnym karawanem. Biuro na terenie cm. Osobowice 59a - wszystkie sprawy w jednym miejscu. Tel. całodobowy 71 352 52 05 lub 503 33 83 84.

● „ANUBIS" – kompleksowe usługi pogrzebowe - profesjonalnie - bezgotówkowo. Dom Pogrzebowy, biuro i własna kaplica i chłodnia, organizowanie pożegnań przed kremacją oraz czuwanie przy zmarłym przed pogrzebem tradycyjnym w godzinach dogodnych dla klienta. Wrocław, ul. Szpacza 32/34, tel. 71 350 01 01 całodobowy. Biuro: Wrocław, ul. Dubois 20, Wróblowice, ul. Stawowa 5. Całodobowe przewozy zmarłych kraj i zagranica. Załatwianie formalności również w domu klienta. Telefony całodobowe 71 328 83 85, 723 030 303.

● „ARCHON"– Zakład Pogrzebowy tel. 71 332 60 60 – całodobowe przewozy zmarłych. Własna chłodnia i kaplica, rozliczenia bezgotówkowe, wyrabianie aktów zgonu i wszystkich formalności ZUS i USC. Obsługa ceremonii pogrzebowych ekskluzywnym karawanem Mercedes Pilato gratis. Nasze oddziały: Włodkowica 37, Hallera 112, Bogusławskiego 33, Traugutta 67, Skłodowskiej-Curie 49, Kiełczowska 90 (cm. komunalny), Krzywoustego 287, Trzebnicka 67, ul. Grabiszyńska 101, ul. Zaporoska 83, www.zaklad-pogrzebowy.com.pl

● „WITWICCY" Zakład Usług Pogrzebowych, Producent Trumien. Całodobowy przewóz zmarłych. Rozliczamy ZUS, KRUS, WBE, MSWiA w zakładzie. Własna chłodnia. Kompleksowo. Solidnie! Wrocław Borowska 254 - naprzeciw Akademii Medycznej, Wrocław Kościuszki 67/1a – róg Gwarnej, Krzyżowice ul. Główna 14 gm. Kobierzyce, Sobótka ul. Św. Anny 19/1, 71/889-00-60, www.zakladpogrzebowy24.pl

● CAŁODOBOWE PRZEWOZY ZMARŁYCH dla miasta Wrocławia i Dolnego Śląska. Najniższe ceny. Tel. 502-922-708, 71 322-60-16.

● KREMATORIUM – ARCHON, ul. Kiełczowska 90, tel. 71 345 73 43 - całodobowo. Kompleksowe usługi kremacyjne i pogrzebowe, ustalanie terminów. Całodobowy odbiór osób zmarłych z domu, szpitali, hospicjów. www.krematorium.wroclaw.pl

● MIĘDZYNARODOWE PRZEWOZY ZMARŁYCH, tel. 71/332-60-60 – całodobowo. Przewóz zmarłych i prochów z państw całego świata. Załatwiamy wszelkie pozwolenia i formalności. Posiadamy licencję na tranport zmarłych z Francji. www.zaklad-pogrzebowy.com.pl

● ROCH – Zakład Pogrzebowy, bezgotówkowo, kompleksowo. Całodobowe przewozy zmarłychz domu, szpitali, hospicjum. Tel. całodobowe 71/322 60 16, kom. 502-922-708, Wrocław, ul. Św. Wincentego 10 a (dawna Obrońców Pokoju).

Dziś pożegnamy

Pogrzeby 16 października

● **GRABISZYN**
Zygmunt Milewski g. 8.00
Zbigniew Krzysztanowicz g. 9.00
Serhi Koniushkin g. 10.00
Lucyna Śniegocka g. 11.00
Ewa Piotrowska g. 12.00
Barbara Lisowska g. 13.00
Henryk Witkowski g. 14.00
Maria Klej g. 15.00

● **JERZMANOWO**
Władysław Bezwierzchny g. 13.00

● **OSOBOWICE**
Józef Jansiewicz g. 7.00
Joanna Telesz g. 8.00
Jolanta Szydłowska g. 8.40
Maria Żeleszkiewicz g. 9.20
Stanisław Smolarek g. 10.40
Jan Kanpiński g. 11.20
Jan Łyskawiński g. 12.00
Maksymilian Wolski g. 12.40
Władysław Nyz g. 13.20
Zdzisław Melcher g. 14.00
Elżbieta Karpicz g. 14.40
Adam Lewandowski g. 15.20

● **PSIE POLE**
Zbigniew Jaworski g. 8.00
Alina Janek g. 9.00
Stanisław Tomczak g. 10.00
Krystyna Puchalska g. 11.00
Stanisława Krygier g. 13.00
Servhii Tatarskyi g. 15.00

● **PAWŁOWICE**
Zdzisław Lech g. 11.00

Zarząd Cmentarzy Komunalnych,
pl. Strzelecki 19/21, 50-224 Wrocław

eprasa.pl c1e91c68ff

FOKUS

• **W I półroczu 2026 roku** liczba ludności Polski zmniejszyła się o 90 tys. w stosunku do końca 2025 r. i wyniosła 37 mln 243 tys.

TRYBUNAŁ KONSTYTUCYJNY

Dalszy ciąg zamieszania w TK. Według prezesa to „ustrojowy zamach stanu”

Prezes TK Bogdan Święczkowski, odnosząc się do sytuacji wokół Trybunału Konstytucyjnego, ocenił, że „trwa ustrojowy zamach stanu”. Rozmawia o tym z prezydentem

oprac. Alina Mazurska

W środę w Sejmie ślubowanie z formułą „wobec prezydenta” złożył wybrany przez Izbę na sędziego TK Maciej Berek. Karol Nawrocki nie uczestniczył w ceremonii. Po uroczystości Berek złożył dokumenty potwierdzające ślubowanie w kancelarii prezydenta i udał się do siedziby TK, gdzie m.in. rozmawiał z prezesem TK Bogdanem Święczkowskim. Prezes TK nie dopuścił Berka do orzekania.

Berek relacjonował, że Święczkowski uniemożliwił mu wejście do pokoju sędziów TK, gdzie był zaproszony. Jak mówił w TVN24, Święczkowski „wsunął się bezpośrednio” w taki sposób, by on dalej nie wchodził. – Tam nie było szarpaniny, ja się nie będę z nikim szarpał w TK. Sędzia Święczkowski fizycznie uniemożliwił mi wejście do tego korytarza – zaznaczył. Dodał, że złożył zawiadomienie o podejrzeniu popełnienia przestępstwa naruszenia nietykalności funkcjonariusza publicznego, jakim jest sędzia TK.

W czwartek w Polsat News Święczkowski pytany był o sytuację w TK oraz zarzuty Berka dot. naruszenia nietykalności. Prezes TK zaprzeczył, by miało dojść do fizycznego starcia jego z Berkiem, gdy blokował Berkowi dostęp do sędziowskiej części budynku. Pytany o zawiadomienie złożone przez Berka do prokuratury,

FOT. PAWEŁ SUPERNAK

Prezes TK powiedział, że spotkał się z prezydentem Nawrockim, który przybył do siedziby TK. – Rozmawialiśmy o różnych scenariuszach

Święczkowski stwierdził, że Berek – jak każdy obywatel – ma takie prawo, ale – jak zaznaczył – „oczywiście do takiej sytuacji nie doszło”.

Prezes TK zadeklarował ponadto, że w razie potrzeby udostępni organom ścigania nagrania z kamer wewnątrz TK, które nagrały całe zajście.

Święczkowski został także zapytany o swoją rozmowę z Berkiem. Prezes TK przekazał, że – mimo nieuznawania Berka za sędziego TK – odebrał od niego dokumenty, by nie narażać innych pracowników kancelarii Trybunału na problemy. – Nie pozwolę, żeby Bogu ducha winni urzędnicy czy strażnicy Trybunału byli ciągani po prokuraturach i policji z uwagi na to, że przestrzegają prawa i konstytucji – stwierdził. Dodał też, że te dokumenty zostaną odłożone ad acta do momentu, kiedy pan Berek złoży ślubowanie wobec prezydenta albo też zostanie rozstrzygnięty konstytucyjny spór kompetencyjny.

Święczkowki ocenił, że całokształt działań koalicji rządzącej i rządu wobec TK ma charakter trwającego „ustrojowego zamachu stanu”. Według prezesa TK działania rządzących można porównać do „gotowania żaby” czy „taktyki salami”. Jego zdaniem „po prostu obecnie rządzący próbują małymi kroczkami zmienić ustrój Rzeczypospolitej, by prawo było takie, jak rozumie je jedna osoba”.

Prezes TK powiedział też, że spotkał się z prezydentem Nawrockim, który w środę przybył do siedziby TK. – Rozmawialiśmy o różnych scenariuszach. Prezydent powiedział, że jako strażnik konstytucji będzie dbał, żeby nie doszło do zamachu na konstytucję i organy państwa – relacjonował. Wyraził też nadzieję, że prezydent „ma jakiś plan wsparcia Trybunału”, by mógł on dalej funkcjonować i orzekać.

Prezydent Nawrocki oświadczył w środę, że jeżeli Berek nie dokonał formalności ślubowania przed prezydentem, to z pewnością nie jest sędzią TK.

Dzień wcześniej Komisja Wenecka w wydanej opinii zarekomendowała, by „w przypadku, gdy prezydent odmawia odebrania ślubowania od sędziego wybranego przez Sejm lub opóźnia to, (...) dopuszczono możliwość dopełnienia aktu ślubowania bez fizycznego udziału prezydenta”.

Premier Donald Tusk powtórzył w środę, że sędziowie TK zostali wybrani zgodnie z prawem, a prezydent Karol Nawrocki, odmawiając przyjęcia ślubowania m.in. od Berka, „abdykuje” z obowiązków nałożonych na niego w konstytucji.

MAŁOPOLSKA

Toksyczne „Pojezierze Olkuskie”

PM

Woda w zbiornikach „Pojezierza Olkuskiego” i innych cieków może być sporym zagrożeniem dla mieszkańców oraz turystów.

- Wyniki analiz wykonanych w ramach badań GIOŚ wskazują na wyraźne pogorszenie jakości chemicznej części badanych wód, szczególnie w obrębie zalewisk i cieków. Najbardziej charakterystycznymi cechami były bardzo wysokie wartości przewodności elektrolitycznej oraz stężenia siarczanów, którym w części punktów towarzyszyły podwyższone stężenia metali, w tym manganu, cynku, ołowiu i kadmu – czytamy w raporcie sporządzonym przez ekspertów z PIG-PIB. Zbiorniki powstały w dawnych kopalniach piasku. Podnosząca się tam woda podmywa skarpy byłych kopalni doprowadzając do powstawania ogromnych osuwisk. Innym zagrożeniem są grząskie dna.mimo licznych ostrzeżeń, apeli oraz informacji w mediach społecznościowych zalewiska wciąż stają się celem wycieczek.

WARSZAWA

Agenci CBA w PZPN. Chodzi o umowę

oprac. Jan Nowaczyk

Do siedziby PZPN w Warszawie weszli funkcjonariusze Centralnego Biura Antykorupcyjnego.

Onet w środowy wieczór podał, że agenci poprosili o dokumentację dotyczącą umowy z firmą Publicon Sport. Działacze udostępnili wszystkie materiały. CBA oficjalnie nie komentuje sprawy. Jak podaje Onet, powołując się na swoje źródła w służbie, działania mają związek ze śledztwem prokuratury dotyczącym umowy na obsługę sponsorską PZPN przez Publicon Sport z Wrocławia. Spółka należy do firmy kontrolowanej przez biznesmena Radosława Tadajewskiego. Jej prezes, Szymon Sikorski, nie odpowiedział na prośbę portalu o rozmowę. Publicon Sport obsługiwał umowy sponsorskie PZPN od 2023 r. Pobierał 150 tys. zł miesięcznego ryczałtu oraz wysokie prowizje. Jak wcześniej ujawnili dziennikarze TVN24, związek płacił spółce również za kontrakty, przy których zawarciu ta nie uczestniczyła. **PAP**

KRÓTKO

Białystok

Dwie osoby zginęły na oznakowanym przejściu

Wczoraj rano na ul. Hallera w Białymstoku, na oznakowanym przejściu dla pieszych, zostały potrącone dwie seniorki. Rzecznik prasowy podlaskiej policji poinformował, że jedna kobieta zginęła na miejscu, drugą reanimowano, ale jej życia nie udało się uratować. Kobieta kierująca samochodem była trzeźwa. Policja nie podała szczegółów zdarzenia. PAP

Bezpieczeństwo

Policjanci skontrolowali ponad 162 tys. szkół

W całej Polsce od tygodnia trwają działania policji w placówkach oświatowych mające zapewnić bezpieczeństwo dzieciom, młodzieży i pracownikom placówek oświatowych. Akcja ma związek z ubiegłotygodniowymi aktami przemocy w placówkach.
Policjanci przekazali we wpisie na X, że do godz. 6 w czwartek odnotowano 482 zdarzenia, w których realizują oni czynności w związku z uzasadnionym podejrzeniem popełnienia czynu zabronionego.
Od początku akcji policja dokonała ponad 162 tys. kontroli szkół w całym kraju i zatrzymała 187 osób. PAP

Ekologia

Aktywiści pytają: Gdzie te lasy bez pił?

W trzecią rocznicę wyborów parlamentarnych 2023 aktywiści Greenpeace zaprotestowali naprzeciwko Sejmu i siedziby PO, domagając się od premiera Donalda Tuska spełnienia obietnicy ochrony przed wycinką 20 procent najcenniejszych lasów. Działacze wywiesili na budynku ogromny baner z podobizną premiera trzymającego piłę i napisem „Gdzie te lasy bez pił?”.

FOT. RADEK PIETRUSZKA

Skierowałem do PE wniosek o uchylenie immunitetu i zatrzymanie Daniela Obajtka w sprawie dotyczącej zaniżania cen paliw w 2023 r.

WALDEMAR ŻUREK
minister sprawiedliwości
prokurator generalny

eprasa.pl c1e91c68ff

WOJNA

Zełenski: Zakaz ataków na rafinerie został zniesiony. Mamy dość !

oprac. Anna Nagel

Ukraina wznawia ataki na rosyjskie rafinerie; zakaz takich uderzeń zniesiono w związku z problemami z danymi wywiadowczymi od USA i zakłóceniami w działaniu Starlinka podczas zmasowanych ostrzałów ze strony Rosji.

„Zakaz (ataków na rafinerie) został zniesiony. Mamy dość" – oświadczył Zełenski w wywiadzie dla „Financial Times", który omawiały wczoraj ukraińskie media.

Prezydent zaznaczył, że Ukraina przez trzy dni nie atakowała rosyjskich obiektów energetycznych, aby spełnić życzenie Waszyngtonu. Rosja tymczasem nadal ostrzeliwała takie obiekty w Ukrainie, a w ostatnim tygodniu zabiła ponad 100 cywilów – napisał, z powołaniem na wywiad Zełenskiego, portal RBK-Ukraina.

Serwis doniósł, że mimo przerwy w atakach ukraińskie wojsko nie otrzymywało amerykańskich ostrzeżeń o wystrzeleniu rakiet balistycznych. Starlink w całym kraju zaczął działać wolniej, co utrudniło operacje na froncie oraz uderzenia średniego zasięgu na rosyjskie obiekty wojskowe położone za linią frontu.

Według Zełenskiego amerykańscy partnerzy wprost ostrzegli ukraińskich wojskowych: jeśli ataki na energetykę nie ustaną, wymiana danych wywiadowczych zostanie zablokowana. Później przedstawiono to Kijowowi jako awarię techniczną.

„To nie był problem techniczny, to była kwestia woli" – powiedział prezydent o zakłóceniach w działaniu Starlinka. Zełenski dopuścił możliwość, że Ukraina mogłaby powstrzymać się od atakowania rosyjskich obiektów energetycznych, nawet gdyby Rosja kontynuowała takie uderzenia. Jednak warunkiem – jak przekazał RBK-Ukraina – byłyby dodatkowe rakiety do systemów Patriot.

W ocenie „Financial Times" obecny kryzys w stosunkach Kijowa z Waszyngtonem jest najostrzejszy od lutego 2025 r., kiedy prezydent USA Donald Trump i jego zespół publicznie strofowali Zełenskiego. **PAP**

FOT. PAP/EPA

Zełenski: Ukraina przez trzy dni nie atakowała rosyjskich obiektów energetycznych, aby spełnić życzenie Waszyngtonu

BRUKSELA

Szczyt unijny - wśród tematów: budżet, Ukraina i migracja

oprac. Jan Nowaczyk

Wczoraj w Brukseli rozpoczął się szczyt UE. Podczas dwudniowego posiedzenia omawiane będą przede wszystkim: przyszły budżet Wspólnoty na lata 2028–2034, wysokie ceny energii, zaostrzenie podejścia do migracji oraz dalsze wsparcie Ukrainy.

FOT. PAP/EPA

Wczoraj rozpoczęło się dwudniowe spotkanie na szczycie UE. Na zdjęciu prezydent Rady Europejskiej Antonio Costa i przewodnicząca Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen

Szczyt rozpoczął się od rozmów na temat konkurencyjności europejskiej gospodarki przede wszystkim w kontekście wysokich cen energii.

Jeszcze przed spotkaniem premier Czech Andrej Babisz zapowiedział, że razem z szefową rządu Włoch Giorgią Meloni zaprezentuje wspólną inicjatywę w sprawie obniżenia cen energii. Przywódcy zamierzają też wezwać przewodniczącą Komisji Europejskiej Ursulę von der Leyen do zaproponowania konkretnych rozwiązań łagodzących wpływ wysokich cen energii.

Europejscy liderzy będą też próbować znaleźć kompromis w sprawie unijnego budżetu. Propozycja budżetu na lata 2028-2034, przedstawiona w ubiegłą sobotę przez irlandzką prezydencję w Radzie UE, podzieliła unijne stolice. Część krajów skrytykowała proponowane przez Irlandię cięcia, a tzw. skąpcy, czyli państwa domagające się wielomiliardowych cięć, takie jak Niemcy i Holandia, uznali, że proponowany budżet jest wciąż zbyt duży.

Premier Holandii Rob Jetten przed szczytem zapowiedział, że jego kraj nie może poprzeć irlandzkiej propozycji, a budżet potrzebuje cięć.

W podobnym duchu wypowiedział się premier Szwecji Ulf Kristersson, który podkreślił, że proponowany nowy budżet jest zdecydowanie za duży i zbyt kosztowny, a przewidywany wzrost szwedzkiej składki o 60 proc. jest nie do zaakceptowania.

Nikt nie spodziewa się przełomu w tej kwestii na październikowym spotkaniu, ale jest nadzieja na zbliżenie stanowisk. Temat ma pojawić się ponownie na szczycie UE w Brukseli w grudniu.

Drugi dzień obecnego szczytu zdominują temat Ukrainy i migracja.

W posiedzeniu osobiście udział weźmie prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski, który przedstawi unijnym liderom potrzeby Ukrainy przed nadchodzącą zimą, w tym konieczność wzmocnienia obrony przeciwlotniczej i potrzebę ochrony infrastruktury energetycznej.

Tematem będą też dalsze sankcje wobec Rosji. W ocenie prezydenta Litwy Gitanasa Nausedy Unia powinna rozważyć zablokowanie eksportu rosyjskiego zboża przez bałtyckie porty. Przekonywał też, że należy przyspieszyć negocjacje akcesyjne z Kijowem.

– Ukraina musi otrzymywać pozytywne sygnały, a w obecnej sytuacji tylko Europa może je wysłać. Jednym z najsilniejszych jest perspektywa integracji Ukrainy z Unią Europejską – powiedział.

Przywódcy mają też omówić nowe sposoby reagowania na kryzysy migracyjne, zwłaszcza że w Brukseli nie milkną echa wydarzeń w Ceucie, hiszpańskiej eksklawie w Afryce Północnej, do których doszło pod koniec lipca. Jednym z rozwiązań, nad którymi debatować mają liderzy, jest możliwość tymczasowego zawieszenia prawa do azylu w sytuacji, gdy migracja zagraża bezpieczeństwu wewnętrznemu państwa członkowskiego i całej Unii. **PAP**

NIEMCY

Zakaz spożywania alkoholu na dworcach kolejowych

oprac. Anna Nagel

Spożywanie alkoholu jest od wczoraj zakazane na około 5,7 tys. dworców kolejowych w Niemczech, czyli na wszystkich dworcach należących do Deutsche Bahn.

Największe dworce w Niemczech należą w większości do DB. Część stacji, głównie mniejszych, należy m.in. do samorządów i właścicieli prywatnych.

Zakaz dotyczyć ma wszystkich rodzajów alkoholu, ale napoje alkoholowe będzie można nadal spożywać w lokalach gastronomicznych na terenie dworców. Również w pociągach zasadniczo nadal można pić alkohol; jest on sprzedawany w wagonach restauracyjnych pociągów dalekobieżnych.

Osoby przyłapane na spożywaniu alkoholu na dworcu będą musiały liczyć się z natychmiastowym nakazem opuszczenia obiektu. W przypadku powtarzających się naruszeń może zostać nałożony stały zakaz wstępu na teren dworca.

DB oczekuje, że nowe przepisy poprawią bezpieczeństwo i ograniczą liczbę konfliktów wywoływanych pod wpływem alkoholu. Zakaz mają egzekwować służba ochrony kolei i policja.

– Zakaz spożywania alkoholu na dworcach obowiązuje codziennie, również w dniach imprez masowych – zaznaczyła rzeczniczka niemieckich kolei Anja Broeker. Nowe przepisy dotyczą więc także dni meczowych Bundesligi, co może wystawić ich skuteczność na szczególnie trudną próbę – zauważa dziennik „Sueddeutsche Zeitung". **PAP**

ALBANIA

Trwają protesty studentów. Premier nie zrezygnuje

oprac. Anna Nagel

Premier Albanii Edi Rama oświadczył wczoraj w rozmowie z agencją Reutera, że nie złoży rezygnacji ze stanowiska premiera, mimo trwających od trzech dni protestów studentów.

Szef rządu zapewnił, że nie pozwoli, by przemoc towarzysząca demonstracjom zagroziła staraniom Albanii o członkostwo w UE. – Rządy zmienia się w demokratycznych wyborach. Wybory mieliśmy w ubiegłym roku, nie rewolucję – podkreślił Rama w pisemnych odpowiedziach na pytania Reutersa. Dodał, że jest gotów rozmawiać o rosnących kosztach edukacji, ale atakowanie instytucji i niszczenie mienia publicznego nie ma nic wspólnego z uzasadnionymi postulatami studentów.

W środę przed siedzibą ministerstwa edukacji zgromadziły się tysiące demonstrantów. Część z nich rzucała w budynek cegłami, zrywała metalowe bariery i przewracała kosze na śmieci. W gmachu ministerstwa wybuchł pożar, a według świadka zdarzenia, na którego powołał się Reuters, ogień pojawił się również w pobliskim oddziale banku Raiffeisen. Policja użyła gazu łzawiącego i armatek wodnych.

Studenci, protestujący przeciwko rosnącym kosztom edukacji i przypadkom korupcji, domagają się ustąpienia premiera. Demonstracje stanowią największe dotychczas wyzwanie dla Ramy, który w ubiegłym roku wygrał wybory i rozpoczął czwartą kadencję. **PAP**

eprasa.pl c1e91c68ff

Oryginalna rzeźba stanęła na grobie wrocławskiej artystki – **Str. 28**

PULS*regionów*

Jak przywrócić poczucie bezpieczeństwa uczniom i rodzicom? – **Str. 14-15**

BT

eprasa.pl c1e91c68ff

POLITYKA

Walka o Trybunał Konstytucyjny. Decydujące starcie

W Trybunale Konstytucyjnym idą zmiany. Dzisiaj zasiada w nim ośmiu sędziów wybranych przez obecny Sejm – to większość w 15-osobowym składzie. Tyle że nie wszystkich uznaje opozycja i prezydent Nawrocki. Wygląda jednak na to, że koalicja rządząca postanowiła się tym nie przejmować

Dorota Kowalska

To dość zadziwiające, że twarzą protestów pod Trybunałem Konstytucyjnym był Robert Bąkiewicz, polityk, bądź co bądź, mocno skompromitowany. Jarosław Kaczyński do protestujących dotarł dopiero później.

– To jest zamach stanu i tak powinien być traktowany. Wierzę, że nie minie rok i odpowiednie działania wymiaru sprawiedliwości będą już podjęte – powiedział prezes Kaczyński. – Ten atak był całkowicie bezprawny, obrona jest uzasadniona. Mamy prawo tutaj być i bronić Trybunału Konstytucyjnego. Są to działania o charakterze przestępczym. Niezależnie od tego, kto jaki mundur nosi, jeśli w tym uczestniczy, dopuszcza się przestępstwa. To jest legalna demonstracja – dodał.

Przed siedzibą TK zebrali się zwolennicy Prawa i Sprawiedliwości. Jak sami mówili, bronili Trybunału przed odbiciem przez koalicję rządzącą.

Ale też stało się to, czego wszyscy spodziewali się już od dłuższego czasu. W środę Maciej Berek złożył w Sejmie ślubowanie na sędziego Trybunału Konstytucyjnego. Uroczystość odbyła się w obecności marszałka Włodzimierza Czarzastego. Nie pojawił się na niej prezydent Karol Nawrocki.

– Wręczyłem panu Maciejowi Berkowi decyzję Sejmu o wybraniu go na sędziego Trybunału Konstytucyjnego. Pan Berek złożył ślubowanie wobec prezydenta w obecności notariusza – wyjaśnił Czarzasty. – Rola Sejmu w tym momencie się kończy, natomiast chcę powiedzieć, że rozpoczyna się czas na normalne, na skuteczne działanie Trybunału Konstytucyjnego. Oczekuję, że będzie to się działo w najbliższym czasie – stwierdził.

Czarzasty dodał, że Trybunał nie będzie już podejmował decyzji, które będą dyktowane „przez pana Kaczyńskiego, przez pana Ziobrę, który jest zastępcą pana Kaczyńskiego, przez pana Berkowicza".

– Nie będzie również Trybunał Konstytucyjny działał na wykładnię prezydenta, bez względu na to, jak się nazywa, bo Trybunał Konstytucyjny jest ciałem niezależnym, a nie jest ciałem zależnym od prezydenta albo od jakiejkolwiek partii politycznej – mówił marszałek Sejmu.

Czarzasty stwierdził, że w sprawie wybranych sędziów TK prezydent się „zagalopował", ale też, przynajmmniej jego zdaniem, Nawrocki „gubi się" w momentach, gdy sytuacja dla kraju i panującej w nim demokracji jest trudna.

– Ślubowanie wobec prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej nie mogło się odbyć, bo właśnie przyjmuję w Pałacu Prezydenckim prezydenta Czarnogóry – skomentował prezydent Karol Nawrocki, pytany o ślubowanie Macieja Berka w Sejmie. Jak podkreślił, jeśli Berek „nie dokonał tej formalności, oczywistej dla studentów pierwszego roku studiów, że wobec prezydenta takie ślubowanie przebiega w bezpośrednim sąsiedztwie przynajmniej prezydenta i wobec prezydenta, najlepiej w Pałacu Prezydenckim, (...) to z całą pewnością nie jest sędzią Trybunału Konstytucyjnego".

Marszałek Sejmu wydaje się opinią prezydenta nie przejmować. Czarzasty powołał się za to na wtorkową opinię Komisji Weneckiej, która uznała, że prezydent powinien niezwłocznie odebrać ślubowanie od sędziów Trybunału Konstytucyjnego wybranych przez Sejm. Organ doradczy Rady Europy przekazał, że w przypadku zaniechania ze strony Nawrockiego sędziowie mogą złożyć przysięgę bez jego obecności, w formie przewidzianej przez prawo i skierowanej do głowy państwa.

Tak też się stało w przypadku Macieja Berka, nie pierwszy raz zresztą. Wcześniej prezydent nie odebrał ślubowania od czterech innych prawników wybranych w marcu na sędziów Trybunału. Ci również złożyli ślubowanie w Sejmie „wobec prezydenta".

– Linia przyjęta przez Kancelarię Sejmu i przez Sejm okazuje się zgodna z prawem – podsumował Czarzasty.

Jak nadmienił, „sędziowie, ośmiu wspaniałych, wjechali już na teren Trybunału Konstytucyjnego".

Chłodne przywitanie

Tu czekali na nich zwolennicy Prawa i Sprawiedliwości pod wodzą Bąkiewicza.

FOT. PAP/MARCIN OBARA

Maciej Berek złożył ślubowanie w Sejmie i ma zrobić porządek w Trybunale. Ma na to pomysł

Trybunału bronił też jego prezes Bogdan Święczkowski.

Wiadomo, jak wyglądała rozmowa Święczkowskiego z Maciejem Berkiem i pozostałymi zaprzysiężonymi w Sejmie sędziami TK.

– Korzystając z ochrony SOP-u, wchodzicie państwo na teren Trybunału Konstytucyjnego. Warunkowo macie tylko zgodę w dniu dzisiejszym, żeby wejść tutaj, do Trybunału – powiedział do nich na korytarzu prezes Święczkowski. Następnie zwrócił się do samego Berka. – Przejdźmy do rozmowy – dodał, zapraszając sędziego do jednej z sal.

Potem, już przed TK, mówił, że uniemożliwił sędziom wejście do części sędziowskiej.

– Pan Berek nie został dopuszczony do orzekania do czasu uzyskania odpowiedzi od pana prezydenta, czy uznaje to ślubowanie za złożone w jego obecności – tłumaczył Święczkowski.

Ale on sam może mieć niebawem kłopoty. Zdaniem ministra sprawiedliwości Waldemara Żurka nowo zaprzysiężeni sędziowie mają bezwzględny obowiązek podjąć pracę w gmachu przy Alei Szucha.

– Ja nie tylko sobie nie wyobrażam, ale wierzę, że obowiązkiem sędziego jest stawić się do pracy. Sędzia Maciej Berek również musi się stawić. To nie jest przywilej, to nie jest jego fanaberia. To jest jego obowiązek – podkreślił minister na antenie Polsat News.

I dodał, że osoby blokujące sędziom wstępu do Trybunału łamią prawo.

– Każda następna osoba, która uniemożliwi sędziom wykonywanie swojego obowiązku konstytucyjnego, zostanie postawiona najpierw przed prokuratorem, a później przed niezawisłym sądem – oświadczył minister Żurek. I zasugerował, żeby „folwark pana Święczkowskiego wreszcie się opamiętał".

– Prokuratura już zadziałała w przypadku szefa ochrony straży trybunalskiej, postawiła zarzuty i zawiesiła go w czynnościach – wyliczał Żurek. – W przypadku szefowej Kancelarii Trybunału, która wykonywała bezprawnie działania pana Święczkowskiego, zostały postawione zarzuty, również została zawieszona w czynnościach i prokuratura będzie tu absolutnie konsekwentna – dodał.

Według szefa resortu sprawiedliwości sędziowie, którzy złożyli ślubowanie, stanowią fundament odbudowy instytucji i powinni bezzwłocznie „zacząć planować restytucję działania Trybunału Konstytucyjnego". Jak zaznaczył, paraliż uderza przede wszystkim w obywateli.

– Sytuacja jest rzeczywiście bardzo trudna. Mamy zresztą złożone doniesienia do prokuratury przez obywateli, którzy od wielu lat nie mogą się doczekać rozpoznania ich skarg. Mam wrażenie, że te sprawy były wrzucone do szafy – mówił Żurek.

Wiadomo, że prokuratura prowadzi postępowanie dotyczące ingerencji w składy orzekające. Kolejne śledztwo dotyczy manipulowania składami i bezprawnego zmieniania składów przez byłą prezes TK Julię Przyłębską i obecnego prezesa – Bogdana Święczkowskiego.

Trybunał z problemami

Tak czy inaczej, mamy w tej chwili razem z Maciejem Berkiem ośmiu członków Trybunału Konstytucyjnego wybranych przez obecny Sejm. To większość w 15-osobowym składzie. Prezydent Nawrocki nie odebrał jednak ślubowania od pięciorga z nich. Sędziowie złożyli je więc w Sejmie z formułą, że czynią to „wobec prezydenta". KPRP nie uznaje tego za ślubowanie, a prezes TK Bogdan Święczkowski nie dopuścił nowych sędziów do orzekania.

Ale to niejedyny problem Trybunału Konstytucyjnego. Ten może w 2027 roku zostać bez budżetu, a w konsekwencji bez możliwości normalnego działania. Pod koniec sierpnia minister finansów Andrzej Domański poinformował, że w projekcie budżetu państwa na 2027 roku nie uwzględniono dochodów i wydatków TK. Resort tłumaczył, że przekazana przez Trybunał informacja nie została wcześniej uchwalona przez Zgromadzenie Ogólne sędziów, czego wymagają przepisy. Bogdan Święczkowski przekazał ministrowi projekt budżetu mimo braku uchwały Zgro-

eprasa.pl c1e91c68ff

FOT. PAP/PAWEŁ SUPERNAK

Przed siedzibą TK zebrali się politycy i zwolennicy PiS. Jak sami mówili, bronili Trybunału przed odbiciem go przez koalicję rządzącą

madzenia Ogólnego, wskazując, że dwukrotnie nie udało się go przyjąć z powodu braku kworum.

Siedmioro sędziów TK alarmowało, że prezes Bogdan Święczkowski nie zwołuje Zgromadzenia Ogólnego, które powinno zająć się tą sprawą.

Autorzy pisma podkreślili, że „w trosce o zapewnienie możliwości prawidłowego funkcjonowania TK", a także mając na uwadze »oczywistą potrzebę zagwarantowania praw pracowniczych wszystkich osób zatrudnionych w TK, jak również świadczeń dla sędziów w stanie spoczynku«, domagają się zwołania Zgromadzenia Ogólnego „z udziałem wszystkich sędziów Trybunału wybranych przez Sejm".

„Zwołanie Zgromadzenia Ogólnego Trybunału Konstytucyjnego w tej sprawie jest obowiązkiem sędziego Bogdana Święczkowskiego, kierującego pracami Trybunału" – czytamy w dokumencie.

Sędziowie podkreślają, że pozbawienie Trybunału środków finansowych „grozi całkowitą niemożnością realizowania jego zadań, a w konsekwencji pozbawieniem obywateli ochrony konstytucyjnych wolności i praw".

Święczkowski tłumaczył jednak, że przeprowadzenie posiedzenia jest niemożliwe z powodu sporu o udział w nim części sędziów.

Wobec narastającego w TK chaosu plan Donalda Tuska był zatem prosty: Maciej Berek, jego prawa ręka, zaprowadzi w nim porządek. I z nieoficjalnych informacji wynika, że jest pomysł, jak to zrobić. Tym bardziej że ponoć niektórzy z sędziów wybranych do TK jeszcze za czasów Zjednoczonej Prawicy mają dość zamieszania i chcą normalnie pracować.

W drodze do chaosu

Skąd ten szum wokół Trybunału Konstytucyjnego? Historia politycznych zawirowań wokół TK zaczęła się w 2015 roku. I, żeby było jasne, winowajcą całego zamieszania byli politycy ówczesnej koalicji rządzącej, czyli Platformy Obywatelskiej i Polskiego Stronnictwa Ludowego. To głównie ich głosami 8 października 2015 roku Sejm VII kadencji wybrał pięciu nowych sędziów: Romana Hausera, Krzysztofa Ślebzaka, Andrzeja Jakubeckiego, Bronisława Sitka i Andrzeja Sokalę, którzy mieli być następcami trzech sędziów kończących kadencję 6 listopada i dwóch, których kadencje kończyły się w grudniu, a więc już w czasie następnej kadencji parlamentarnej. Tak więc wybrano sędziów niejako „na zapas". Kilka dni później odbyły się wybory parlamentarne, które wygrało Prawo i Sprawiedliwość.

Prezydent Andrzej Duda nie odebrał ślubowania od wybranych sędziów, choć zgodnie z obowiązującą wówczas ustawą o Trybunale Konstytucyjnym powinien to zrobić, ale też podkreślał, że ich wybór nie był zgodny z konstytucją.

Także posłowie PiS zakwestionowali konstytucyjność wyboru sędziów, ale czekali na rozwój sytuacji. Wniosek w tej sprawie do TK złożyli sami posłowie KO. 3 grudnia 2015 roku TK uznał, że Sejm VII kadencji wybrał dwóch sędziów TK w sposób niezgodny z konstytucją (w miejsce tych, których kadencja kończyła się w grudniu), a wybór pozostałej trójki (w miejsce tych, których kadencja skończyła się w listopadzie) był z nią zgodny.

PiS, zanim jeszcze zapadło rozstrzygnięcie w Trybunale Konstytucyjnym, unieważnił wszystkie uchwały z 8 października 2015 roku i wybrał pięciu nowych sędziów TK: Henryka Ciocha, Lecha Morawskiego, Mariusza Muszyńskiego, Julię Przyłębską i Piotra Pszczółkowskiego. Prezydent Andrzej Duda w nocy odebrał od nich ślubowanie.

Henryk Cioch i Lech Morawski zmarli w 2017 roku. W ich miejsce wybrano Justyna Piskorskiego i Jarosława Wyrembaka i dlatego, zdaniem większości prawników, podobnie jak Mariusz Muszyński zasiadają w TK bezprawnie. Stąd nazwa „dublerzy."

– W sprawie wyboru sędziów TK to nie my złamaliśmy konstytucję, ale nasi poprzednicy w poprzedniej kadencji. My nie mogliśmy tolerować łamania konstytucji – mówił potem prezes PiS Jarosław Kaczyński.

Politycy Platformy Obywatelskiej szybko zdali sobie z tego sprawę, że popełnili błąd, z którego skwapliwie skorzystali politycy Prawa i Sprawiedliwości.

– Za to działanie przepraszamy i jesteśmy przekonani, że na kanwie tej sprawy już nigdy więcej nie zdarzy się taka sytuacja – mówił już w grudniu 2015 roku Borys Budka, były minister sprawiedliwości.

– Co do tych dwóch uderzam się w pierś – wtórował mu Marcin Święcicki.

Krzysztof Brejza dodał z kolei, że „PO już wcześniej uderzyła się w pierś, składając wniosek do Trybunału Konstytucyjnego."

Kamila Gasiuk-Pihowicz stwierdziła, że wybór dwóch sędziów „na zapas" nie był najrozsądniejszym ruchem polityków Platformy, którzy najwidoczniej uznali, że większości sejmowa może wszystko. Ryszard Kalisz, prawnik, bez ogródek przyznał, że PO popełniła błąd i zrobiła to świadomie.

– Za dużo chciała. Doskonale wiedziała, że przegra wybory – ocenił.

Za błędy trzeba płacić. I koalicja rządząca właśnie to robi, starając się zakończyć niebezpieczną polityczną grę, którą sama rozpoczęła.

Walka z wiatrakami

Poprzedni minister sprawiedliwości Adam Bodnar działał powoli, z rozwagą, czym narażał się na krytykę tych, którzy uważają, że zmiany w wymiarze sprawiedliwości należy wprowadzać natychmiast. Po Prokuraturze Krajowej, odsunięciu rzeczników dyscyplinarnych powołanych przez Zbigniewa Ziobrę i wymianie prezesów sądów przyszedł czas na Trybunał Konstytucyjny.

Bodnar 4 marca 2024 roku nie z kim innym, a razem z Maciejem Berkiem, wówczas ministrem w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów, politykami ugrupowań rządzącej koalicji oraz byłymi sędziami TK przedstawił założenia kompleksowej reformy Trybunału Konstytucyjnego. Koalicja położyła na stół cztery projekty: uchwały Sejmu RP w sprawie usunięcia aktów kryzysu konstytucyjnego lat 2015-2023 w kontekście działania TK, ustawy o zmianie konstytucji, ustawy o Trybunale Konstytucyjnym, ustawy wprowadzającej ustawę o TK.

Sejm przyjął uchwałę w celu usunięcia skutków kryzysu konstytucyjnego oraz przywrócenia zgodności działalności Trybunału Konstytucyjnego. W ten sposób zrealizował pierwszy z czterech punktów planu zreformowania TK. Prawnicy podkreślali jednak, że to swoista deklaracja polityczna, która nie zmieni stanu prawnego. Do tego potrzebna jest nowa konstytucja i nowa ustawa o Trybunale Konstytucyjnym.

Sytuacja zmieniła się nieco, kiedy koalicja rządząca postanowiła obsadzić wolne wakaty w Trybunale Konstytucyjnym, części sędziów skończył się bowiem czas urzędowania w TK. Jeszcze przed wyborem nowych sędziów Sejm przyjął uchwałę w sprawie Trybunału. Ściśle mówiąc, chodzi o uchwałę w „sprawie działań niezbędnych do zapewnienia spełniania przez TK wymogów sądu ustanowionego na mocy prawa, niezawisłego i bezstronnego". Stwierdzono w niej, że Trybunał przestał spełniać swoją funkcję jako organ bezstronny i niezawisły, służący obywatelom jako najważniejszy strażnik ich konstytucyjnych praw, co – jak zaznaczono – zostało potwierdzone przez polskie sądy i europejskie trybunały. W przyjętej uchwale stwierdzono też, że należy podjąć działania przywracające niezawisłość i bezstronność Trybunałowi Konstytucyjnemu.

W Sejmie i w sieci zawrzało

Jak można się było spodziewać, ślubowanie Macieja Berka i jego wejście z pozostałymi sędziami do TK wywołało falę komentarzy – tak na sejmowych korytarzach, jak i w internecie.

– To jest groteska. Ja komentuję poważne rzeczy. Komedii czy tragikomedii nie komentuję. To jest podsumowanie tego, jak wygląda ta koalicja. W przeddzień wyborów zamykają się w gabinetach, udają, że ślubują przed prezydentem, a podstawą ich działania nie jest konstytucja i ustawy, tylko różnego rodzaju opinie, uchwały, stanowiska. To nie ma nic wspólnego z państwem prawa i demokracją. A pan Berek bardzo źle zapisze się w historii polskiego wymiaru sprawiedliwości i TK – stwierdził szef Kancelarii Prezydenta Zbigniew Bogucki.

„Dość kpiny z państwa. Ślubowanie sędziego TK składa się wobec Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej, nie wobec sejmowych mebli. To nie jest kwestia dekoracji ani politycznego gestu, lecz podstawowa reguła ustrojowa. Maciej Berek, godząc się na tę farsę, nie przywraca powagi Trybunałowi. Przeciwnie: dokłada kolejną warstwę chaosu do instytucji już głęboko uwikłanej w spór polityczny. Nie da się wyjść z tego zapętlenia kolejnymi obchodzeniem prawa i symbolicznych procedur. Potrzebny jest konstytucyjny reset TK: nowe otwarcie, jasne zasady i instytucja zdolna odzyskać autorytet. To właśnie proponuje Rozwój Plus" – pisze Mateusz Morawiecki, były premier z PiS, obecnie lider Rozwoju Plus.

Inaczej na sprawę patrzą politycy koalicji rządzącej.

„Maciej Berek złożył ślubowanie. Zgodnie z prawem, konstytucją i opinią Komisji Weneckiej. Obstrukcja Nawrockiego jest bez znaczenia. Naprawiamy TK" – napisał Zbigniew Konwiński, szef klubu parlamentarnego KO.

A Tomasz Trela z Lewicy zaznaczył, że „Święczkowski ma obowiązek przydzielić sprawy każdemu legalnie wybranemu sędziemu. Jeżeli tego nie zrobi, odpowiednie służby państwa powinny zrobić z nim porządek". „Dość tego pisowskiego dziadostwa!" – podsumował.

Wydaje się, że walka o Trybunał Konstytucyjny wchodzi w decydującą fazę. Problem w tym, że bez zmian przeprowadzonych ponad podziałami zawsze przez którąś ze stron sporu politycznego będzie uznawany za atrapę, instytucję działającą w sposób nielegalny.

eprasa.pl c1e91c68ff

ATAKI W SZKOŁACH

Dr Aleksandra Piotrowska: Szkoła nigdy nie była miejscem w stu procentach bezpiecznym, nie jest nim dzisiaj i nigdy się nim nie stanie

Wręczamy dzieciom smartfony i oczekujemy, że nie będą zawracały nam głowy. Potem martwimy się tym, co oglądają, czego słuchają i jak się zachowują – mówi dr Aleksandra Piotrowska i pyta, czego potrzebnego do rozwoju dzieci od nas nie dostają

Anita Czupryn

FOT. PAP/ART SERVICE

Dr Aleksandra Piotrowska: Wnętrze szkoły nie powinno być publicznie dostępne dla każdego, kto chciałby tam wejść. Natomiast to nie rozwiązuje sprawy

Kiedy dziecko mówi rano: „Nie pójdę do szkoły, bo się boję" albo pyta: „Mamo, czy mnie też ktoś może w szkole zabić?", jak odpowiedzieć, żeby nie kłamać, ale i nie przerazić?

Przede wszystkim odpowiadajmy bardzo spokojnie. Rodzice powinni wcześniej, bez udziału dziecka, przećwiczyć taką rozmowę. Na szczęście tego rodzaju pytania pojawiają się niebywale rzadko, ale warto zastanowić się we dwójkę, albo z przyjaciółką czy z matką dziecka w podobnym wieku, o co dzieci mogą pytać i jak im odpowiadać. Jeśli rozważymy to na chłodno, zwiększamy szansę, że zapanujemy nad własnymi emocjami, kiedy pytanie rzeczywiście padnie. Nie można wykluczyć, że rodzic wpadnie w panikę, zaczną mu się trząść ręce. To najgorsza sytuacja, bo jego zachowanie wzbudzi w dziecku dodatkowy lęk. Wtedy trzeba choćby natychmiast poprosić drugiego rodzica, żeby nas zastąpił. A więc przede wszystkim spokój. Nie tylko udziela się on dziecku, ale jest też dla niego informacją, że chyba nie jest tak dramatycznie, jak mogłoby się wydawać. Jeśli dziecko pyta: „Czy ja też mogę zginąć? Czy mnie też mogą zabić?", należy powiedzieć, że dzieci w Polsce są miliony, a takie przypadki krzywdy w szkole są naprawdę wyjątkowe, zdarzają się niewiarygodnie rzadko. Można przekierować jego uwagę na ruch samochodowy i powiedzieć, że znacznie więcej dzieci ginie w wypadkach drogowych. Czy to znaczy, że mamy nie wsiadać do samochodu? Chodzi o oswojenie dziecka z tym, że nigdy nie będziemy mieć stuprocentowej gwarancji bezpieczeństwa, ale wszyscy dorośli robią, co tylko możliwe, żeby było bezpieczne i tak się czuło. Natomiast zdecydowanie rodzice nie powinni zgadzać się na to, żeby dziecko nie poszło do szkoły.

Jednak znaleźli się tacy rodzice, którzy w ostatni piątek nie posłali dzieci do szkoły.

Niestety, bardzo źle zrobili. Przekazali dzieciom komunikat, że jest się czego bać, a sami ulegli plotkom i panice. Wiem, że mamy różną odporność na wpływy społeczne. Są wśród nas osoby, które bardzo łatwo ulegają sensacyjnym wieściom, niekoniecznie zaczerpniętym z internetu. Internet jest jednak narzędziem wyjątkowo skutecznie wywołującym tego rodzaju histerię, bo tak należy to nazwać. Pamięta pani panikę sprzed kilku lat wokół „Niebieskiego wieloryba"? Opowieści o wyzwaniach przekazywanych przez internet, wyssane z palca wieści, które nie odpowiadały rzeczywistości, a rodzice chętnie podawali je dalej. Nie dajmy się sami zwariować. Wtedy będziemy mogli zapanować nad lękiem dzieci.

Jak rozpoznać, czy dziecko boi się tego, co usłyszało, czy czegoś, co rzeczywiście dzieje się w jego szkole, ale o czym nam nie mówi?

Ma pani na myśli na przykład przemoc rówieśniczą?

Tak.

To nie jest coś, co pojawia się nagle, jednego dnia. Ma charakter ciągły, powtarzalny. Praktycznie nie ma możliwości, żeby zachowanie dziecka, które doświadcza takiej przemocy i się jej boi, nie uległo zmianie. Po prostu obserwujmy swoje dziecko. Jeśli z dnia na dzień milknie, przestaje opowiadać o tym, co się dzieje, choć wcześniej robiło to naturalnie, jeśli wyraźnie opiera się naszym pytaniom, powinno nam to podpowiedzieć, że jego obawy mają realne podstawy. Oczywiście chodzi o pytania życzliwe, a nie pytania śledczego, który chce wymusić zeznania. Tyle że wielu rodziców nie potrafi odróżnić zmian zachowania związanych z dojrzewaniem, wejściem w nowy etap rozwoju, od zmian wywołanych pojawieniem się zagrożeń w życiu dziecka. To nie jest łatwe. Spotykam się z przypadkami, kiedy rodzic nie reaguje i nie podejmuje działań, choć powinien, bo jest przekonany, że wszystko wynika z dojrzewania: „Dlatego dziecko cuduje". Nie są to sprawy oczywiste ani w każdym przypadku łatwe do rozróżnienia.

Po ostatnich wydarzeniach szkoły zaostrzają zasady: kontrolują wejścia, wprowadzają identyfikatory. Czy to właściwy kierunek? I czego nie da się załatwić nawet najlepiej pilnowanymi drzwiami?

To, że drzwi szkoły są pilnowane, jest jak najbardziej w porządku. Wnętrze szkoły nie powinno być publicznie dostępne dla każdego, kto chciałby tam wejść. Natomiast to nie rozwiązuje sprawy. Eliminuje pewien rodzaj zagrożeń. Ale co zrobicie z uczniami szkoły, którzy mają pełne prawo się w niej znaleźć, a z ich strony także mogą się pojawić i, jak wiemy, pojawiają się, niebezpieczne zachowania? Pilnowanie wejścia jest jak najbardziej wskazane, lecz nie usunie wszystkich problemów. Myślę, że bardzo ważne jest prowadzenie z dziećmi stałych rozmów, niemających charakteru akcyjnego. Absurdalne jest to, co niestety, wiem, będzie teraz miało miejsce w większości szkół: po tych wydarzeniach ruszy wychowawcza akcja, taśmowo będą organizowane godziny wychowawcze, które następnie zostaną odhaczone: „Uff, zrealizowaliśmy, już to z dziećmi zrobiliśmy". Nie o to chodzi. Trzeba, nie wzbudzając nieufności do wszystkich i wszystkiego wokół, uświadamiać dzieciom, że mają moc sprawczą i same w dużej mierze mogą zadbać o swoje bezpieczeństwo, choćby uważnie

eprasa.pl c1e91c68ff

obserwując otoczenie. To jest narzędzie, w które powinniśmy dzieci wyposażać; uczyć je, na co warto zwracać uwagę. Jeśli ktoś w powtarzalny sposób zapowiada, że zrobi coś złego, nie wolno zakładać, że się wygłupia, że robi sobie ze wszystkich bekę. Co setna czy co tysięczna taka sytuacja może być naprawdę groźna.

Dzieci słyszą: „Zgłaszajcie każdą groźbę". Co powinni zrobić dorośli, żeby potem dziecko nie zostało samo z łatką donosiciela?

Wydaje mi się, że czym innym jest naskarżyć na Kubę, że pokłócił się z Romkiem albo używa brzydkich wyrazów. To bez wątpienia skarżenie. Natomiast jeśli zachowania, o których zastanawiamy się, czy powiedzieć dorosłym, wzbudzają w nas, także w dzieciach, poczucie, że coś jest nie tak, że to chyba jest groźne i niepokojące, chodzi o zupełnie inną sytuację. Naprawdę, tam, gdzie chodzi o dbanie o bezpieczeństwo i zapobieganie takim zdarzeniom, nie ma mowy o oskarżaniu kogoś o kablowanie czy przypinaniu mu łatki szpicla. To zupełnie co innego i trzeba z dziećmi o tym rozmawiać.

A jeśli dzieci zaczną same szukać „podejrzanego" i znajdą go w cichym, nielubianym, samotnym koledze?

Dlatego trzeba rozmawiać z nimi w odpowiedni sposób. To nie kwestia jednej godziny wychowawczej, tylko procesu wychowawczego rozciągniętego na lata. Inny od nas nie znaczy niebezpieczny. A ktoś niebezpieczny może się znaleźć także wśród osób bardzo do nas podobnych. Trzeba zwracać uwagę, że prześladowanie dzieci ze względu na ubiór, pochodzenie, religię czy brak przynależności religijnej jest nierozsądne, prymitywne i po prostu fatalne. Tego człowiek powinien się wstydzić, a nie tego, że zaniepokojony wszczyna alarm, który potem okazuje się niepotrzebny. Lepiej pięć razy dmuchać na zimne.

Na internetowych grupach rodziców pojawiają się komunikaty: „Podobno nasza szkoła będzie następna". Jak zatrzymać strach podsycany przez samych dorosłych?

Natychmiast dopisać: „Nie pleć bzdur, puknij się w głowę". Zdecydowanie dać odpór. Minimum, które powinniśmy zrobić w takiej sytuacji, to nie przekazywać tej wiadomości dalej. Myślę jednak, że trzeba wyraźnie powiedzieć autorowi, że przyczynia się do siania paniki. Nic nie poradzimy na to, że są ludzie, którzy czują się ważniejsi, kiedy mają coś do powiedzenia o takich dramatach. Tak zawsze było, jest i będzie. Niestety w czasach internetu są wyjątkowo głośni i łatwo słyszalni.

Jak powinien wyglądać pierwszy dzień po powrocie do szkoły, w której doszło do ataku?

Na pewno nie powinien polegać na powtórce materiału czy kartkówce z ostatnich lekcji. Są sytuacje, w których przekazywanie wiedzy i sprawdzanie, czy została przyswojona, staje się najmniej ważne. Nauczyciele powinni w tych dniach przede wszystkim rozmawiać z uczniami. Nie wygłaszać wykładów, tylko pytać, co wiedzą o tych wydarzeniach, co myślą, jakie są ich odczucia. Dzielić się własnymi wątpliwościami, własnymi niejasnościami. To ma być rozmowa wyciszająca i uspokajająca, a nie straszenie czy odczytywanie z kartki kolejnych zaplanowanych punktów. Dopiero potem można zapytać: „No jak tam, możemy przejść do rachunków, geografii czy innych mądrości?". I nie mieć poczucia, że marnujemy czas, bo nie koncentrujemy się na dydaktyce. Jak mówię, są sytuacje, kiedy ona jest najmniej ważna.

Po atakach nożowników wróciło hasło: „Dawniej dzieci miały respekt wobec dorosłych i nauczycieli".

Tak, a dziewczynki nosiły dłuższe spódniczki. Oczywiście rzeczywistość się zmieniła. Ani nauczyciel, ani większość rodziców nie jest dziś automatycznie autorytetem. Żyjemy w innym świecie niż kiedyś i trzeba się do niego przystosowywać. To, co uważamy za bardzo złe i co możemy zmienić, powinniśmy zmieniać. Pewnych zmian nie da się jednak zanegować. Chociażby obecność internetu dostępnego przez całą dobę sprawia, że wiele sposobów postępowania skutecznych przed pięćdziesięcioma laty jest dzisiaj, mówiąc wprost, do bani. Do niczego się nie nadają.

Pojawiają się też wezwania do twardego wychowania, nawet do bicia. Dlaczego w odpowiedzi na przemoc część dorosłych domaga się przemocy?

Bardzo popularna wśród nas, dorosłych, jest wiara, że wszystko można zwalczyć odpowiednio dotkliwymi karami. I tych ludzi nie przekonają nawet tysiące badań dowodzących, że kara wywołuje tylko pozorną zmianę zachowania, trwającą tak długo, jak długo obok jest źródło kary. Dotarły do mnie informacje, że były minister Piontkowski także wygłaszał opinie, według których wszystko to dzieje się dlatego, że ginie tradycyjna rodzina i odrzucane są tradycyjne wartości. Jakoby w takiej rodzinie dzieci nie robiły nic złego. Przecież to absurd i nieprawda. Nie wolno przyjmować takich banialuk. Fatalnie zdarza się postępować zarówno dzieciom wychowywanym w bardzo tradycyjnych rodzinach, jak i w tych, które wychowują je zupełnie inaczej. Nie ma też większego znaczenia kondycja materialna rodziny. Niektórzy są przekonani, że takie zachowania zdarzają się tylko tam, gdzie jest bieda. To oczywiście również bzdura.

Jak zadbać o nauczycieli i pracowników szkoły, którzy sami się boją, a mają dawać dzieciom oparcie i poczucie bezpieczeństwa?

Przecież też są ludźmi i mają prawo odczuwać strach. Tym bardziej że w większości tych ataków ofiarami są przede wszystkim pracownicy szkół. Od podstawówki po uniwersytet i myślę również o tym, co wydarzyło się na naszym Uniwersytecie Warszawskim. Powinniśmy przede wszystkim dążyć do przywrócenia współpracy rodziców i nauczycieli. Znów: nie załatwimy tego jednym zebraniem czy jedną ustawą. W ciągu ostatnich, powiedzmy, dwudziestu lat wydarzyło się coś fatalnego: rodzice przestali postrzegać nauczycieli jako swoich współpracowników. A przecież jedni i drudzy w większości dążą do tych samych celów. Niestety żyjemy w czasach, kiedy głupota i chamstwo są o wiele wyraźniej słyszane niż rozsądek i mądrość. Docierają więc do ogromnej liczby ludzi. Ten denializm, odrzucanie wyników solidnych badań przyczynia się do powrotu chorób, z którymi, jak sądziliśmy, poradziliśmy sobie dzięki szczepieniom. Dzisiaj nie szczepimy dzieci. Proszę zobaczyć, jak łatwo zyskują popularność takie, za przeproszeniem, pierdoły o tym, że szczepionki bardzo szkodzą rozwojowi dzieci. Taka jest niestety rzeczywistość.

Dziecko, które krzywdzi innych, powinno wiedzieć, że poniesie konsekwencje. Można postawić mu granicę, ale jak jednocześnie dać pewność, że nie zostanie bez pomocy?

Zawsze warto zadać sobie pytanie: dlaczego krzywdzi? Poza najprostszymi odruchami człowiek podejmuje zachowania, które są czymś umotywowane, do czegoś zmierzają. Warto więc zapytać, czego z rzeczy bardzo potrzebnych do normalnego rozwoju to dziecko od nas nie dostaje. Zadziwia mnie, jak bardzo martwimy się tym, że dzieci siedzą w internecie, oglądają bzdury zamulające mózg, słuchają piosenek, których teksty jeżą włos na głowie. To nie jest hip-hop, to jest patohip-hop. I tym się tak bardzo martwimy, a nie zwracamy uwagi na to, co robią dorośli. Oni słuchają tych samych bzdur, może nie hip-hopu, może innych piosenek, ale o bardzo wątpliwej jakości i naprawdę skandalicznych tekstach. Oni też bezpowrotnie marnują mnóstwo swojego czasu, który mogliby poświęcić dzieciom. Ale jakież to przyjemne wręczyć dziecku smartfonik z dostępem do sieci i następnie, bo przecież większość dzieci ma dzisiaj własne pokoje, oczekiwać, że nie będzie człowiekowi zawracało głowy. To jest dzisiejsza rzeczywistość wychowawcza. Dlatego o dzieciach, które są sprawcami takich strasznych zachowań i zdarzeń, myślę zawsze zarówno w kategoriach sprawców, jak i ofiar. Ofiar braku takich doświadczeń, które powinny nauczyć je pewnych norm i zasad postępowania. Pyta pani o stawianie granic. Najpierw, bardzo przepraszam, trzeba przekazywać dzieciom normy i zasady funkcjonowania. Przy tej okazji kategorycznie rozróżniać to, co absolutnie niedopuszczalne, od tego, co nie jest najmądrzejsze, ale od biedy może się czasem zdarzyć. Jeśli dziecko czasem pójdzie spać bez umycia zębów, to nie jest fajne, ale akurat tutaj nie stawiałabym bezwarunkowej granicy. Krzywdzenie innych natomiast jest absolutnie niedopuszczalne. Kropka. Dziecko musi od najmłodszych lat, od czasu, kiedy ma dwa, trzy lata, uczyć się, że określone zachowania wywołują określone konsekwencje. Tyle dzisiaj mówimy o sprawczości – uświadamiajmy ją dzieciom od najmłodszych lat. Muszą doświadczać konsekwencji swoich zachowań, bo inaczej nie nauczą się, że są granice, których nie wolno przekraczać.

Niedawno rozmawiałam z Alkiem Korabem, autorem książki „Chory (k)raj. Jak naprawdę żyje się w Ameryce", który mieszka w Nowym Jorku. Opowiadał, że w USA dzieci wcześniej niż tabliczki mnożenia uczą się barykadować w szkole, zastawiać wejście ławkami. Trwa też debata, czy nauczyciel powinien mieć w szufladzie broń. Założenie jest takie: na przemoc złych ludzi powinni odpowiedzieć przemocą dobrzy ludzie.

To właśnie dlatego Ameryka jest chorym krajem. Ze względu na takie myślenie mają wielokrotnie więcej niż w naszym kręgu problemów z różnymi rodzajami agresji, także wśród dzieci i podejmowanej przez dzieci. Mam nadzieję, że nigdy nie kupimy tej koncepcji. Choć kiedy słyszę głosy, że dla mojego bezpieczeństwa niezbędne jest ułatwienie dostępu do broni, ciarki mnie przechodzą.

Co rodzice i szkoła mogą zrobić jutro, żeby dzieci szły na lekcje z większym spokojem?

Z dnia na dzień niczego nie da się zreperować. Tak jak psuło się latami, kiedy nie wyposażaliśmy dzieci w systemy norm i zasad postępowania, tak teraz przez długi czas trzeba będzie próbować sobie z tym radzić. Chyba że uznamy, iż prościej będzie wyposażyć nauczycieli w pistolety.

Kiedy uznamy, że szkoła odzyskała poczucie bezpieczeństwa?

Myślę, że szkoła nigdy nie była miejscem w stu procentach bezpiecznym, nie jest nim dzisiaj i nigdy się nim nie stanie. Nie da stuprocentowej pewności, że naszego dziecka nie spotka tam nic złego. Bardzo ważne jest natomiast, żeby cały personel szkoły, a także dzieci, byli przekonani, że każde zachowanie agresywne, każda przemoc wobec innych zostanie zauważona i będzie miała konsekwencje. Kiedy słyszę o niektórych przypadkach albo sama się z nimi stykam, proszę mi wierzyć, zastanawiam się, czy w ogóle jeszcze jest sens wykonywać mój zawód. Mam na myśli sytuacje, w których rodzice agresora krzywdzącego innych sprowadzają dobrze opłacanych prawników, którzy mają udowodnić i udowadniają, że ich dziecko zostało niesłusznie oskarżone, napiętnowane, że przeżywa niesamowitą traumę, a ofiary właściwie powinny pokornie prosić o przebaczenie. Takie sytuacje wciąż się zdarzają. Bo, jak dobrze wiemy, najgorzej, kiedy głupek i cham zaczyna dysponować pieniędzmi i władzą.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Aleksandra Piotrowska

Doktor psychologii. Pracownik naukowy Wydziału Pedagogicznego Uniwersytetu Warszawskiego i Wyższej Szkoły Pedagogicznej ZNP w Warszawie. Współpracuje jako społeczny doradca z Rzecznikiem Praw Dziecka i Komitetem Ochrony Praw Dziecka.

eprasa.pl c1e91c68ff

EDUKACJA I PRAWO

Szkolna nożycjada - dlaczego właściwie dziwi nas ta przemoc

Po udaremnionym ataku w Książkach i zabójstwie w Leszczydole wróciły propozycje instalowania bramek i zatrudniania ochroniarzy w polskich szkołach. Dyskusja o bezpieczeństwie odsłoniła problemy, o których pedagodzy mówili od lat. Ale nikt nie chciał ich słuchać

Adam Willma

Po udaremnionym ataku w Książkach i zabójstwie w Leszczydole wróciły propozycje instalowania bramek i zatrudniania ochroniarzy w polskich szkołach. Dyskusja o bezpieczeństwie odsłoniła problemy, o których pedagodzy mówili od lat. Ale nikt nie chciał ich słuchać.

28 września policyjny najazd na dom trzynastolatka z Zaskocza uchronił szkołę w Książkach przed dramatem. Ale już niespełna dwa tygodnie później nie udało się - dziewiętnastolatek zaatakował w Ostrołęce, raniąc dziewięć osób w szkole i jej otoczeniu. Następnego dnia piętnastoletni były uczeń podstawówki w Leszczydole-Nowinach pod Wyszkowem zaatakował pracowników placówki - zginęła 37-letnia woźna, a dyrektor i nauczyciel zostali ranni.

Wokół szkół pojawiły się dodatkowe patrole, powróciły pomysły sprawdzania plecaków, a w kilku miastach (w tym w Inowrocławiu) ruszyły inicjatywy instalowania bramek przy wejściu do szkół.

Kara za otwarcie plecaka

We Francji dyskusja o bezpieczeństwie zaostrzyła się po ataku w Nantes, gdzie 24 kwietnia 2025 roku uczeń liceum zabił koleżankę i zranił trzy inne osoby, oraz po zabójstwie 31-letniej pracownicy szkoły w Nogent 10 czerwca. W drugim przypadku nastolatek zaatakował podczas kontroli toreb. Francuski resort edukacji podsumował, że tylko w ciągu jednego roku szkolnego, podczas 6257 kontroli przy szkołach przejęto 364 sztuki broni białej. Służby zostały zobowiązane do prowadzenia regularnych kontroli, a władze zapowiedziały utworzenie 150 stanowisk głównych doradców wychowawczych i 600 stanowisk asystentów edukacyjnych. Program obejmuje również procedury dotyczące zdrowia psychicznego i przeciwdziałanie nękaniu.

Brytyjskie przepisy pozwalają dyrektorowi i upoważnionym pracownikom szkoły przeszukać ucznia lub jego rzeczy, a szkoły mogą stosować wykrywacze metalu. Najnowsze wytyczne przypominają o możliwości użycia przez pracowników szkoły siły, jeśli w ten sposób można zapobiec zranieniu, popełnieniu przestępstwa, niszczeniu mienia czy zakłócaniu porządku.

FOT. ADAM WILLMA

Tego rodzaju akcje są bardzo potrzebne, ale żeby rozwiązać problem przemocy wśród młodych ludzi, trzeba zrobić znacznie więcej

W Polsce brak podobnych uprawnień stał się przedmiotem politycznych deklaracji dopiero po ostatnich atakach. Do dziś przeszukanie plecaka ucznia grozi nauczycielowi dyscyplinarką z powodu „przekroczenia kompetencji". Dmuchając na zimne, Sławomir Broniarz, prezes ZNP, przestrzega, że przeszukiwanie plecaków „wykracza poza zadania nauczycieli, którym już teraz powierza się zbyt wiele czynności niezwiązanych bezpośrednio z nauczaniem i wychowaniem".

Drzwi do frustracji

Argumentacja Broniarza jest częściowo uzasadniona - już dziś coraz trudniej pozyskiwać do zawodu nowych kandydatów, a oczekiwania wobec szkoły obejmują kolejne dziedziny życia dziecka.

W kontekście brutalnych ataków, trudno zresztą wyobrazić sobie, w jaki sposób nauczyciele mieliby im przeciwdziałać. Tym bardziej, że zawód nauczyciela został niemal całkowicie sfeminizowany - kobiety stanowią dziś 88 proc. nauczycieli w podstawówkach. Feminizacja zawodu jest zresztą zjawiskiem europejskim: w szkołach podstawowych i średnich całej Unii kobiety zajmowały 72,9 proc. stanowisk nauczycielskich. Do tego nauczyciele przed trzydziestką stanowią zaledwie 4 proc. zatrudnionych w szkołach podstawowych i średnich. To jeden z najniższych wskaźników w Unii.

Do tego zapewnienia bezpieczeństwa polskim dzieciom oczekujemy od jednej z najbardziej sfrustrowanych grup zawodowych. Tylko 10 proc. polskich nauczycieli ma poczucie, że ich zawód jest ceniony w społeczeństwie (wobec średnio 22 proc. w Europie).

Pod presją rodziców

Jeśli do obowiązku realizacji programu, rozpoznawania problemów i współpracy z rodziną dorzucimy nauczycielom obowiązek zapewnienia bezpieczeństwa, rodzi się pytanie - jakie mają do tego narzędzia. Bo kolejne reformy coraz bardziej ograniczały zawodową samodzielność nauczycieli, wpychając ich w gąszcz procedur. W badaniu z 2024 aż 44 proc. nauczycieli przyznało, że sprawy zgłaszane przez rodziców stanowią dla nich źródło stresu. Podobny odsetek jako źródło stresu wskazywał nadmiar pracy administracyjnej.

Rodzicielska kontrola miała w założeniu ujawniać błędy szkoły i chronić dziecko przed niewłaściwym traktowaniem. W praktyce coraz częściej próba wyegzekwowania zasad wywołuje protesty części rodziców. Mirosław Kwiatkowski, wieloletni wychowawca młodzieży z Torunia, uważa, że nadopiekuńczość utrudnia dzieciom poznawanie skutków własnego postępowania: - Dorosłe życie składa się także z przykrych niespodzianek, którym dzieci mogą kiedyś nie sprostać. A powinny wiedzieć, że jeżeli ktoś się nie uczy, zabiera innym zabawki, bije rówieśników albo przeszkadza w zajęciach, poniesie konsekwencje. I nie będą one miłe. Szkoła powinna w miarę możliwości współpracować z rodzicami, ale nie zastępować ich w realizacji rodzicielskich obowiązków.

Zatopieni w papierach

Podobnie problem definiuje Dariusz Bąkowski, doświadczony nauczyciel, autor kilku podręczników historii: - Szkoły nie spełniają funkcji wychowawczych. Brakuje czasu, współpraca szkoły z rodzicami jest słaba. Rodzice często oczekują, że szkoła ich zastąpi. W szkołach brakuje pedagogów, a tych, którzy są, pochłania głównie wypełnianie papierów.

W opinii nauczycieli system dokumentowania pracy zniechęca do zajmowania się trudnościami, które powinny jak najwcześniej zwrócić uwagę dorosłych: - Szkoły dusi potworna biurokracja - przekonuje Dariusz Bąkowski. - Lepiej jest nie widzieć problemu, niż go dostrzec, bo to wiąże się z wypełnianiem całej masy dokumentów. Procedur jest tyle, że praktycznie nikt nie zna ich wszystkich. Nasze szkoły to biurokratyczne machiny, w których liczą się minimalizacja kosztów i sprawozdawczość. Ludzie nie są ważni.

Nie tyle internet, co algorytmy

Podczas gdy szkoła poświęca ogrom czasu na karmienie biurokratycznej bestii, znaczna część życia ucznia toczy się w środowisku, o którym dorośli nie mają pojęcia. Prof. Tomasz Szlendak, socjolog z UMK, uważa, że utrata nadzoru nad tym, co dzieci robią w telefonach, ma poważne konsekwencje wychowawcze. - Rodzice nie mają kontroli nad tym, co dzieje się w telefonach dzieci, a cały świat młodego człowieka jest dziś zapośredniczony przez smartfon. Nie kontroluje tego ani rodzic, ani nauczyciel. Wyzbyliśmy się kontroli nad dzieckiem.

Tymczasem internet skraca drogę do treści związanych z agresją i daje wiedzę ułatwiającą jej zastosowanie. Pokazuje, jak wykonać akt agresji, co zrobić, żeby zdjąć z siebie ciężar stresu, który dopada w szkole. Oferuje gotowe wzorce.

Prof. Szlendak dopuszcza prawne ograniczenia korzystania z mediów społecznościowych przez najmłodszych. Jego zdaniem ewentualna możliwość omijania zakazów nie jest przekonującym argumentem: - Być może zakaz korzystania z mediów społecznościowych do określonego wieku jest nieskuteczny, bo będzie omijany. Ale co z tego, że będzie omijany? Istotne jest, żeby istniało jakieś narzędzie, również prawne, które pozwoli przeciwdziałać wpadaniu dzieci w takie bańki. Ograniczenia technologii albo mediów społecznościowych na pewno wchodzą w grę. Bez tego nie poradzimy sobie z problemem.

Prof. Jacek Pyżalski, pedagog z UAM w Poznaniu, przestrzega jednak przed oczekiwaniem, że ograniczenie dostępu do sieci usunie problemy, z którymi dziecko przychodzi do internetu z domu i szkoły: - Lubimy wskazywać jeden czynnik: internet. Wydaje nam się, że kiedy ograniczymy czas korzystania z niego, będzie cudownie. Ale to nie jest takie proste. W badaniach, w których zestawia się czas korzystania z internetu z negatywnymi wskaźnikami zdrowia psychicznego, te związki są stosunkowo słabe. Dłuższy czas korzystania wiąże się statystycznie z nieco gorszymi wskaźnikami, ale to słabe powiązanie. Wpływa na to między innymi fakt, że z internetu możemy korzystać na bardzo różne sposoby.

Badacz zwraca uwagę na algorytmy, które mogą pogłębiać istniejące już trudności młodego człowieka, dopasowując do nich kolejne materiały: - W naszym badaniu młodzi ludzie, którzy mieli myśli samobójcze, dużo częściej wskazywali, że wyświetlały im się treści o takim charakterze. Można powiedzieć, że to algorytmy zamykały dziecko z problemami w internecie, który te problemy nasilał.

Porządek zewnętrzny

Pyżalski, który od lat bada przemoc rówieśniczą, przestrzega przed ocenianiem całego młodego pokolenia na podstawie kilku drastycznych zdarzeń: - W polskich szkołach mamy pewien rodzaj porządku zewnętrznego. Jednocześnie, kiedy patrzymy na wyniki badań, słabo wypadamy pod względem identyfikacji uczniów ze szkołą, poczucia bycia częścią szkolnej społeczności.

Przestrzeganie regulaminu może więc istnieć równolegle z osamotnieniem i brakiem zaufania do świata dorosłych. Symbolem diabolicznego tryumfu szkolnej biurokracji jest sprawa 15-letniego Harveya Willgoose, który w ubiegłym roku został śmiertelnie ugodzony nożem przez rówieśnika w szkole w Sheffield. Jak wykazali prawnicy rodziny, dokumentacja dotycząca wcześniejszych zachowań napastnika dotarła z jego poprzedniej szkoły, ale nikt jej nie przeczytał. Procedury nie wskazywały wystarczająco jasno kto powinien to zrobić.

©℗

eprasa.pl c1e91c68ff

ROZMOWA

Bezpieczeństwo zaczyna się od wiedzy. „72 godziny, przez które odpowiadasz za siebie sam”

Czy Polacy są przygotowani na sytuację kryzysową? Dlaczego warto mieć plecak ewakuacyjny i nie liczyć wyłącznie na państwo? Czy Podkarpacie, z racji strategicznego znaczenia Jasionki, jest dziś bardziej zagrożone czy lepiej chronione? O tym rozmawiamy z płk. dr. Wiesławem Lewickim z Politechniki Rzeszowskiej, ekspertem ds. bezpieczeństwa i obronności.

Andrzej Pięs

- Po czterech latach wojny za wschodnią granicą wielu z nas nadal żyje w przekonaniu, że jest całkowicie bezpiecznych, pełną odpowiedzialność za swoje bezpieczeństwo cedując na armię i służby porządku publicznego. Co grozi społeczeństwu, które na takie zagrożenia samo nie jest gotowe?

- Odpowiedź jest banalna: ogromna liczba ofiar. Może trzeba zintensyfikować przekaz, że moje bezpieczeństwo to przede wszystkim zadanie dla mnie samego. Ludzie często zakładają, że o ich bezpieczeństwo zadbają wojsko, policja czy inne służby. Tymczasem nawet 80 - 90 proc. bezpieczeństwa zależy od nas samych. Nie będzie tak, że w sytuacji kryzysowej przy każdym obywatelu staną jednocześnie żołnierz, policjant i ratownik medyczny. Pierwszą linią obrony jesteśmy my sami. Przykładem mogą być Finowie, którzy przez bardzo wiele lat żyli pod presją rosyjskiego nacisku, bo dopiero niedawno stali się członkiem NATO, wcześniej o swoje bezpieczeństwo sami musieli zadbać. Od lat uczą obywateli zasady „72 godzin”. Oznacza ona, że przez trzy doby człowiek powinien być w stanie samodzielnie zapewnić sobie bezpieczeństwo w stu procentach: miejsce schronienia, zapasy wody, żywność, ciepło i podstawowe warunki do życia. I dopiero po tym czasie może oczekiwać pomocy państwa. Wpajane jest im to od wieku szkolnego po senioralny. Kto z nas w Polsce jest przygotowany na to, by 72 godziny przeżyć choćby tylko bez prądu?

- Jak o siebie i zapewne bliskich powinien zadbać przeciętny obywatel?

- Przede wszystkim przygotować własny plecak ucieczkowy, na co uczulam studentów. I nie kupować gotowego zestawu w internecie, ale skompletować go samodzielnie pod własne potrzeby i miejsce zamieszkania. W takim plecaku powinny znaleźć się między innymi: zapas wody, żywność długoterminowa, latarka czołowa, powerbank, podstawowe leki, dokumenty, ale też coś, co pozwoli zachować równowagę psychiczną w sytuacji silnego stresu. Ja do swojego zapakowałem różaniec, w bardzo stresogennej sytuacji skrajnego zagrożenia wsparcie duchowe jest nie mniej ważne niż zapasy żywności dla ciała. Jak ktoś chce, może zapakować talię kart do gry. Jak podkreśla ekspert, równie ważne jak przetrwanie fizyczne, jest utrzymanie odporności psychicznej. Podczas II wojny światowej powstało powiedzenie, że w okopach nie ma ateistów.

FOT. MARCIN ŻMINKOWSKI

Przez lata Europa, w tym Polska, żyła w przekonaniu, że wojna na kontynencie jest niemożliwa

- O plecak każdy sobie może zadbać, o bezpieczne miejsce schronienia już nie każdy.

– W Polsce nadal brakuje schronów i miejsc ukrycia, ale ich brak nie zwalnia nikogo z myślenia o własnym bezpieczeństwie. Moim zdaniem właściciele domów jednorodzinnych powinni rozważyć przygotowanie piwnic na potrzeby awaryjnego schronienia. Równie ważna jest współpraca sąsiedzka i tworzenie lokalnych grup wsparcia. Jeśli mam odpowiednie pomieszczenie, mogę zaprosić sąsiadów i wspólnie przygotować miejsce, w którym kilka rodzin przetrwa pierwsze godziny kryzysu. To właśnie budowanie odporności społecznej.

- Mówimy o bezpieczeństwie indywidualnym, tymczasem alert RCB z adnotacją „poszukaj miejsca bezpiecznego schronienia” wywołał wręcz panikę w szkołach, urzędach, obiektach użyteczności publicznej. Zbiorowo też nie jesteśmy przygotowani na natychmiastową ewakuację.

- I to wydarzenie obserwowały siły nam wrogie, zastanawiając się pewnie, w jaki sposób te obserwacje wykorzystać. Brakuje nam wiedzy i reakcji na zagrożenia indywidualnie i - jak się okazało - zbiorowo. A bezpieczeństwo zaczyna się od wiedzy: jeśli jesteśmy w stanie zidentyfikować, zdiagnozować źródła i rodzaj zagrożenia, również za pomocą posiadanej wiedzy będziemy mogli zapobiegać jego skutkom. Tym ważniejsze jest skuteczne przekonywanie obywateli, że tego rodzaju wiedza potrzebna jest nam wszystkim. Szczególnie w obliczu nowego rodzaju działań wojennych, jaki obserwujemy na Ukrainie. Czasy, kiedy wojna ograniczała się do działań pozycyjnych wojsk i zamykała w granicach frontu, odeszły bezpowrotnie. Atakowany z powietrza Lwów jest zaangażowany w działania wojenne kilkaset kilometrów od linii frontu. Ta wojna nie angażuje wyłącznie wojsk, angażuje całe społeczeństwo na całym terytorium. I to jeden z powodów, dla których wszyscy powinniśmy przygotować się na czarny scenariusz.

- Było o bezpieczeństwie indywidualnym, teraz o regionalnym: przed dwoma laty kremlowska telewizja straszyła zbombardowaniem lotniska w Jasionce, które stało się hubem pomocy dla Ukrainy. Mieszkańcy regionu zaczęli dyskutować: przez Jasionkę wzrosło dla nas zagrożenie czy strzeżeni przez baterie Patriot jesteśmy jednym z bezpieczniejszych miejsc w Europie. Które z tych twierdzeń jest bliższe prawdy?

- W takiej sytuacji mówimy już o groźbie zbrojnego konfliktu Rosji z NATO, starciu wielkich armii, a pełnoskalowy atak militarny na NATO jest mało prawdopodobny. W myśl takiego scenariusza Jasionka raczej nie będzie zaatakowana w sposób pełnoskalowy, ale już obiektem dywersji rosyjskiej może być, bo Rosja testuje odporność i reakcje państw NATO w taki właśnie sposób: pod progiem wojny, tolerowany przez opinię światową. Jeśli ktoś bywa w okolicach lotniska w Jasionce, to musi zauważyć, że port jest bardzo dobrze chronionym obiektem. Widzimy obecność wojska i policji, ale należy zakładać, że działa tam również wiele służb, których nie dostrzegamy, a które - zakładam - dostrzegają wszystko. I zapewne nie tylko polskich, sojuszniczych też. Bardziej realne są działania poniżej progu wojny: dywersja, sabotaż, cyberataki czy wojna informacyjna.

- Ukraiński Krym zajęły „zielone ludziki”, granice Łotwy – członek NATO – przekroczyła od strony Białorusi grupa uzbrojonych „Czarnych Rusów”, którzy zapowiedzieli podobne akcje w innych krajach NATO i UE. A nam to – zapewnia pan – nie grozi, bo?

– Podobne problemy ma estońska Narwa przy granicy z Rosją. Tak zwane zielone ludziki mogły działać tam, gdzie miały wsparcie części lokalnej społeczności: Narwę i okolice tego miasta zamieszkuje liczna mniejszość rosyjska, na Krymie bardzo wielu jej mieszkańców jeszcze przed inwazją „zielonych ludzików” w 2014 roku mocno sympatyzowało z Rosją i z nią się utożsamiało. W Polsce nie widzę przestrzeni dla podobnego zjawiska. Dywersanci zostaliby bardzo szybko zidentyfikowani i nie znaleźliby dla siebie wsparcia wśród lokalnej społeczności. Nie dostaliby schronienia, żywności, pomocy, leków, informacji, za to ich obecność zapewne natychmiast byłaby zgłoszona stosownym służbom. W sumie – znaleźliby się w skrajnie niesprzyjających warunkach, niemal uniemożliwiających działanie. Choć z drugiej strony – kreatywność Rosji w podejmowaniu działań dywersyjnych jest zaskakująco duża.

- A społeczeństwo polskie słabo na takie działania odporne. Już nie chodzi o brak schronów, lekceważenie zagrożeń i ironię wobec plecaków ewakuacyjnych. Wystarczyły dwa – trzy ataki frustratów na szkoły, by wywołać panikę. Rosja pewnie dostrzega w tym potencjał dywersyjny.

- I pewnie zauważyła, że rodzice ze strachu przestali posyłać dzieciarnię na lekcje, a przecież pełne ludzi na przykład galerie handlowe też mogą być obiektami podobnych i wywołujących panikę ataków. Przez lata Europa, w tym Polska, żyła w przekonaniu, że wojna na kontynencie jest niemożliwa. W efekcie społeczeństwa stopniowo traciły wiedzę dotyczącą obronności i przetrwania, w Polsce szkoła uchodziła za azyl bezpieczeństwa, teraz okazuje się, że takie przekonanie jest złudne, a my nie potrafimy zachować się wobec takich zagrożeń. Dawniej wielu młodych ludzi przechodziło służbę wojskową. Niezależnie od jej ocen, wynosili praktyczną wiedzę przydatną w sytuacjach kryzysowych. Dziś ta wiedza stopniowo zanika. Dlatego apeluję o większe zainteresowanie szkoleniami z zakresu ochrony ludności, pierwszej pomocy i reagowania kryzysowego, bo największym zagrożeniem nie jest dziś brak sprzętu czy schronów, lecz brak świadomości. ©℗

eprasa.pl c1e91c68ff

DOLNY ŚLĄSK

Hotel Sanssouci. Bliski powrót luksusu

Wielkie emocje i nadzieje na odbudowę pięknego hotelu Sanssouci w Karpaczu, legendarnej budowli Karkonoszy, przystopowały, gdy prace przerwano dwa lata temu. Teraz powraca nadzieja, że obiekt zostanie ukończony i w zabytkowych wnętrzach znów pojawią się goście

Alina Gierak

Hotel Sanssouci w Karpaczu, zabytkowy budynek z pięknymi wnętrzami i historią gotową na scenariusz filmowy, niszczał od lat 90. XX wieku. Obiekt kupił Artur Kozieja, prezes Grupy Europlan, znany hotelarz, właściciel m.in. kompleksu Lake Hill w Sosnówce. Obiecywał gruntowny remont, odtworzenie zabytkowych wnętrz i budowę strefy SPA. – Budynek będzie zachwycać najwyższym standardem, przekraczającym nawet 5 gwiazdek. Będzie on połączeniem dawnego piękna, a także nowoczesnego luksusu – zapewniał na konferencji poświęconej zabytkom Artur Kozieja.

Remont ruszył z kopyta w 2022 roku i budynek zmieniał się na naszych oczach. Niestety, dwa lata temu prace stanęły w miejscu. – Przeszkodziła nam epidemia koronawirusa. Pojawiły się problemy się finansowaniem. Jak to bywa przy remoncie zabytku, wyszły nieplanowane inwestycje. Trudno było ponownie przystąpić do prac – nie ukrywa Kozieja.

Po wielu miesiącach starań udało się pozyskać nowych wspólników spółki Sanssouci Karpacz sp. z o.o. oraz zapewnić finansowanie dalszych prac. Powinny rozpocząć się lada dzień.

Gotowe są apartamenty, ale...

– Mamy aktualne pozwolenie na użytkowanie i gotowych 105 apartamentów. Pozostaje wyposażenie i dokończenie części wspólnych, m.in. recepcji, SPA, sal konferencyjnych – wylicza Artur Kozieja.

To co dało się uratować z zabytkowej tkanki, uratowano i połączono z nowoczesnymi materiałami. Resort składać się będzie z dwóch obiektów: odrestaurowanego zabytkowego budynku oraz nowo wybudowanego skrzydła z tarasem widokowym, fontanną i ogrodami. Wnętrza hotelu będą eleganckie i nowoczesne. Zachowano historyczną salę bankietową. Działać będzie restauracja, dostępna także dla gości z zewnątrz. Dla gości hotelowych będzie strefa SPA z basenem wewnętrznym, jacuzzi i saunami.

Autorem projektu jest architekt Robert Futerhendler, a wykonawcą Erbud S.A. Koncepcję wnętrz przygotowała firma AB Concept Design.

FOT. JERZY MYRNA

Hotel znajduje się koło świątyni Wang, w samym centrum turystycznym Karpacza

Hotel Sanssouci – historia jak z filmu

Budynek stoi w Karpaczu Górnym, blisko świątyni Wang i wejścia na karkonoskie szlaki. Dziś to turystyczne centrum miasta. Na początku lat 20. XX w. było to zaniedbane miejsce z kilkoma nieciekawymi pensjonatami i hotelami. Jeden z nich należał do rodziny Juliusa Mosta. Julius wyjechał z Karpa-

MATERIAŁ INFORMACYJNY: ZARZĄD ZASOBU KOMUNALNEGO
0011598849

Projekt Ptasia – nowe życie wrocławskiego Nadodrza

Wrocławskie Nadodrze ze swoją XIX-wieczną zabudową czynszową zachowało wiele śladów swojej historii. Dziś ta część miasta systematycznie zyskuje nowe oblicze, łącząc architektoniczne dziedzictwo z potrzebami współczesnych mieszkańców.

Projekt Ptasia realizowany przez Zarząd Zasobu Komunalnego to nie tylko estetyczna metamorfoza, ale przede wszystkim poprawa warunków bytowych mieszkańców oraz społeczno-architektoniczna odnowa – tak aby zabytkowa tożsamość architektury połączyła się z wymogami współczesnego, ekologicznego miasta.

Skala, znaczenie, wartość

To jeden z ważniejszych programów rewitalizacji kamienic komunalnych realizowany obecnie we Wrocławiu – obejmuje 16 budynków komunalnych, w których mieści się ponad 250 lokali mieszkalnych, dwa rozległe wnętrza podwórzowe oraz teren targowiska. Całe przedsięwzięcie ma kosztować ponad 40 milionów złotych.

Pierwsze spektakularne efekty można już oglądać: neobarokowa kamienica przy ul. Kurkowej 61-63 - nazwana „błękitną kamienicą" za sprawą nowego koloru fasady z odnowioną sztukaterią – oraz jej sąsiadka Kurkowa 65 radykalnie odmieniły estetykę okolicy.

Kolejny etap to modernizacja budynków przy ul. Ptasiej 38 oraz ul. Kurkowej 34 a następnie pierzeja kamienic przy ul. Ptasiej 9, 11, 13, 15 oraz Ptasiej 14. Na liście budynków przeznaczonych do pełnej odnowy znajdują się również adresy Ptasia 25 i 27, oraz Kurkowa 67 i 69, a także Podwórcowa 11 oraz plac Strzelecki 6 i 8. Pełne domknięcie prac budowlanych i zagospodarowania terenu zaplanowano na lata 2027–2029.

Projekt Ptasia przynosi przede wszystkim kompleksową termomodernizację i renowację ponadstuletnich kamienic. Całkowita likwidacja starych pieców węglowych i podłączanie kamienic do bezpiecznej, ekologicznej miejskiej sieci ciepłowniczej to kluczowy dziś element i poprawy standardów życia, i walki ze smogiem. Kolejne zmiany to remonty elewacji, wymiana stolarki okiennej, naprawy lub wymiana konstrukcji dachowych, nowoczesne docieplenia strychów i piwnic, wreszcie nowe piony wodno-kanalizacyjne, wentylacyjne oraz instalacje elektryczne.

Zielono w wielkim mieście

W czasie gdy trwają remonty kolejnych kamienic, podczas konsultacji społecznych oraz na biurkach projektantów wykluwa się także zielona rewolucja podwórek tego kwartału. Dwa duże wnętrza podwórzowe - w kwartałach ulic Ptasia/Kurkowa/pl. Strzelecki oraz Ptasia/Pomorska/pl. Strzelecki/Podwórcowa - mają zamienić się w przyjazne mieszkańcom wielofunkcyjne i bogate w zieleń miejsca sąsiedzkich spotkań z placami zabaw i strefami rekreacji, z nowoczesną infrastrukturą do segregacji odpadów oraz uporządkowaną nawierzchnią i miejscami postojowymi.

O wyjątkowości Nadodrza stanowią nie tylko zabytkowe kamienice i podwórka. Ważną częścią lokalnego krajobrazu jest także Rynek na Ptasiej – miejsce codziennych zakupów, sąsiedzkich spotkań i rozmów, które od lat wpisują się w życie tej części miasta. Jego odnowa będzie kolejnym elementem przemian, dzięki którym historyczna zabudowa i ważne dla lokalnej społeczności przestrzenie zyskają nową jakość.

Dzięki takiemu podejściu Projekt Ptasia realnie odmienia oblicze Nadodrza. Surowe podwórka i kamienice nadgryzione zębem czasu - jeszcze niedawno służące jako plan filmowy, imitując choćby powojenny Berlin w spielbergowskim „Moście Szpiegów" - teraz będą służyć jako przykład zmian idących z duchem czasu.

eprasa.pl c1e91c68ff

cza Górnego i dorobił się ogromnego majątku w kopalniach Ameryki Południowej. Część majątku ulokował w nieruchomościach, przede wszystkim w reprezentacyjny hotel, którego budowę rozpoczął w 1897 roku. Nie planował stworzenia kolejnego pensjonatu w tyrolskim stylu – zależało mu na wybudowaniu najbardziej luksusowego hotelu w regionie. Zwłaszcza kilkuosobowa winda, ozdobna, stalowa i pięknie wykończona była dla gości nie lada atrakcją.– Winda osobowa, elektryczne oświetlenie, łazienka, zimna i ciepła woda z wodociągu, radio i telefon do dyspozycji w pokojach gościnnych, ogrzewanie centralne oraz inne udogodnienia – reklamował się hotel w 1920 roku.

Julius Most nazwał hotel Sanssouci, co znaczy beztroski. Takie chwile mieli tu spędzać goście. A zjeżdżali ze wszystkich stron Europy. Interes kwitł i przynosił duże dochody.

Tajemnicze spotkanie dyplomatów

W czasie II wojny światowej hotel przejęło państwo niemieckie. Prawdopodobnie na początku 1942 roku, kilkanaście miesięcy po podpisaniu paktu berlińskiego (porozumienia między Niemcami, Włochami i Japonią), Sanssouci stał się w części siedzibą Ambasady Cesarstwa Japonii. Ze względu na lokalizację mieściła się tu także placówka wywiadowcza Rzeszy.

Podaje się, że w Sanssouci w Karpaczu spotkali się faszystowscy dygnitarze z dyplomatami misji z Danii, Francji, Włoch, Chorwacji, Szwecji, Turcji, Szwajcarii, Rumunii, Słowacji, Hiszpanii oraz Portugalii. Niemieccy urzędnicy przedstawili plan „ostatecznego rozwiązanie kwestii żydowskiej w Europie", o czym wcześniej rozmawiano na słynnej konferencji w Wansee.

Sanssouci, czyli DW „Urocza"

Po II wojnie Sanssouci rozgrabiony został przez sowieckich żołnierzy. Później przejęty przez PZPR na budynek rządowy ówczesnych Bierutowic (tak nazwana została górna część Karpacza). Mówiono, że UB miał w tym budynku więzić i przesłuchiwać byłych akowców . Ponoć wypoczywać tam mieli Bolesław Bierut i Władysław Gomułka.

W latach 50. hotel Sanssouci przekazano Funduszowi Wczasów Pracowniczych, który przemianował obiekt na FWP Urocza 1. „Urocza" słynęła z wysokiego poziomu obsługi, wystawnych przyjęć oraz luksusu. Tu należało bywać i balować. Turnus w Karpaczu bez wizyty w „Uroczej" był zmarnowany.

Ostatecznie jednak uznano, że budynek nie jest wystarczająco rentowny, dlatego Fundusz Wczasów Pracowniczych sprzedał obiekt. Od tego czasu hotel kilkukrotnie zmieniał właścicieli, ale żaden z nich nie zdecydował się na jego uruchomienie. Z tego powodu stan budynku z roku na rok coraz bardziej się pogarszał.

W 2020 roku na kupno Sanssouci zdecydował się Artur Kozieja, szef Grupy Europlan. Postanowił uratować Sanssouci i urządzić w nim hotel, jakiego nie ma w Karkonoszach. Tak jak przed laty Julius Most.

FOT. HOTEL SANSSOUCI W KARPACZU

Julius Most nazwał hotel Sanssouci, co znaczy beztroski

FOT. JERZY MYRNA

W hotelu jest 105 gotowych apartamentów

MATERIAŁ INFORMACYJNY TOWARZYSTWO BUDOWNICTWA SPOŁECZNEGO WROCŁAW SP. Z O.O.
0011599327

Mieszkanie w otoczeniu zieleni. Dlaczego osiedla TBS Wrocław to dobre miejsce do życia?

Budownictwo społeczne to dobra alternatywa dla zakupu własnego „M" lub dla drogiego najmu komercyjnego. Oferta TBS Wrocław dowodzi, że najem społeczny jest nie tylko tańszy od komercyjnego, ale też niesie wiele dodatkowych korzyści dla mieszkańców. Dziś zasoby spółki to jedna z najatrakcyjniejszych opcji mieszkaniowych w stolicy Dolnego Śląska, stworzona z myślą o ludziach: bezpieczna, funkcjonalna i wygodna do życia na co dzień.

Dla wielu osób świetne miejsce do życia to takie, które nie rujnuje domowego budżetu, a jednocześnie pozwala odetchnąć po pracy. Właśnie w tym kierunku od lat rozwijają się osiedla wrocławskiego TBS-u. Najważniejszy argument to finanse: stawki czynszu w zasobach TBS Wrocław są średnio aż trzykrotnie niższe niż ceny komercyjnego najmu na wrocławskim rynku. Niższy koszt najmu nie oznacza jednak kompromisów w kwestii jakości otoczenia.

Przestrzeń i zieleń zamiast ścisku

Osiedla TBS Wrocław projektowane są w oparciu o zupełnie inną filozofię niż budownictwo komercyjne. Priorytetem jest tu rozsądne planowanie urbanistyczne, a nie generowanie maksymalnego zysku z PUM (powierzchni użytkowej mieszkalnej). Budynki powstają w odpowiednich odległościach od siebie, co gwarantuje mieszkańcom prywatność i swobodę, np. do spacerów lub dziecięcych zabaw. Natomiast przestrzeń między blokami wypełnia przyroda – TBS Wrocław zarządza terenami zielonymi o łącznej powierzchni przekraczającej aż 18 hektarów.

– *Wiemy, że mądrze urządzona i zadbana zieleń jest jednym z kluczowych elementów, dzięki którym ludziom żyje się dobrze w danym miejscu. Dlatego co roku dbamy o nowe nasadzenia drzew, krzewów i kwiatów, tworząc przyjazne otoczenie do codziennych spacerów* – wyjaśnia **Iwona Gosa**, prezes zarządu TBS Wrocław.

Wszystko pod ręką – w zasięgu spaceru

Dobrze zaprojektowane osiedle to takie, z którego nie trzeba wyjeżdżać, by załatwić codzienne sprawy. Na terenach TBS Wrocław mieszkańcy mają na wyciągnięcie ręki nie tylko lokalne sklepy, gastronomię, punkty usługowe i urządzenia paczkowe, ale również usługi publiczne, w tym m.in. filie Miejskiej Biblioteki Publicznej i placówki edukacyjne. Kierowcy mogą zaś liczyć na dostęp do parkingów, także podziemnych.

– *Dbamy też o małą architekturę i infrastrukturę, która ułatwia codzienne funkcjonowanie różnym grupom mieszkańców. Na naszych osiedlach znajdziemy bezpieczne place zabaw dla najmłodszych, siłownie plenerowe pozwalające zadbać o formę na świeżym powietrzu, a także udogodnienia dla miłośników dwóch kółek: zewnętrzne rowerownie oraz samoobsługowe stacje naprawy rowerów* – wylicza **Krzysztof Tęsiorowski**, wiceprezes TBS Wrocław.

Jak wynająć mieszkanie w TBS Wrocław?

Na stronie internetowej **www.tbs.wroc.pl** spółka regularnie publikuje ogłoszenia o wolnych mieszkaniach do wynajęcia. Każde ogłoszenie zawiera informacje o warunkach i zasadach najmu oraz wysokości opłat, niezbędne pliki do złożenia razem z wnioskiem o najem, a także opis całej procedury ubiegania się o lokal.

eprasa.pl c1e91c68ff

TURYSTYKA

Michał Wójcik: Zakochać się w jakimś zamku to za mało

O zachwycie nad dawną architekturą, który potrafi zmienić całe życie, ruinach, które odzyskują dawną świetność i o cenie, jaką płacą ich opiekunowie lub właściciele, mówi Michał Wójcik – autor książki „Tańczący z zamkami, czyli subiektywny przewodnik po zamkach, pałacach i dworach". – Po wojnie komuna dorżnęła tę „pańską", „wredną", „krwiopijczą" spuściznę – tłumaczy

Anita Czupryn

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Zamek w Świnach

Czym różni się zamek od pałacu, a pałac od dworu? Okazuje się, że to wcale nie jest oczywiste.

Zdarzało mi się przyjeżdżać do zamku, a właściciel mówił: „Witam w pałacu". Jestem historykiem, mediewistą, więc raczej nie mam problemów z rozróżnianiem obiektów i epok – zwykle wystarczy rzut oka. Zatem patrzę, a to nie żaden pałac, a zamek. Jak malowanie. Bywa, że coś ewidentnie barokowego funkcjonuje dziś jako zamek. Jedziemy do Łańcuta i wszyscy przewodnicy, wszystkie drogowskazy witają nas w zamku. Na Boga, kiedy patrzy się na ten obiekt, żadnej zamkowatości w nim nie ma. Podobnie jest z dworami. Łatwo rozpoznać dworek z Soplicowa, ale dworem równie dobrze może być wieża mieszkalna albo gotycki czworobok. Ta nomenklatura się miesza. Dużo zależy od właściciela: jak on sam postrzega i przedstawia swój obiekt. I o tym też był nasz program telewizyjny. O tym, jak właściciele sami je traktują, jakimi darzą emocjami. Ale „Mam zamek" powstał również dlatego, że w Polsce coś drgnęło. Nie trzymamy się już tak kurczowo przekonania, że jeżeli coś zostało zniszczone przez Szwedów czterysta lat temu, to musi pozostać trwałą ruiną. Konserwatorzy powoli, z oporami, ale jednak wychodzą naprzeciw właścicielom i godzą się na jakąś formę odbudowy czy rekonstrukcji.

Zawsze myślałam, że zamek służy obronie, w pałacu mieszka wyższa arystokracja, na przykład książęta, a w dworach ziemianie i drobniejsza szlachta.

Tymczasem i król może mieszkać w dworze, który jest prostym gotyckim klockiem, a zwykły szlachcic czy arystokrata w zamku. W epoce romantyzmu, co utrwaliła też literatura, nie tylko „Pan Tadeusz", byli szlachcice, którzy mianowali się ostańcami, królami zamczysk. Tacy szaleni, wpółobłąkani Gerwazowie zostawali w rozsypujących się ruinach i samozwańczo ogłaszali władcami odchodzącego świata. Bo wraz z tą architekturą odchodził też etos. Nie chcę tego rozstrzygać. Niech każdy na własną rękę bawi się w rozróżnianie pałaców, zamków i dworów. Oczywiście ortodoksi i historycy sztuki nie mają z tym problemu, ale dla nas może to być po prostu zabawa.

Ile mamy zamków w Polsce? Pisze pan, że ich sytuacja jest lepsza niż dziesięć lat temu. Jak wyglądamy na tle Europy?

Mamy około czterystu zamków. O wiele lepiej było przed wojną. Po wojnie komuna dorżnęła tę „pańską", „wredną", „krwiopijczą" spuściznę. Nie konserwowano tego, co się bez właścicieli rozpadało. Wiele pałaców, zniszczonych przez Niemców albo później przez komunistów, ograbiono i pozostawiono samopas. Lata pięćdziesiąte, sześćdziesiąte, siedemdziesiąte były koszmarne, a w osiemdziesiątych destrukcja była już totalna. Paradoksalnie niektóre obiekty ratowały PGR-y. Dyrektor nie chciał pracować w baraku. Przyjemniej było po pańsku: za biurkiem arystokraty czy ziemianina, nawet w jego fotelu, jeżeli ocalały jakieś meble. Kiedy PGR-y padły, nawet to szlag trafił. Pozostawione bez opieki budynki rozkradano. W latach dziewięćdziesiątych jeździłem na Dolny Śląsk i pamiętam wielkie tiry na niemieckich rejestracjach, którymi wywożono okiennice, portale, rzeźby, płaskorzeźby, kolumny. Wszystko pakowano zresztą polskimi rękoma. Lokalni mieli te ruiny gdzieś: ich rodzice przyjechali zza Buga, z Kresów, a oni sami nie czuli mięty do tych poniemieckich obiektów. Na szczęście to się już zmieniło. Ale jeśli pyta pani, ile tego jest, to powiem, że za mało. Mogliśmy uratować więcej. Proszę zobaczyć, jak to wygląda w Niemczech, Czechach czy na Słowacji. Tam wiele takich budowli jest w doskonałym stanie. Niektóre wyglądają, jakby właściciele dopiero wyszli i zostawili na stole jeszcze dymiącą zupę. To nie jest przesada. Armia Czerwona szła ławą w kierunku Berlina. W Polsce centralnej polscy komuniści próbowali jeszcze jakoś powstrzymywać marszałków, przynajmniej niektórzy. Ale na tak zwanych Ziemiach Odzyskanych, na Śląsku, Pomorzu, w zachodnim pasie, było już bez trzymanki. „Dożynanie germańskiej gadziny" odbywało się na nieruchomościach. Kradzieże, wywożenie dzieł sztuki transportami na wschód. To, co zostało, palono i niszczono z premedytacją. Ocalało tak mało, że choćby z tego powodu zasługuje to na ochronę przez wszystkie służby publiczne. Dziś na naszych oczach zachodzi też inny proces: Polska staje się bogatym krajem, ludzie się bogacą. Ci, którzy kiedyś jeździli po ruinach małymi fiatami czy rowerami, teraz jako zamożni ludzie mogą realizować swoje pasje inaczej. Stać ich na kupno obiektu, czasami w opłakanym stanie, i ratowanie go za swoje ciężko zarobione pieniądze. Kręcąc program „Mam zamek", byliśmy świadkami tego procesu. To bardzo podnosi na duchu.

Niektórzy kupują zamek czy pałac, a potem odbudowują jak chcą, nie trzymają się wytycznych konserwatora. I powstają koszmarne obiekty.

Wiem, że w Polsce toczą się różne dyskusje. Ich odpryskiem była choćby wystawa na Zamku Królewskim w Warszawie – „Ostatni zamek. Zamczystość polska: od Wawelu do Stobnicy". Odniosłem wrażenie, że to szydera z pretensji niektórych Polaków, by mieć swój zamek. Twórcy wystawy pokazali ten proces na zdjęciach. Oto jakiś wiejski kibel, przystanek, bar czy speluna zostają „uzamkowione", dostawia się nich jakieś gotyckie wieżyczki z pustaków albo plastiku, żeby nadać temu pozór dawności. Ale na tej wystawie oberwało się nawet ludziom, którzy zabytki ratują i mam wrażenie, że jednak sprostali wysokim estetycznym wymaganiom twórców wystawy. Druga sprawa to opór konserwatorów. Najlepszym przykładem jest podnoszenie z ruin Mirowa i Bobolic. Jarosław Lasecki przeszedł drogę przez mękę, by tego dokonać. Był jednak uparty i zdeterminowany, postawił na swoim, choć zapłacił za to wysoką cenę (choćby wspomnianej szydery). I teraz można dyskutować, czy to dobrze zrobiony obiekt, czy, jak chcą niektórzy, tak koszmarna replika, że aż zęby bolą. Tymczasem odbiorcy, czyli publika, zagłosowali nogami. Walą tam dzikie tłumy turystów. Szlak Orlich Gniazd zawsze był popularny, bo jest piękny i jest tam wiele romantycznych ruin. Ale kiedy Lasecki „wskrzesił" zamek w Bobolicach, pojawiły się tam tłumy dotąd niespotykane. Ludzie chcą to oglądać.

Dlaczego tak kochamy zamki i pałace?

Francuzi też lubią swoje zamki nad Loarą. Nie wiem, jak to wyjaśnić. W tych starych miejscach jest magia.

Politycy proponowali kiedyś odbudowę wszystkich zamków na Szlaku Orlich Gniazd.

Tak, była taka koncepcja PiS-u: wskrzesić zamki Kazimierza Wielkiego. Ale to był tylko chwilowy zryw w prawicowej polityce historycznej. PiS miał wówczas wystąpienia, moim zdaniem

eprasa.pl c1e91c68ff

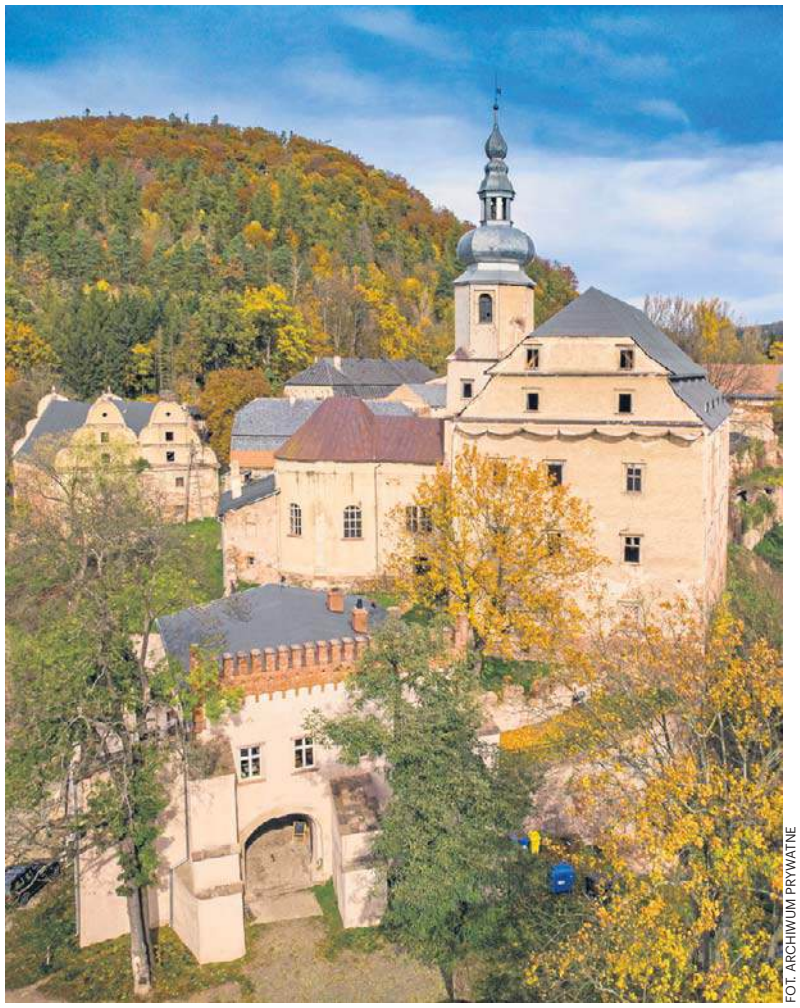
FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Zamek Sarny

kompletnie kretyńskie, na temat ratowania dziedzictwa narodowego i celu, jakiemu miałoby to służyć.

Dlaczego kretyńskie?

A czy coś się w tej sprawie ruszyło? „Ratujmy" zawsze dobrze brzmi. Ale jeśli tak, to rzeczywiście ratujmy. Potrzebne jest prawodawstwo, które pozwoli ludziom kupować takie obiekty, zaciągać nisko oprocentowane kredyty, a później je faktycznie ratować, dbać o nie, właściwie gospodarzyć. Przecież ci właściciele wkładają w nie przede wszystkim własne pieniądze. Publiczne dotacje to tylko ułamek, zresztą przyznawane uznaniowo. Państwo chętnie ratuje kościoły, i dobrze, bo mamy wiele wspaniałych zabytkowych obiektów, ale jeśli chodzi o prywatne siedziby, ogląda i mlaska nad każdą złotówką.

Usłyszał pan od jednego z właścicieli, że zamku nie należy remontować za swoje.

To jeden z punktów dekalogu Martina Sobczyka, właściciela zamku Sarny. On oczywiście remontuje przede wszystkim za swoje, nie oszukujmy się. Walczy jednak o dotacje, stypendia, inne środki, bo pamiętajmy, że to kolejne przykazanie tego dekalogu – właściciel, który splajtuje, jest największym zagrożeniem dla obiektu, pociągnie go za sobą na dno. Doprowadzi do katastrofy. Tymczasem te obiekty –przynajmniej ja je tak traktuję – są naszym wspólnym dziedzictwem. Sobczyk kupił zamek, jest jego właścicielem i za niego odpowiada, ale drzwi do zamku są otwarte dla wszystkich. Żaden prywatny właściciel nie zabierze swojego zamku czy pałacu do grobu. Budowla zostanie. Będziemy do niej przyjeżdżać i dumać nad naszą skomplikowaną historią. Na tak zwanych Ziemiach Odzyskanych jest to zresztą bardziej skomplikowane. Znam ludzi, którzy odzyskują obiekty, które niegdyś należały do ich rodzin. Inni po prostu lubią stare, piękne rzeczy, czują do nich sentyment i wkładają w nie duszę. Ratuują, aby otworzyć dla publiczności. Wiem także, że wielu ludzi, taka prywatna „opieka" nad zabytkami może boleć. Estetycznie. Kiedyś robiliśmy z Joanną Lamparską program „Kup pan zamek". Byliśmy z wizytą w Pieszycach. Słyszeliśmy, że to istny Disneyland: są tu a'la barokowe freski z Putinem, Marilyn Monroe itd. Rzeczywiście, zastaliśmy tu orgię złota i kolorów. Ale cóż, to prywatna sprawa właściciela. Tak mu w duszy grało, w taki sposób odnowił zabytek. Na zdrowie. To, co zrobił, przejdzie do annałów, już jest historią. Wiele obiektów jest jednak podnoszonych z ruin zgodnie ze sztuką. Takim ludziom trzeba kibicować, a państwo polskie powinno pomagać. To, jak Martin Sobczyk odnowił kaplicę Jana Nepomucena w Sarnach, jak państwo Agnieszka i Krzysztof Wieczorkowie uratowali „galerię cesarzy" w Strudze, jak Andrzej Meller odsłonił freski w Ciechanowicach – to są przykłady, od których robi się ciepło na sercu.

Opisuje pan w książce, jak Jacek Drogosz dostał kiedyś klucz do zamku w Świnach i do niego wszedł. Wiele lat później go kupił. Co zapamiętał z tamtej pierwszej wizyty?

Skrzyp drzwi. To świetna opowieść. Na dole, przy drodze, mieszkał człowiek, który trzymał do zamku klucz. Drogosz wziął go, otworzył bramę i usłyszał skrzyp starych zawiasów tkwiących w tym miejscu od kilkuset lat. Przeszedł go dreszcz, jakby dotknął go sam anioł. Zrozumiał wtedy, że to miejsce ma coś. I gdy po latach nadarzyła się okazja kupna tego zamku, zrobił to. Skrzyp drzwi pozostał. Nie zniszczył go, nie zaolejował tych zawiasów. My wszyscy, turyści, którzy przyjeżdżamy i wchodzimy do zamku, możemy przeżyć ten sam dreszcz. Dla ludzi wrażliwych na takie rzeczy to ważne.

Co pana bohaterowie robili najpierw, kiedy zamek stawał się ich własnością?

Czyścili. Każda działka pozostawiona na rok, dwa, trzy zarasta takimi chwastami i samosiejkami, że robi się las. Najpierw trzeba wyciąć ten gąszcz, wyciągnąć z niego ruiny czy obiekt. Potem archeologia i konserwacja. Gotyckie mury mogą przetrwać kilkaset lat, ale przecież wszystko się sypie. Trzeba ciągle konserwować, ciągle ratować. Niedawno usłyszałem, że w Chocimiu kawał muru runął do fosy. Oglądałem też relację o zawaleniu się dwunastowiecznej wieży w Hiszpanii. Tak się dzieje, kiedy nikt tego nie dogląda. Trzeba stale mieć zabytek na oku, sprawdzać, doglądać, upewniać się, czy czegoś nie należy zreperować.

Martin Sobczyk początkowo sądził, że Sarnami będzie się zajmował z doskoku. Kiedy zrozumiał, na co naprawdę się zdecydował?

Przyjeżdżał z doskoku, ale skoro zamek był już jego, chciał go ratować. Jak pani jedzie na swoją działkę, to wie, że trzeba zrobić to, tamto i jeszcze coś. On przyjeżdżał i myślał: „Jezus Maria, jeszcze to, jeszcze tamto, bo zaraz coś się zawali, tu coś runie, sąsiad robi coś źle". Zrozumiał, że tak się nie da. Przyjechał na tydzień, dwa, ale to zawsze było za krótko. To muszą być miesiące. A potem coraz dłużej. Zakochać się w zamku to za mało. To musi być miłość wierna, jak w dobrym małżeństwie. Każdego dnia trzeba poświęcać tej osobie, w tym przypadku obiektowi, czas, energię, emocje. Wszystko, co mamy najlepszego, trzeba włożyć w ten zamek.

Ale książka jest szersza. Opisuje pan także miejsca, do których pojechał sam.

Tak, choćby Prabuty. Zamek jest ruiną. Lokalny historyk amator zrobił jego makietę i ustawił ją na jednym ze zrujnowanych skrzydeł. Opisałem przede wszystkim historię tego miejsca. Jest też niesamowita twierdza z epoki mykeńskiej koło Nowego Sącza. Na Górze Zyndrama pracują archeolodzy, więc nie ma miejsca na fantazje. Dr hab. Marcin Przybyła to fenomenalny kustosz i gawędziarz. Opowiedział mi o swoim odkryciu tak, że sam poczułem się jak bohater „Iliady". Podobnie Maria Bicz-Suknarowska i opiekunowie Morawicy ze strony Kościoła. Wiem, że nie zrobią temu obiektowi krzywdy. Wszędzie, gdzie jeździliśmy, wyglądało to dobrze. Na przykład w Świnach panowie Harkawy i Drogosz rozważali rekonstrukcję dolnego zamku. Architekci przygotowali projekty, wizualizacje, ale w pewnym momencie właściciele zmienili zdanie. Dostrzegli w tym, co jest takie piękne, że uznali: może lepiej nie ryzykować? A jeśli popełnią błąd albo zrobią coś, co za dziesięć czy dwadzieścia lat nie będzie już obowiązywało w historii sztuki? Na razie nie chcą odbudowy.

Który z pana rozmówców powiedział uczciwie, ile go to wszystko kosztowało, także poza pieniędzmi?

Każdy mówił uczciwie o pieniądzach. Przy dużych obiektach to są miliony złotych. Ktoś się przyznał, że wydał czterdzieści milionów. Ale mnie interesowało coś innego, nie proces wydawania kasy. Z ratowaniem zabytków jest jak z przeszczepem organów: ratując go, oddaje mu się całego. Część po części. Sam chciałem kiedyś kupić gotycki zamek, wiele lat temu można to było zrobić za przysłowiową złotówkę. Takie było prawo. Nie zrobiłem tego, bo wiedziałem: co z tego, że kupię? Później trzeba obiekt ratować, a wtedy potrzebne są i pieniądze, i czas, i wszystko, łącznie z duszą, którą trzeba oddać. Nie każdy proces ratowania przebiega łatwo. Czasami coś się zawali, ktoś coś przy remoncie spieprzy. Inni rzucają kłody pod nogi, jeszcze ktoś inny jest zazdrosny. Bywa, że ktoś kogoś nie lubi i działa po złości. Taka walka kosztuje. Zawały, wrzody, cholesterol, ciśnienie. Ludzie naprawdę ryzykują życie, żeby ratować zabytki.

Trzeba też wytrwać przez lata, kiedy remont pochłania pieniądze, a efektów jeszcze nie widać.

Czasami nie widać nic, choć wydano już setki tysięcy, nawet miliony złotych. Ręce opadają. Przychodzi depresja, pojawiają się problemy między małżonkami, w rodzinach. Ilu osobom się nie udało? Pamiętam jak w poprzednim programie „Kup pan zamek" pojechaliśmy do pałacu, którego właściciel opowiedział, że decyzję o zakupie zabytku podjął razem z kilkoma innymi przyjaciółki. Każdy kupił sobie pałac. Po kilkunastu latach w swoim pałacu został tylko on. On wytrzymał, one nie. Wycofały się. Ktoś splajtował, ktoś dostał zawału, komuś po prostu przeszło. Nie udało się. On sam też zapłacił wysoką cenę. Zatem udało się w jednym na dziesięć przypadków.

Rozmawiał pan z właścicielami o tym, kto zajmie się zamkiem czy pałacem po nich?

To bardzo trudny temat. W książce akurat o tym nie piszę, ale wraca to w prywatnych rozmowach. Właściciele, często już starsi państwo, mówią, że to dla nich – w jesieni życia – największe wyzwanie. Dzieci kontynuowanie pasji rodziców często kompletnie nie interesuje. Może zainteresuje wnuki, a może nie. I co w tedy? Poświęciło się zabytkowi całe życie, wszystkie pieniądze i emocje, i nagle: o kurczę, co dalej? Nie ma dziedzica. Nie ma nikogo, kto to pociągnie. A przecież jeszcze trzeba coś dodać, naprawić. Szczęśliwi ci, którzy znaleźli w rodzinie kogoś gotowego kontynuować to dzieło. Żeby to robić, naprawdę trzeba rzucić wszystko inne. Ktoś jest muzykiem? Nie będzie już grał na skrzypcach, chyba że w walącej się komnacie. Musi poświęcić się ratowaniu i utrzymywaniu obiektu. Humanista czy matematyk musi się przekwalifikować, zostać zarządcą w dobrym znaczeniu tego słowa. Majordomusem, który kłóci się z chłopami, rolnikami, hydraulikami, używając nieparlamentarnych wyrazów. Każdy, kto coś remontował, wie, że nie są to spokojne chwile. Nie będę wymieniał obiektów, ale niektórzy ludzie właśnie z tego powodu gasną. Nie mają dziedzica i nie wiedzą, komu to zostawić. Przekazać w testamencie państwu polskiemu? Nie ma gwarancji, że państwo zaopiekuje się tym godnie. A co jak prezydent miasta czy burmistrz będzie mieć to w nosie albo władzom lokalnym zabraknie środków?

eprasa.pl c1e91c68ff

SPOŁECZEŃSTWO

36. odmowa. Dorosłe dzieci z autyzmem wciąż poza systemem

Ewa Sękowska spod Kowalewa Pomorskiego to mama dorosłego już Rafała z autyzmem. Właśnie odebrała 36. już odmowę (tak!) przyjęcia jej syna do Środowiskowego Domu Samopomocy. Kolejny rok czeka w kolejce. Jest jednym z tysięcy rodziców w Polsce, o których dzieciach mówi się „niewidzialne" i „poza systemem"

FOT. FB

Ewa Sękowska, mama pełnoletniego już Rafała z autyzmem, dzierga i maluje. Tak zbiera pieniądze na terapię swojego syna

Małgorzata Oberlan

Dopóki dziecko ze spektrum autyzmu i sprzężonymi z nim schorzeniami obejmuje szkolna edukacja, dopóty jest ono w systemie. Gdy obowiązek szkolny się kończy, kończy się de facto wszystko. Każdą terapię i rehabilitację rodzice muszą wywalczyć. Często sami zbierają na to pieniądze, za pośrednictwem różnych fundacji.

Dostanie się takiego pełnoletniego dziecka do Środowiskowego Domu Samopomocy czy innej dziennej placówki opiekuńczej (publicznej) to przynajmniej gwarancja fachowego wsparcia i terapii na co dzień. Zarazem też znaczące odciążenie dla rodziców, zwykle dla matek, które rezygnują z pracy i latami zajmują się takimi dziećmi.

Kolejny rok w kolejce Ewy Sękowskiej i jej syna

W takiej sytuacji jest Ewa Sękowska spod Kowalewa Pomorskiego, mama dorosłego już Rafała. Urodził się z autyzmem i sprzężonymi z nim licznymi schorzeniami. Opiece nad nim poświęciła się matka, a na ojca spadł ciężar utrzymania rodziny.

Koniec edukacji i dla Rafała Sękowskiego oznaczał „wypadnięcie z systemu". Dwa lata temu opisywaliśmy, jak pani Ewa nocami – gdy syn zaśnie – dzierga maskotki. Prezentuje je w mediach społecznościowych i sprzedaje. Cały dochód trafia na subkonto Rafała w Fundacji Avalon („Rafał Sękowski"). Matka przeznacza je na opłacenie terapii i rehabilitacji. Od pewnego czasu tworzy nie tylko maskotki, ale i piękne prace malarskie.

– W ciągu dnia Rafał jest bardzo aktywny, wymaga ciągłej uwagi i opieki. Ze względu na złożoność jego niepełnosprawności wciąż nie ma dla niego miejsca w żadnym dziennym Środowiskowym Domu Samopomocy, gdzie miałby zapewnioną ciągłość terapii i rehabilitacji. Więc po zakończeniu szkoły od kilku lat siedzi w domu – opowiada Ewa Sękowska.

Jedyną szansą na usprawnianie Rafała są odpłatne zajęcia w ramach Specjalistycznych Usług Opiekuńczych. Z tej formy korzysta już od ponad 10 lat. Już dwa lata temu koszt terapii wynosił ponad 800 zł miesięcznie. Do tego Rafał wymaga środków pomocniczych i zakupu sprzętów do rehabilitacji.

W październiku pani Ewa odebrała pismo z Powiatowego Centrum Rodzinie w Golubiu-Dobrzyniu, które jest już 36. odmową przyjęcia Rafała do Środowiskowego Domu Samopomocy w tym mieście. „Ze względu na brak miejsc Pan Rafał zostaje wpisany na listę oczekujących na pozycję numer 5" – informują w piśmie urzędnicy.

W kolejce do tej placówki Ewa Sękowska z synem „stoi" od 2023 roku. Co miesiąc składa wniosek i co miesiąc dostaje odmowę, jak na razie. Stąd już 36 takich odpowiedzi. Ale matka się nie poddaje; nie zamierza odpuszczać.

AKCJA SPECJALNA HIPOKRATES

0011597794

Każda forma pomocy ma znaczenie

W godzinach pracy zarządza apteką, w czasie wolnym prowadzi zajęcia edukacyjne i promuje szczepienia ochronne. Zapraszamy na rozmowę z Agnieszką Malissą, farmaceutką wyróżnioną we współorganizowanym przez markę Apteo konkursie „Recepta na dobro".

Czy Polacy obawiają się szczepień?

Po pandemii rozszerzył się zakres szczepień, które mogą wykonywać farmaceuci. Zauważyłam wówczas, że pacjenci mają mnóstwo pytań i wątpliwości związanych z immunoprofilaktyką. Niestety, wiele obaw wynikało z dezinformacji oraz niesprawdzonych wiadomości rozpowszechnianych w internecie czy wśród sąsiadów. W ten sposób narodził się pomysł zorganizowania serii spotkań edukacyjnych poświęconych m.in. temu zagadnieniu.

Jak te spotkania wyglądają?

Każde składa się z dwóch części. Najpierw prowadzę wykład na temat szczepień i profilaktyki, a następnie zapraszam do indywidualnych rozmów. W grupie seniorzy chętnie dzielą się doświadczeniami i zadają pytania, ale przecież nie każdy czuje się swobodnie, mówiąc o swoim zdrowiu publicznie. Dlatego wprowadzenie indywidualnych konsultacji okazało się strzałem w dziesiątkę. Pamiętam np. starszą panią, która przyniosła plecak po brzegi wypełniony lekami. Nie wiedziała, na co zostały przepisane i czy nie wpływają na siebie negatywnie. Cieszę się, że mogłam pomóc w tym i innych podobnych przypadkach. Bardzo pozytywne są też sytuacje, w których seniorzy podchodzą po wykładach, żeby dopytać o szczepienia i wsparcie oferowane przez farmaceutów.

Czy to znaczy, że społeczne postrzeganie zawodu zmienia się na lepsze?

Przez lata byliśmy „cichymi bohaterami" systemu ochrony zdrowia. Wyjaśnialiśmy działanie leków, czuwaliśmy nad bezpieczeństwem farmakoterapii i odpowiadaliśmy na pytania, na które podczas wizyt lekarskich nie było czasu. Jednak nadal sporo osób uważa, że rola farmaceutów ogranicza się do realizowania recept. Dzięki rozszerzonym uprawnieniom, szczepieniom czy działalności edukacyjnej częściej jesteśmy postrzegani jako równorzędni pracownicy ochrony zdrowia.

O przyszłości zawodu dużo mówi Pani na swoich profilach w portalach społecznościowych. Przed jakimi wyzwaniami stoją obecnie farmaceuci?

Coraz więcej moich koleżanek i kolegów po fachu zmaga się z wypaleniem zawodowym, nie wierzy w swoje kompetencje czy możliwości rozwoju. Jako certyfikowany trener rozwoju osobistego pomagam farmaceutom w budowaniu pewności siebie. Wspólnie szukamy sposobów na lepsze radzenie sobie ze stresem i zewnętrznymi oczekiwaniami. Warto bowiem pamiętać, że jesteśmy najbardziej dostępnymi pracownikami ochrony zdrowia – w tym tkwi nasza siła. Uważam jednak, że potrzebujemy dalszych systemowych zmian, które umożliwią farmaceutom pełne wykorzystanie kompetencji.

Właśnie za taką zaangażowaną postawę została Pani dostrzeżona w konkursie „Recepta na dobro".

To było niespodziewane! Wyróżnienie na pewno dało mi mnóstwo motywacji do dalszej pracy. Takie inicjatywy pokazują, jak istotną rolę w systemie ochrony zdrowia odgrywają farmaceuci – od edukacji, przez profilaktykę, aż po wspieranie pacjentów w bezpiecznym stosowaniu leków. Mam wrażenie, że często robimy bardzo wiele, ale nawet tego nie dostrzegamy. Dzięki konkursowi możemy podzielić się doświadczeniami, promować dobre praktyki, przede wszystkim zaś inspirować i wspierać innych farmaceutów.

Na koniec pytanie łatwe i trudne jednocześnie – czym jest recepta na dobro?

Dla mnie to wszystkie działania, za sprawą których pacjent czuje się zauważony, wysłuchany i postawiony w centrum uwagi. Nie muszą być ogromne, głośne czy medialne. Każda forma pomocy ma znaczenie, nawet ta pozornie niewielka.

eprasa.pl c1e91c68ff

– Cóż, teraz Rafał nadal korzysta ze specjalistycznych usług opiekuńczych z opieki społecznej i to jest jedyna dostępna dla niego rehabilitacja. Ale ze względu na duże koszty dopłat możemy korzystać z niewielkiej części tej rehabilitacji – mówi Ewa Sękowska.

Wnioski do domu samopomocy składać będzie dalej. Dostanie się jej syna do takiej placówki to, jak podkreśla, najlepsze rozwiązanie na ten czas życia Rafała i jej samej.

Gdy rodzice się starzeją... „Co się stanie z naszymi dziećmi, gdy odejdziemy?"

Gdy „niewidzialne, dorosłe dzieci" dobijają do czterdziestki, ich rodzice najczęściej osiągają już standardowy wiek emerytalny. Pytanie, które nie daje im spać, to: co stanie się z ich dziećmi, gdy oni odejdą.

Wizja tego, że ich autystyczny syn czy córka trafią do wielkiego Domu Pomocy Społecznej (pobyt stały, całodobowy), najczęściej nieprzystosowanego do specjalnych potrzeb osób z głębokim autyzmem, przeraża tysiące rodziców. Na prywatne placówki tego typu stać nielicznych.

Od 2022 roku postulatem stowarzyszeń i fundacji pomagających osobom z autyzmem jest systemowe wsparcie małych wspólnot mieszkaniowych dla takich osób. Takich, gdzie osoba niepełnosprawna intelektualnie będzie w kameralnym miejscu pod troskliwą opieką wysokospecjalistycznej kadry.

Niestety, ten postulat wciąż jest niezrealizowany. Bo, owszem, ostatnie lata to czas zmian w tej materii, ale „małe domy dla autystyków" wciąż wspierane są projektami i grantami, czyli czasowo, a nie ustawowo. A takiej stabilności właśnie oczekiwaliby rodzice i pozarządowe organizacje.

Ogromnym wysiłkiem rodziców i fundacji takie domy jednak w Polsce powstają. Na wkłady własne pieniądze zbierają zazwyczaj sami – najróżniejszymi sposobami. Liczyć już mogą jednak na solidne wsparcie unijne i skromniejsze, ale zawsze, z PFRON-u.

Niedługo budowa takiego domu – formalnie Ośrodka Wsparcia dla osób z autyzmem i innymi niepełnosprawnościami – rozpocznie się na terenie przy ulicy Skłodowskiej-Curie w Toruniu. Przygotowuje tę niezwykłą inwestycję Autyzm Polska Fundacja Pomocy Osobom Autystycznym. Motorem stali się państwo Mendelewscy, rodzice ponad 40-letniej Pauliny z głębokim autyzmem.

Ten projekt ma już bardzo mocne filary. Samorząd Torunia przekazał fundacji grunt pod budowę tego domu dla „niewidzialnych, dorosłych dzieci". Natomiast samorząd

Tak ma wyglądać Ośrodek Wsparcia dla osób z autyzmem i innymi niepełnosprawnościami, którego budowa w ciągu najbliższych tygodni rozpocznie się w Toruniu

województwa kujawsko-pomorskiego wsparł realizację projektu 10 milionami złotych dofinansowania ze środków Funduszy Europejskich dla Kujaw i Pomorza. Całkowita wartość budowy ośrodka wsparcia dla osób z autyzmem i innymi niepełnosprawnościami została oszacowana na 17 mln zł. Fundacja zgromadziła już (poprzez liczne inicjatywy, np. koncerty i aukcje dzieł sztuki oraz zbiórki) milion złotych. Poniosła już też znaczne nakłady na przygotowanie przedsięwzięcia, w tym opracowanie dokumentacji projektowej.

Ten dom będzie pierwszym tego typu w Kujawsko-Pomorskiem.

Ewa Sękowska przekazała sporo swoich prac artystycznych na licytację wspomnianej Fundacji. Na budowę domu patrzy na razie i z nadzieją, i wyczekująco. Sama jeszcze nie jest w tym wieku, by pytać „Co się stanie...". Obawia się jednak, że jeśli państwo w przyszłości nie wesprze finansowo utrzymania takich wspólnot mieszkaniowych, będą to miejsca poza finansowym zasięgiem rodzin takich jak jej, czyli standardowych.

Posłanka Iwona Hartwich „Tacy rodzice potrzebują pomocy państwa"

Iwona Hartwich, posłanka z Torunia (KO) od lat działa na rzecz osób z niepełnosprawnościami. Problemy ich rodzin zna od podszewki.

– Jest jeszcze wiele do zrobienia dla tego środowiska. Brakuje mieszkań wspomaganych, brakuje miejsc w DPS-ach i Zakładów Aktywności Zawodowej w mniejszych miejscowościach. Owszem, rodzice biorą sprawy w swoje ręce (jak w Toruniu – red.), ale potrzebują bezwzględnie pomocy ze strony państwa – podkreśla Hartwich.

Przykład z ostatniego poniedziałku, 12 października. W biurze posłanki pojawili się rodzice z Rypina, którzy drżą o przyszłość swoich dzieci z różnymi niepełnosprawnościami po zakończeniu ich edukacji. Co mogła zrobić? – W sposób rzetelny udzieliłam im kilku rad i wskazówek, od czego trzeba zacząć – mówi.

Kolejnymi tematami, którymi państwo pilnie musi się zająć, są w jej ocenie: zabezpieczenie rodzica po śmierci dziecka oraz możliwość pracy na tzw. starym świadczeniu pielęgnacyjnym.

– Sytuacja finansowa osób z niepełnosprawnościami poprawiła się w Polsce. Przypomnę, że mamy wyższą rentę socjalną dla osób niezdolnych do samodzielnej egzystencji: wynosiła 1420 zł, a obecnie to 4000 zł (to mój osobisty sukces). Mamy również świadczenie wspierające dla szerszej grupy osób. Jednak rodziny, w których są osoby z niepełnosprawnościami, potrzebują ciągłego wsparcia. I państwo musi stanąć tutaj na wysokości zadania – podkreśla Iwona Hartwich.©℗

REKLAMA 0011596598

REKLAMA 0011590595

eprasa.pl c1e91c68ff

GWIAZDA TYGODNIA

Katarzyna Zielińska: Najważniejsze to mieć marzenie i próbować wcielić je w życie

Właśnie oglądamy ją jako prowadzącą program „Europa da się lubić. Nowe pokolenie". Gra też jedną z głównych ról w serialu „Zaraz wracam". Nam Katarzyna Zielińska opowiada, że to jednak teatr jest jej największą miłością

Paweł Gzyl

Kiedyś powiedziała pani w jednym z wywiadów: „Podróże mnie uskrzydlają". Gdzie pani najchętniej wyjeżdża?

Ostatnio najchętniej wyjeżdżam z moimi bliskimi do Azji. Najbardziej lubię Singapur, ale z przyjemnością zwiedzam też Japonię. Odkrywam również mniej znane kraje, jak Butan czy Laos. Czyli pełna egzotyka.

A Europa jest dla pani interesująca?

Bardzo. Mam i tutaj ukochane zakątki: Grecję, Włochy, Portugalię. Czyli południe kontynentu. Ale bywam też w Niemczech, bo mam tam bliską przyjaciółkę i ten kraj kojarzy mi się z nią. Europa jest bardzo zróżnicowana pod względem architektury, ludzi czy kuchni, więc nie można się nią znudzić. Generalnie bardzo lubię podróżować, spotykać nowych ludzi i podziwiać świat.

Czyli nie trzeba było panią długo namawiać, aby została pani prowadzącą program „Europa da się lubić. Nowe pokolenie"?

Dziś wiemy już dużo o Europie, bo często podróżujemy do tworzących ją krajów. Musiałam więc sobie przemyśleć, jak chciałabym to zrobić i czy chcę być nową prowadzącą po tak kultowej edycji sprzed dwóch dekad. Ale propozycja ta przyszła do mnie w dobrym momencie. Zawierzyłam swojej intuicji, że będzie to skumulowanie tego wszystkiego, co kocham – podróży i rozmów z ludźmi. Dłuższą chwilę się zastanawiałam, ale w końcu powiedziałam „tak".

Program „Europa da się lubić" miał niegdyś przybliżać Polakom kraje Unii Europejskiej. Czy dziś to nadal jest potrzebne?

Myślę, że tak. Dziś patrzymy na Europę pod nieco innym kątem. To niby stary kontynent, ale ciągle się rozwija i coraz chętniej po nim podróżujemy. Również nasza Polska wygląda zupełnie inaczej niż dwadzieścia lat temu. Ci obcokrajowcy, których znam, mówią: „Wow! To zupełnie inny kraj. Kochamy tu mieszkać!". Nic dziwnego – przecież Polska bardzo zmieniła się od momentu wejścia do Unii Europejskiej. Z roku na rok po prostu pięknieje. Dzięki funduszom europejskim mogliśmy przez te lata wiele zrobić. Ale choć integrujemy się z resztą Europy, ostatnio coraz chętniej wracamy do dawnych tradycji. Doceniamy ludowe obrzędy, tradycyjne jedzenie, korzenną kulturę. Teraz to wszystko jest w cenie, więc warto to pokazywać. Ja pochodzę z Małopolski i bardzo bliska jest mi tamtejsza tradycja: od śpiewów, przez tańce, po haft. Jestem więc miejscową patriotką.

Program ma dopisek „Nowe pokolenie". Czy ci młodzi ludzie, którzy dorastali w zjednoczonej Europie, są inni niż ci, którzy dorastali w tej podzielonej granicami?

Na pewno. Są pewne rzeczy, które odeszły w przeszłość. Podczas odcinka o muzycznej tematyce okazało się, że młodzi uczestnicy nie wiedzą, co to jest kaseta magnetofonowa, bo dzisiaj słuchają muzyki w telefonie. Ale to nowe pokolenie jest ciekawe tego, jak dawniej bywało. Dzięki temu młodzi ludzie bardziej doceniają to, co dzisiaj jest. „Nie ma granic, więc się łatwiej podróżuje. Kiedyś trzeba było mieć paszport, teraz nie jest nam potrzebny" – przyznają. I fajnie jest patrzeć na ich podziw dla tych zmian. Do tego dochodzi internet, szybszy przepływ informacji, media społecznościowe. Za naszych czasów było trochę inaczej. Żyło się wolniej, może trochę uważniej, nie byliśmy tak bombardowani informacjami i nie poddawaliśmy się tak łatwo różnym manipulacjom. Mam w programie kilkoro młodych ludzi, choćby Elenę z Grecji czy Vincenta z Niemiec. I to zupełnie inne pokolenie. Dla nich historie o tym, jak szło się na pocztę i zamawiało rozmowę za granicę, to kompletna egzotyka. Dlatego ciekawi ich to i śmieszy.

W programie pojawiają się coraz to nowi uczestnicy z różnych krajów. Jak oni czują się w Polsce?

Bardzo dobrze. I to jest wspaniałe. Kiedy słucham, jak opowiadają o naszym kraju, zawsze mam przysłowiowego banana na twarzy. Często mówią o Polsce „w moim kraju", a pochodzą z Czech czy z Niemiec. Ostatnio jeden z uczestników opowiadał, że kiedy wraca z jakiejś podróży do Polski, to czuje, że wjeżdża do swojej drugiej ojczyzny. To naprawdę wzruszające. Bardzo im się dobrze u nas żyje i przez ich opowieści widzowie mogą bardziej docenić Polskę. Że to piękne miejsce na mapie Europy, które w ciągu ostatnich dwudziestu lat bardzo urosło w siłę. Choćby Warszawa – dziś jest cudowna, zielona, zadbana. Kiedy nagrywaliśmy odcinek o architekturze, gościem był rysownik Henryk Sawka i dywagowaliśmy, czy Pałac Kultury to zabytek. Wspólnie doszliśmy do wniosku, że to kawał naszej historii, której nie wolno zniszczyć.

Obecna edycja „Europa da się lubić" ma charakter teleturnieju. To dobry pomysł?

Myślę, że tak. To różni obecną edycję od poprzedniej. Każdy odcinek poświęcony jest innemu tematowi, pojawiają się kolejne konkurencje, przyznawane są punkty. Taka rywalizacja sprzyja zabawnym historiom i sytuacjom.

Ma pani swoich faworytów, za których trzyma pani kciuki?

Nie. Wszystkich uwielbiam i wszystkim kibicuję. Jesteśmy zgraną drużyną. Wszyscy są świetnie dobrani i występują w fajnych konfiguracjach. Dlatego każdy odcinek jest zabawny i szalony. Do tego zawsze mamy gości specjalnych, jak Helena Vondraćkova, Ewa Kasprzyk, Krzysztof Hołowczyc czy wspomniany Henryk Sawka. Cieszę się więc, że w każdym odcinku jest ciekawie i wesoło.

Musi pani panować nad uczestnikami, rozmawiać z gośćmi, a czasem nawet śpiewać i tańczyć. Prowadzenie takiego programu to duże wyzwanie?

Na pewno. Staram się przede wszystkim jak najlepiej zadbać o gości. Do tego na słuchawce w uchu mam reżysera, który prowadzi mnie, abyśmy zmieścili się w konkretnych ramach czasowych. Ostatnio mówiłam nawet produkcji, że „Europa da się lubić" to przyjemny dodatek do mojego aktorstwa. Oczywiście bardzo wymagający, bo wychodzę po dwunastu godzinach nagrań bardzo zmęczona. Ale bardzo się cieszę, że podjęłam decyzję, aby prowadzić ten program.

Aktorskie doświadczenie przydaje się pani podczas nagrań do „Europa da się lubić"?

Myślę, że tak. Czasem trzeba bowiem improwizować, a jako aktorka teatralna mam z tym do czynienia na scenie. Ot, ktoś z kolegów wysypie się z tekstem i trzeba coś na poczekaniu zaimprowizować, aby go naprowadzić na właściwe tory. Nie inaczej jest tutaj. Co jakiś czas pojawiają się nieprzewidziane sytuacje i trzeba na nie na gorąco sprawnie zareagować.

Pani wielbiciele mają dylemat, bo w tym samym czasie, co „Europa" na Dwójce, na Jedynce jest „Zaraz wracam", gdzie gra pani jedną z głównych ról. Jak to pogodzić?

Niestety, to już nie ode mnie zależy. Całe szczęście „Zaraz wracam" jest też emitowany w sobotnie popołudnie. Na razie można jedno obejrzeć na żywo, a drugie nagrać i obejrzeć później. Do wyboru, do koloru.

Na pewno ucieszyło panią, że w nowym sezonie „Zaraz wracam" grana przez panią postać wychodzi na pierwszy plan. To pani zasługa?

Ależ skąd! Kompletnie nie wiedziałam, jaki będzie scenariusz nowej serii. Kiedy zadzwonił do mnie producent i powiedział, że będę w niej burmistrzynią, byłam tak samo zaskoczona, jak propozycją poprowadzenia „Europa da się lubić". (śmiech) Żadna więc w tym moja zasługa, ale cieszę się, że moja bohaterka może dowodzić całym miastem. Ostatnio pewna pani, która przyglądała się, jak kręcimy, powiedziała: „Fajnie by było mieć taką burmistrzynię w swoim mieście". To piękny komplement dla postaci, którą tworzę. Byłam więc zaskoczona takim zwrotem akcji, ale bardzo na plus.

Renata Sikora zostaje panią burmistrz i potrafi czasem podjąć męską decyzję. Lubi pani grać takie silne kobiety?

Oczywiście. Cieszę się, że scenarzyści piszą mi taką zdecydowaną i konkretną bohaterkę. Renata ma jednak wrażliwe wnętrze i jest wyczulona na drugiego człowieka.

„Zaraz wracam" to niby obyczajowy serial, ale z lekko komediową nutą. Dobrze się pani czuje w takiej konwencji?

Tak. Konwencja komedii jest mi zawsze bliska. Lubię czasem dodawać takiej zabawnej pikanterii mojej postaci, kiedy reżyser pozwala nam, kończąc scenę, trochę zaimprowizować. Szczególnie udaje się to z Pawłem Koślikiem, który gra Fazę.

Komedia to pani żywioł – zarówno w filmie i serialu, jak również w teatrze. Z czego to wynika?

Już w szkole teatralnej w Krakowie ciągnęło mnie w tę stronę. Może dlatego, że wychowałam się na dobrych kabaretach literackich, w których inteligentny żart towarzyszy dowcipnej piosence. To były spektakle reżyserowane przez Krzysztofa Jaślara, wywodzącego się przecież z Kabaretu Tey. Z kolei Włodzimierz Korcz uczył mnie kabaretowej piosenki – dobrze zaśpiewanej i nieprzerysowanej w interpretacji. W teatrze moimi nauczycielami komedii byli natomiast Jurek Bończak i Andrzej Strzelecki, choćby w „Złym zachowaniu". To była naprawdę wspaniała szkoła. Dzięki temu wiem, że aby komedia była śmieszna, to nie aktorzy mają się dobrze bawić, ale widzowie. My mamy jak najlepiej podać tekst i jak najlepiej poprowadzić postać.

Ma pani w swym dorobku również dramatyczne role, choćby w serialu „Zawsze warto". To była ciekawa odmiana od tych komediowych występów?

Bardzo. Dorota Zima to kobieta, która doświadczała przemocy psy-

eprasa.pl c1e91c68ff

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Katarzyna Zielińska: Nasza Polska wygląda zupełnie inaczej niż dwadzieścia lat temu. Ci obcokrajowcy, których znam, mówią: „Wow! To zupełnie inny kraj. Kochamy tu mieszkać!"

chicznej i fizycznej. Sporo mnie emocjonalnie kosztowało budowanie takiej postaci. Ale przecież o to chodzi w aktorstwie.

Częściej chyba takie role gra pani w teatrze niż w filmie?

Tak. Przykładem może być spektakl „Aniołki Mussoliniego", który wyprodukowałam dla Teatru Roma. Opowiada on o trzech siostrach Żydówkach, które podczas wojny zostały zmuszone do tego, by śpiewać dla faszystowskiego przywódcy. Gram jedną z nich i to jest rola, którą trzeba było stworzyć na dramatycznej nucie. To piękny spektakl o ludzkich wyborach, ich późniejszej ocenie, o wojnie, o polityce, o trudnych czasach. Przy okazji mogę sobie również pośpiewać.

Gra pani cały czas w teatrze i pani teatralne role to nie tylko komedie i farsy, ale też musicale, dramaty, a nawet monodram. To właśnie teatr przynosi pani aktorskie spełnienie?

Tak. Teatr przynosi mi spełnienie i ukojenie. To podstawa mojej pracy. W teatrze nigdy jeden spektakl nie jest podobny do drugiego. A ja lubię, gdy nigdy nie jest tak samo. Wszystko się dzieje raz, nic nie można powtórzyć, za każdym razem przychodzi inna publiczność. W teatrze spotykam się na jednej scenie ze wspaniałymi kolegami i koleżankami po fachu, jak również z całym pionem technicznym czy z garderobianymi. To osobny świat, który ma swoją magię. Zachwyciłam się nim już w Akademii Teatralnej w Krakowie. Oczywiście jedni lubią bardziej film czy serial, dla mnie to jednak teatr jest esencją zawodu aktora.

Zagrała pani już chyba we wszystkich warszawskich teatrach.

(śmiech) To prawda. Mam na liście Teatr Komedia, Teatr Syrena, Teatr Rampa, Teatr Roma, Teatr Capitol, Teatr Kwadrat i Teatr Kamienica. Ostatnio nawet mówiłam w Kwadracie, gdzie pojawiam się gościnnie, że fajnie jest wrócić do tego zespołu po dziesięciu latach i zobaczyć znów te same twarze, tych samych aktorów, tę samą ekipę. Choć, niestety, niektórych postaci już z nami nie ma.

W każdym zespole czuje się pani jak u siebie?

Tak. Poza tym, kiedy zgadzam się realizować jakiś projekt, to wybieram miejsca, w których jest mi dobrze tak zwyczajnie i po ludzku. Tata zawsze mi mówił, żeby przyciągać dobrych ludzi, a do tych, którzy nie życzą mi najlepiej, odwracać się plecami i robić swoje. I myślę, że to jest moje życiowe motto. Kierując się tą zasadą, jest mi lepiej: idę po swoje, mam swój własny dekalog i nim się kieruję.

Od kilku lat produkuje pani też spektakle teatralne. Jaki ma pani przepis na artystyczny i kasowy sukces przedstawienia?

Nigdy nie produkuję spektaklu tylko po to, aby odnieść kasowy sukces. Najważniejsze to mieć marzenie i próbować wcielić je w życie zgodnie z sercem. Wtedy widzowie widzą, że to jest uczciwe i przyjdą do teatru. To jest mój przepis. Nigdy nie wymyślałam jakiegoś projektu tylko po to, żeby na nim zarobić. Zapraszam do współpracy reżyserów, aby wspólnie zrobić coś, w czym wcześniej nie miałam okazji się pokazać, a w czym bym chciała zagrać. Mam przecież swoje aktorskie marzenia: ludzi, z którymi chciałabym pracować, czy emocje, które chciałabym pokazać na scenie. I w ten sposób staram się je spełniać.

Największym plusem pracy producentki jest to, że może pani zagrać główną rolę w produkowanym przez siebie spektaklu.

To tak nie działa. Przekazując scenariusz reżyserowi, zawsze daję mu wolną rękę co do obsady, również pod kątem mojego aktorskiego udziału w przedstawieniu. Nigdy nie mówię: „Ty to zrobisz, ale ja muszę w tym zagrać". Zdaję się na reżyserski talent i w pełni mu się oddaję, kiedy zbiorę fundusze i podpiszę wszystkie umowy.

Trudno było pani odważyć się na wyprodukowanie pierwszego przedstawienia?

Chyba tak. To był 2012 rok i spektakl „Berlin. Czwarta rano", w którym główną rolę grał Kacper Kuszewski. Bardzo się bałam, ale zamknęłam oczy i pomyślałam: „Teraz jest ciężko, ale za trzy miesiące czy pół roku będzie piękny spektakl, będziemy grać, przyjdą ludzie, będziemy się kłaniać, będą oklaski". Uznałam, że jeśli sama się nie wezmę za spełnianie swoich marzeń, to nikt ich nie spełni za mnie.

Z którego spektaklu jest pani najbardziej dumna?

Z wszystkich. Nie mam jednego ulubionego.

A ja myślałem, że pani powie, że ze wspomnianych „Aniołków Mussoliniego".

No tak, to mój najważniejszy projekt, jeśli chodzi o rozmach i o ilość włożonej pracy. Ale w pozostałe włożyłam niemal równie dużo serca i nerwów. Żeby to wszystko złożyć, trzeba było podjąć za każdym razem wielką odpowiedzialność, bo było ogromne ryzyko. Dlatego żadnemu nie umniejszam – każdy był dla mnie wyjątkowy.

Czy te teatralne doświadczenia sprawiają, że mogłaby pani teraz wyprodukować film?

Myślę, że mogłabym. To są jednak dużo większe pieniądze. Na razie wszystko jest w planach. Puzzle powoli się składają. Przede wszystkim muszę poczekać na wolne terminy aktorów, których chciałabym zaangażować. Więcej nie powiem, bo nie chcę zapeszać.

Pani mąż pracuje w branży finansowej. Służy pani radą w tych produkcyjnych przedsięwzięciach?

Na pewno służy radą i pomaga w prowadzeniu tabelek w Excelu, żeby się wszystko zgadzało. (śmiech) Natomiast bardzo mnie irytuje, kiedy słyszę, jak ktoś mówi do mnie: „Pani mąż jest biznesmenem i na pewno wszystko finansuje". Bo tak się nie dzieje. Każde z nas pracuje w totalnie innej branży i pracuje na swój własny sukces. Oczywiście kibicujemy sobie bardzo nawzajem i to jest wspaniałe. Nie lubię natomiast, kiedy ktoś mnie w taki sposób podsumowuje, bo to bardzo umniejsza mojej pracy.

Kiedyś często oglądaliśmy panią w różnych telewizyjnych talent-shows: od „Tańca z gwiazdami" po „Twoja twarz brzmi znajomo". Dziś już panią to nie interesuje?

To już mam za sobą, nie chcę do tego wracać. To był fajny czas w moim życiu – nie miałam dzieci, mogłam sobie pozwolić na częstsze wyfruwanie z domu, wracanie późną nocą po nagraniach. Dzisiaj jest inaczej. Dzieci szybko rosną, a ja nie chcę niczego przegapić w ich życiu. Wolę im czytać książki na dobranoc i tulić przed snem niż brać udział w takich programach. Bo to rodzina jest w życiu najważniejsza.

Pochodzi pani ze Starego Sącza, pani mąż również. Często wracacie w tamte strony?

Staram się jak najczęściej. Oboje mamy tam rodziny, więc mamy kogo odwiedzać. Ale działa to też w drugą stronę. Teraz właśnie wyszłam na spacer, bo przyjechał do mnie tata i zajmuje się chłopakami. W Starym Sączu mam połowę serducha i to się nie zmieni.

Synowie mają w sobie góralską krew?

Tak. Obaj uwielbiają jeździć w nasze rodzinne strony. A ja niedawno zostałam honorową członkinią Towarzystwa Miłośników Starego Sącza, zawsze podkreślam więc swoje przywiązanie do tamtych stron. Ostatnio nawet podczas nagrań do „Europa da się lubić" usłyszałam: „Nie mów tak często o tym Starym Sączu. Już wszyscy wiedzą, że stamtąd jesteś. Będziemy musieli to wyciąć, bo program zrobi się za długi". „Ale to dla mnie ważne. I przynajmniej sobie powiedziałam" – pomyślałam.

eprasa.pl c1e91c68ff

NASZE SPRAWY

Jowitkę nieprawomocnie zasiedziano, bo nie wiadomo, czy jest Jowitką

Srokatej maści hucułka pomykała radośnie i w towarzystwie innych kopytnych po wybiegu w Zabratówce, dopóki w tajemniczych okolicznościach nie zniknęła. A kiedy po dwóch latach odnalazła się 50 kilometrów dalej, wywołała sądową wojnę, nawet o tym nie wiedząc. Sąd pochylił się nad dylematem, czy klacz należy do starego właściciela czy nowej właścicielki. I rozstrzygnął.

Andrzej Pięs

Andrzej Czach kochał swoje konie i wierzy, że z wzajemnością. 20 km od Rzeszowa urządził im raj wielki na 6 hektarów, do którego dojeżdżał 2–3 razy w tygodniu, codzienną opiekę nad czworonogami powierzając zatrudnionemu pracownikowi. Był początek lutego 2021, kiedy na miejscu zastał Avirę, Okravię i Ozimą, ale srokatej Jowitki już nie. Kłódka od bramki w ogrodzeniu posesji leżała na ziemi. Po koniu zostały na śniegu ślady kopyt, prowadzące do drogi dojazdowej, którą prawie nikt, poza Czachem, nie jeździ, a na niej ślady opon. Kilka miesięcy wcześniej kręciło się tu dwóch młodych ludzi, których przegonił pytaniem, po co fotografują jego konie. Pierwsze skojarzenie: Jowitkę brutalnie uprowadzono.

– Natychmiast pojechałem do Rzeszowa na policję złożyć zawiadomienie o kradzieży – opowiada.

Policja zgłoszenie przyjęła, prokuratura wszczęła dochodzenie, by umorzyć je „wobec braku danych dostatecznie uzasadniających popełnienie czynu".

Czach na tę decyzję poskarżył się sądowi, sąd wziął stronę prokuratury, wyraziwszy przy tym przypuszczenie, że „koń uciekł z terenu posesji właściciela i został zaatakowany przez dzikie zwierzęta", nie precyzując czy chodzi o lwy, wilki czy stado wygłodniałych kojotów. Właściciel w duchu i z żalem pożegnał się z Jowitką, tracąc nadzieję na to, że jeszcze się zobaczą. Okres żałoby prawie minął, gdy po dwóch latach zadzwonił telefon. Pani spod Sieniawy, więc ok. 50 km od końskiego raju w Zabratówce, zapytała go, czy jest właścicielem Jowitki, bo ona ją kupiła, ale nie ma na zwierzę żadnych papierów.

– Ze znajomym pojechaliśmy do tej pani. Kiedy się spotkaliśmy, opowiadała, że pewnego razu pojawiło się u niej dwóch ludzi, którzy chcieli sprzedać jej konia, więc kupiła go za 500 złotych, ale bez dokumentów, bez paszportu, nawet umowy sprzedaży nie spisali. Kto tak robi przy kupnie rasowego konia wartego 8 tysięcy?

Andrzej Czach ujrzawszy Jowitkę uznał, że to Jowitka i postanowił konia odzyskać. Po dobroci się nie dało, nawet końskim targiem się nie dało, więc sprawa trafiła do sądu.

Sąd nad koniem

Jak zwierzę znalazło się po dwóch latach 50 kilometrów od domu, czyli stajni? I skąd pani spod Sieniawy wiedziała, że ma dzwonić akurat do Czacha, by ustalić co i jak? To po części wyjaśniło się przed Sądem Rejonowym w Przeworsku podczas batalii o prawa własności do zwierza.

Nowa właścicielka oświadczyła wymiarowi sprawiedliwości, że gdzieś tak w lutym albo marcu 2020 r. pojawili się u niej jacyś ludzie, którzy konia jej zostawili na przechowanie, bo ona prowadzi gospodarstwo razem z taką tymczasową przechowalnią dla zwierząt. Obiecali odebrać czworonoga za 2-3 tygodnie, nigdy nie wrócili. Podobnie jak inni, którzy zostawiali u niej kozy, barany, psy, a raz nawet osła.

– Myślałam, że ktoś kupił sobie konia jak zabawkę, trzeba konia karmić i to się okazało za trudne, więc go wywieźli – tłumaczyła sądowi. – Każdemu zwierzęciu bym pomogła, jakby była potrzeba. Ja traktowałam tego konia jak swojego, jako naszą Zuzkę.

Tym bardziej, że hucułka trafiła do niej w koszmarnym stanie zdrowia. Sporo pieniędzy kosztowało ją postawienie jej na wszystkich czterech kopytach.

I tak Jowitka po kres dni swoich zostałaby Zuzką, gdyby w w 2023 r. nie zmieniły się przepisy, według których zwierzęta hodowlane trzeba rejestrować. Pani pofatygowała się do Okręgowego Związku Hodowców Koni w Rzeszowie, by dokonać formalności. Szef zwizytował Jowitkę Zuzkę, dwojga już imion, znalazł w zwierzu wszczepiony chip, komputer wypluł dane kopytnego, że Zuzka to w rzeczywistości Jowitka już zarejestrowana, z własnym końskim paszportem i właścicielem. Nie było tylko informacji, że koń został skradziony. O czym szef związku poinformował panią Stanisławę spod Sieniawy i właśnie stąd wiedziała, do kogo ma z problemem dzwonić i do kogo pojechać.

– Ja chciałam, żeby sprzedał mi papiery do konia – zeznawała przed sądem. Nawet dwukrotnie odwiedziła Zabratówkę, ale do transakcji nie doszło, wybuchła za to wojna sądowa. Pan Andrzej Jowitkę chciał odzyskać, pani Stanisława Zuzkę zatrzymać przez „zasiedzenie ruchomości" końskiej. Sąd musiał upewnić się, że Zuzka to na pewno Jowitka i na odwrót, dane z czipa nie były wystarczającym dowodem, biegli sądowi od koni nie potrafili na podstawie dostarczonych przez Czacha zdjęć Jowitki upewnić sąd, że to to samo zwierzę, które odnalazło się pod Sieniawą. Bo: zdjęcie nie mówi, jakiej płci jest zwierzę, poza tym z jed-

MATERIAŁ INFORMACYJNY WROCŁAWSKIE MIESZKANIA SPÓŁKA Z OGRANICZONĄ ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ 0011599243

Jak zmieni się okolica ulicy Sępa-Szarzyńskiego?

Rusza kompleksowa metamorfoza kamienic i podwórek

Blisko 25 mln zł zostanie przeznaczonych na termomodernizację dziesięciu miejskich kamienic przy ul. Sępa-Szarzyńskiego i Rozbrat. To kolejny etap szeroko zakrojonych działań prowadzonych przez Wrocławskie Mieszkania w ramach tzw. gniazd inwestycyjnych, czyli modelu zakładającego równoczesną poprawę stanu budynków, podwórek oraz przestrzeni publicznych w ramach jednego obszaru.

Ulica Sępa-Szarzyńskiego, położona na styku osiedli Ołbin i Plac Grunwaldzki, już w najbliższych latach przejdzie widoczną przemianę. Wzdłuż ulicy znajduje się dziesięć budynków komunalnych zarządzanych przez spółkę Wrocławskie Mieszkania. Ich mieszkańcy skorzystali już z pierwszego etapu inwestycji, jakim było podłączenie budynków do miejskiej sieci ciepłowniczej w 2022 roku. Teraz przyszedł czas na dalsze prace poprawiające efektywność energetyczną i estetykę nieruchomości.

Planowana termomodernizacja obejmie kamienice przy ul. Sępa-Szarzyńskiego 43, 47, 59, 63, 65, 65A, 68, 69 i 73 oraz budynek przy ul. Rozbrat 1. Zakres robót jest szeroki. Obejmie remont elewacji frontowych, docieplenie ścian od strony podwórek, wymianę stolarki okiennej, remonty dachów, izolację stropów najwyższych kondygnacji i piwnic, a także odnowienie klatek schodowych.

Pierwsze prace rozpoczną się w październiku w budynkach przy ul. Sępa-Szarzyńskiego 65 i 65A. Kolejne postępowania przetargowe zostały już ogłoszone dla kamienic pod numerami 43, 47 i 68. Dla kolejnych postępowania będą wszczynane w najbliższych miesiącach.

Dawna reprezentacyjna oś miasta

Historia ulicy Sępa-Szarzyńskiego jest równie interesująca jak jej przyszłość. W czasach powstawania okolicznej zabudowy nie istniał jeszcze dzisiejszy Park Tołpy. Po północnej stronie ul. Prusa znajdowało się kilka stawów będących pozostałością po dawnym ramieniu Odry. Jeden z nich zachował się do dziś i jest charakterystycznym elementem parku.

Mało kto wie, że według pierwotnych planów urbanistycznych ulica Sępa-Szarzyńskiego wraz z dzisiejszą ul. Rozbrat miała stanowić główną trasę prowadzącą na północ miasta, w kierunku obecnych Mostów Warszawskich. Ostatecznie rolę głównej osi komunikacyjnej przejęła ul. kard. Stefana Wyszyńskiego. Dzięki planowanym remontom zabytkowe kamienice tej części miasta mają szansę odzyskać należne im miejsce w krajobrazie Wrocławia.

Pierwsze efekty działań rewitalizacyjnych są już widoczne. Przykładem jest kamienica przy ul. Rozbrat 16, która odzyskała dawny blask po remoncie o wartości 2,5 mln zł. Odnowiony budynek efektownie prezentuje się dziś naprzeciwko Wydziału Architektury Politechniki Wrocławskiej.

Nie tylko budynki, ale i podwórka

Zmiany obejmą również przestrzenie między kamienicami. Dla wnętrza kwartału ograniczonego ulicami Chemiczną, Rozbrat, Sępa-Szarzyńskiego i Sienkiewicza przygotowano już koncepcję zagospodarowania. Z kolei duże podwórko pomiędzy ulicami Wyszyńskiego, Prusa, Sępa-Szarzyńskiego i Sienkiewicza zostanie dokończone po wyłonieniu nowego wykonawcy. Oferty w ogłoszonym postępowaniu przetargowym można składać do 28 października.

Najważniejsze jest jednak to, że mieszkańcy nie będą musieli długo czekać na rezultaty. Pierwsze efekty prowadzonych prac będą widoczne już w przyszłym roku, a pełna metamorfoza tej części Ołbina i Placu Grunwaldzkiego powinna zakończyć się w ciągu najbliższych dwóch lat. Dzięki skoordynowanym inwestycjom ulica Sępa-Szarzyńskiego i jej okolice zyskają nie tylko nowy wygląd, ale także wyższy komfort życia mieszkańców i lepszą efektywność energetyczną budynków.

Planowana wartość nakładów ponad 40 mln zł

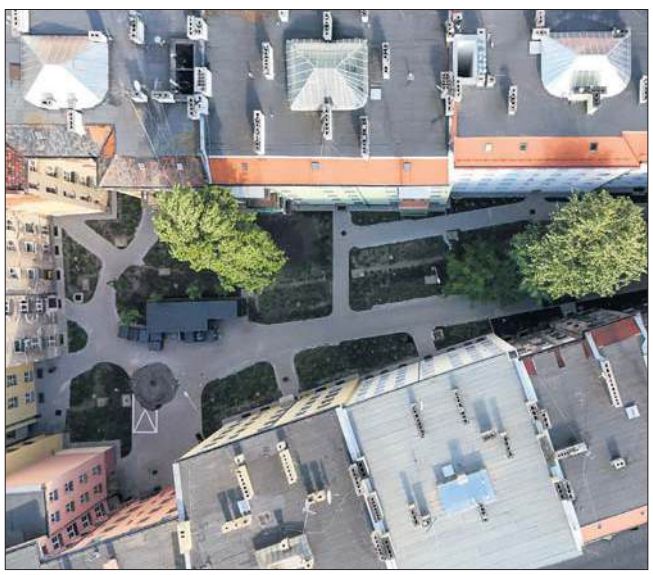

eprasa.pl c1e91c68ff

nego profilu koń pozuje na fotografii, brak drugiego profilu na potwierdzenie tożsamości, Jowitka fotografowana zimą, kiedy zwierzę ma inną masę ciała. Jednym słowem – koń, jaki jest, nie każdy widzi, a biegli szczególnie. Nawet, jeśli pstrokacizny w umaszczeniu Jowitki – Zuzki są nader charakterystyczne. Złodziei Jowitki organy ścigania nigdy nie znalazły, dwóch ludzi, którzy dostarczyli Zuzkę pod Sieniawę, nawet nie szukały. Sąd też nie zaprzątał sobie nimi głowy.

FOT. ARCHIWUM

Srokatej maści hucułka, którą skradziono, nie może wrócić do właściciela. Tak zdecydował sąd

Jowitka zdechła, niech żyje Zuzka

Po trzech latach sądowej batalii o tożsamość zwierzęcia przeworski sąd orzekł, że hucułka należy się pani Stanisławie przez zasiedzenie, choć w treści wyroku wyraźnie nazywa ją Jowitką i nawet podaje niepowtarzalny dożywotni numer z czipa.

Pan Andrzej zaprotestował: przecież pani składając w sądzie wniosek o zasiedzenie, miała pełną świadomość, że Jowitka została uprowadzona, że toczy się śledztwo w sprawie tej kradzieży, a o tym wszystkim wiedziała od niego. Wobec tego nie ma mowy o żadnym zasiedzeniu w dobrej wierze.

– Wnioskodawczyni skontaktowała się z uczestnikiem i zaproponowała odkupienie dokumentów konia – podkreśla sąd w uzasadnieniu postanowieniu. – Po przyjeździe do gospodarstwa i obejrzeniu zwierzęcia uczestnik zażądał wydania konia. Wnioskodawczyni odmówiła wskazując, że traktuje zwierzę jako swoją własność i nie zamierza się go pozbywać.

A w ogóle to sama chciała pierwotnie kupić od pana Andrzeja „papiery na konia", tym bardziej o dobrej wierze nie ma mowy, co z kolei on podkreśla.

Innego zdania był sąd:

– Wnioskodawczyni działała w dobrej wierze, pozostając w usprawiedliwionym przekonaniu, ze zwierzą zostało porzucone i nie posiada właściciela (skoro wyzbył się własności rzeczy przez porzucenie) – uznał przeworski sąd. – Przekonanie to było racjonalne w świetle okoliczności sprawy – koń został przywieziony przez nieznane osoby, które nie podały swoich danych i nie powróciły po jego odbiór, a stan zdrowia konia wskazywał na wcześniejsze, długotrwałe zaniedbania i skrajne wyczerpanie.

I na tej podstawie wymiar sprawiedliwości orzekł w kwietniu br., że pani Stanisława stała się właścicielką hucułki.

Tego pan Andrzej wymiarowi sprawiedliwości darować nie może i z werdyktem pogodzić nie zamierza. Odwołał się od tej decyzji do Sądu Okręgowego w Przemyślu. I od razu „z kopyta":

– Przyjęcie konia od nieznanych osób, które nie zostawiły żadnych danych i nigdy nie wróciły, powinno wzbudzić u przeciętnej osoby podejrzenie co do legalności pochodzenia zwierzęcia – zwraca uwagę za zachowanie swojej przeciwniczki procesowej. – Koń nie jest rzeczą porzuconą jak stary mebel, w Polsce konie muszą posiadać paszporty i być zarejestrowane w bazie.

I podpowiada przemyskiemu sądowi, że takie zachowanie można potraktować jako „przestępstwo paserstwa nieumyślnego", co już zalatuje kryminałem, bo przecież pani spod Sieniawy przyjęła od niezidentyfikowanych wciąż dwóch NN za Jowitkę 500 zł. A fakt, że śledztwo w sprawie kradzieży konia zostało umorzone z powodu niewykrycia sprawców nie znaczy, że kradzieży nie było – dodaje.

– Czekam na termin rozprawy przed sądem w Przemyślu – mówi nieprawomocnie były właściciel srokacza. – I mam nadzieję, że za jego sprawą Jowitka do mnie wróci, bo mnie ciężko o niej zapomnieć, a liczę na to, że i ona o mnie wciąż pamięta.

©℗

REKLAMA
0011568070

eprasa.pl c1e91c68ff

WROCŁAW

Oryginalna rzeźba stanęła na grobie wrocławskiej artystki Natalii LL

Znakomity polsko-włoski artysta - Krzysztof M. Bednarski - stworzył rzeźbę, która stanęła na grobie artystki - Natalii LL - na Cmentarzu Osobowickim. - Spełniłem ostatnią wolę Natalii LL - napisał na swoim FB Bednarski.

FOT. PAWEŁ RELIKOWSKI

Każdy, kto chciałby zobaczyć to dzieło, powinien odwiedzić grób artystki. Natalia LL spoczywa na Cmentarzu Osobowickim we Wrocławiu - w Alei Zasłużonych (kwatera 79, rząd 7)

Robert Migdał

Natalia LL Lach-Lachowicz była wybitną artystką, której prace były znane na całym świecie. W 1963 roku ukończyła studia w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych we Wrocławiu (obecnie Akademia Sztuk Pięknych). „Zajmowała się malarstwem, rzeźbą, instalacją, fotografią, wideo, performansem oraz rysunkiem. Natalia odeszła 12. sierpnia 2022 roku we Wrocławiu" - czytamy na nataliall.com

„Co Ty widzisz, kiedy patrzysz na rzeźbę autorstwa Krzysztofa M. Bednarskiego"?

Krzysztof M. Bednarski zrealizował rzeźbę w zakładach kamieniarskich Skwara Studio, rok po śmierci Natalii LL.

- Ale środki na pokrycie kosztów zostały pozyskane dopiero w tym roku za pośrednictwem Fundacji ZW. Realizację dofinansowano ze środków programu własnego Centrum Rzeźby Polskiej w Orońsku pn. Rzeźba w przestrzeni publicznej - 2026 pochodzących z budżetu Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego - informuje Krzysztof Michał Bednarski.

Sama Fundacja ZW tak pisze o rzeźbie na grobie Natalii LL:

„Natura czy cielesność? Pąk kwiatu czy fałdy ludzkiego ciała? Co Ty widzisz, kiedy patrzysz na rzeźbę autorstwa Krzysztofa M. Bednarskiego?

Co ciekawe, ten organiczny kształt wyczarowano w twardym materiale. Użyto jasnego, delikatnie różowego marmuru portugalskiego, który odcieniem przypomina ludzką skórę. Ciemniejsze, czerwono-brązowe żyłki wyrysowane przez naturę wyglądają jak sieć naczyń krwionośnych, nadając bryle biologiczny i żywy charakter.

Ta wyjątkowa forma idealnie oddaje ducha sztuki Natalii LL (1937-2022). Artystka w swojej twórczości – fotografii, wideo czy performansie – stawiała w centrum kobiecość, ciało, wolność i siłę witalną.

Rzeźba umieszczona na Cmentarzu Osobowickim we Wrocławiu unika dosłowności, a jednocześnie w piękny i zmysłowy sposób symbolizuje wszystko to, czym żyła artystka: biologiczną siłę, kobiecość i niegasnącą energię sztuki.

Zapraszamy do odwiedzenia, zobaczenia i poczucia jej samemu."

Każdy, kto chciałby zobaczyć to dzieło na żywo, powinien odwiedzić grób artystki. Natalia LL spoczywa na Cmentarzu Osobowickim we Wrocławiu - w Alei Zasłużonych (kwatera 79, rząd 7).

Kim jest Krzysztof M. Bednarski?

Krzysztof Michał Bednarski to uznany na całym świecie artysta. Jego prace były pokazywane na wystawach całym świecie, a na stałe znajdują się w wielu muzeach - np. w kolekcji muzeów narodowych we Wrocławiu, Warszawie, Poznaniu czy Krakowie.

Jest autorem bardzo oryginalnych rzeźb nagrobnych m.in. Krzysztofa Kieślowskiego, Wojciecha Fangora czy Krzysztofa Krauzego.

W wywiadzie w miesięczniku „Odra" („W mojej bliskości wyczuwałem śmierć" - wywiad z 2008 roku) powiedział, że najlepszą ostatnią przysługą dla kogoś, kto był mu bliski jest zrobienie mu dobrego nagrobka...

FOT. TOMASZ HOŁOD

2014 rok. Natalia LL w Galerii Skos we Wrocławiu

eprasa.pl c1e91c68ff

JAJA GRUBEGO

Hasło utworzą litery z pól ponumerowanych u dołu od 1 do 6.

POZIOMO:
2) zgromadzenie chorągwi, 6) krzyżówki z żaglem, 7) pigułkowa Maria, 8) pasuje do wiatrówki, 10) jeden z mebli, o które rywalizują, 12) namawiamy metal do gadania, 14) klej z kuraka, 15) podwodny ptak (w starym filmie), 17) posiada cyrk lodowcowy, 19) ptaki z laki, 21) samolot niczym Boryna, 22) tlen na chorobę, 25) tragarz, 26) dobrze weń chwytać, 27) w różnych czasach modny na ustach, 29) stoi na widecie, 30) sknocone oświetlenie, 31) złoty Meksykanina, 32) niejeden minister się bez niej obejdzie, 33) Chama miał w rodzinie.

PIONOWO:
1) antymilitarystka wśród służby, 2) wojłokowy, 3) cecha Zeusa, 4) co dziewczyna ma do stracenia?, 5) pora spożywczej części zwierzątka, 9) ford dla obstawy, 11) jeden z Kurantów, 13) pieśń na Menie, 16) brat lub ojciec, 18) starszy od chuligana, 20) nokaut syna Adamowego, 23) niezdrowo się nimi kierować, 24) wskazujemy narzuty, 28) ryba potrzebna kowalowi.

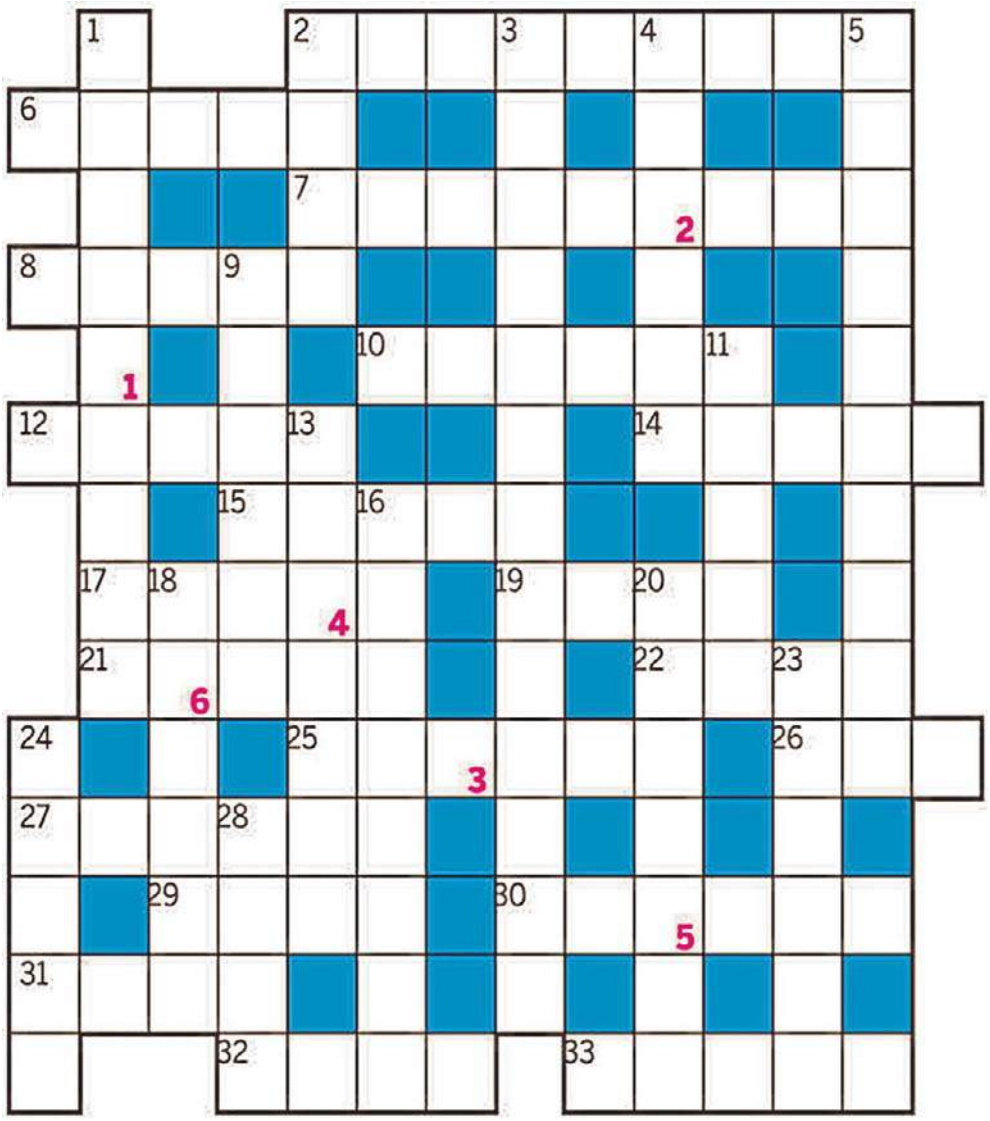

1	2	3	4	5	6

Rozwiązanie z 2.10.2026 r.

hasło: Jarzębina

POZIOMO: bombonierka, Dzidka, Gedeon, kwas, rzut, zatrzymanie, ocena, zaczepki, amfetamina, jatka, interwent, RNA, Lubin,kamienice, akta.

PIONOWO: pomieszanie, piruety, walonki, bękart, Rebeka, wdowiec, guz, zrozumienie, mazgaj, napastnik, Emilka, odaliska, fatum, tercet, arba, Kant, tlen.

WIEŚCI NIE Z TEJ ZIEMI

Michał Koterski

Rzucał żartami

W miniony wtorek aktor spotkał się na rozprawie rozwodowej ze swą byłą żoną Marcelą Leszczak. Dzięki relacji obecnego na korytarzu sądu reportera Pudelka wiemy, że obyło się bez grobowej atmosfery i wzajemnego unikania spojrzeń. Eksmałżonkowie usiedli obok siebie i swobodnie gawędzili. Koterski rzucał nawet żartami w kierunku fotoreporterów i dziennikarzy. Po wydaniu przez sąd wyroku Marcela i Michał wygłosili oświadczenie, w którym przyznali, że rozwiedli się za porozumieniem stron, twierdząc że „chcą być przykładem dla innych par, jak się rozwodzić". Potem wyszli razem na ulicę i na koniec przytulili się do siebie. Na zdjęciach widać, że Marcela uroniła kilka łez na ramieniu męża.

Roksana Węgiel

Nie kłóci się

Młoda piosenkarka dba o swoją przyszłość i rozpoczęła budowę domu. Czekając na sfinalizowanie inwestycji, przeprowadziła się z mężem Kevinem do tymczasowego gniazdka w lesie pod stolicą. Dzięki temu trzyma się z dala od wszelkich problemów związanych z budową przyszłego domu. W rozmowie z Kozaczkiem przyznała, że to była bardzo sensowna decyzja. – Wiedziałam, że budowa domu to są ogromne koszty i wiedzieliśmy, na co się piszemy. Budowa to jest poniekąd taki sprawdzian wytrzymałości, jeśli chodzi o osobowość. Ale ze względu na to, że przenieśliśmy się szybciej pod Warszawę, to nie mamy tej presji i to nam daje dużo więcej takiego spokoju. Nie spinamy się już tak bardzo z tą budową. Na spokojnie, dom się buduje, my się nie kłócimy. Jest wszystko dobrze – podsumowała zadowolona.

Natalia Siwiec

Usuwa przedmioty

W niedawnym wywiadzie z Plejadą celebrytka opowiedziała, co ją najbardziej męczy w codziennym życiu małżeńskim z Mariuszem Raduszewskim. Okazało się, że wyjątkowo irytuje ją to, iż biznesmen zbyt często... sprawia jej drobne upominki bez okazji. – Najczęściej mam pretensje do Mariusza, że on kupuje pierdoły. On cały czas kocha kupować mi prezenty – małe upominki. Ja ich nie znoszę. Z jednej strony to jest słodkie, a z drugiej strony wolałabym ewentualnie jeden konkretny, ale też nie chcę prezentów. Chyba że na urodziny. Już mamy tyle rzeczy, że na razie usuwam je z naszego domu. Nie chcę ich kumulować, a Mariusz lubi codziennie nam coś kupić – pożaliła się serwisowi.

FOT. SYLWIA DĄBROWA

Agnieszka Hyży ogłosiła niedawno, że utrzymuje bardzo dobre relacje z byłym mężem

Agnieszka Hyży

Rozmawia i żartuje

Popularna prezenterka w 2014 roku rozwiodła się ze swym pierwszym mężem – Mikołajem Witem. Para wychowuje jednak wspólnie córkę Martę. Z czasem napięcie między byłymi małżonkami opadło. Dlatego niedawno Hyży opublikowała na Instagramie post, w którym napisała: „Dziś mogę powiedzieć coś, co dla wielu osób wciąż brzmi zaskakująco: ja naprawdę lubię swojego byłego męża. I mam poczucie, że to działa w obie strony. Mogłabym przytoczyć dziesiątki sytuacji, kiedy ludzie nie potrafią ukryć zdziwienia, dowiadując się, że jesteśmy byłymi małżonkami. W szkole, w urzędach, w sprawach zawodowych, kiedy mamy coś wspólnie do załatwienia. »Ale jak to? Państwo są po rozwodzie?«. Bo rozmawiamy normalnie. Bo żartujemy. Bo jesteśmy dla siebie mili. Chyba za mili jak na rozwodników" – podsumowała.

Aleksandra Konieczna

Doznała objawienia

Ceniona aktorka opowiedziała w rozmowie z Plejadą o swej religijnej konwersji. Choć została wychowana w katolickiej rodzinie, niezwykłe wydarzenie sprawiło, że zwróciła się w stronę prawosławia. – Doznałam mistycznego objawienia. Miałam jakieś 33 lata, jechałam prostą drogą do rodzinnego Prudnika. (...) Nagle usłyszałam młody męski głos, który mówił coś w nieznanym mi języku. Kilka razy te słowa do mnie wracały. Aż w końcu zrozumiałam, że jest to starocerkiewna modlitwa – zdradziła. Kilka lat później Konieczna przypadkiem znalazła się w pobliżu warszawskiej cerkwi. Weszła zaciekawiona – i z czasem stała się wierną Kościoła prawosławnego. Dziś regularnie chodzi do cerkwi i obchodzi prawosławne święta.

Julia Wieniawa

Rzuciła rękawicę

W ostatnim odcinku „Tańca z Gwiazdami" celebrytka wskoczyła na parkiet z Iwoną Pavlović. Panie dały się ponieść muzyce, energicznie kręcąc biodrami. Niestety, stylizacja Wieniawy najwyraźniej nie była projektowana z myślą o tak dzikich akrobacjach. Ciężar przypiętego do paska mikroportu oraz szalone obroty sprawiły, że krótka spódniczka z frędzlami zaczęła się zsuwać, odsłaniając bieliznę aktorki. Wieniawa kompletnie nie przejęła się jednak tą wpadką i wypaliła do mikrofonu: „Mam nadzieję, że nie zgorszyłam połowy Polski stylizacją". Niedługo po emisji programu wrzuciła na swoje InstaStories kadr z szalonego tańca i podsumowała całe zamieszanie w dowcipny sposób: „Rękawica została rzucona. Majtki prawie też".

Skolim

Zaprosił na ucztę

W minionym tygodniu polski „król latino" wyprawił dla swych fanów imprezę z okazji trzydziestych urodzin w podlaskich Siemiatyczach. Celebryta podjechał na miejsce Mercedesem i wkroczył na scenę po różowym dywanie. Fani zasypali swego idola kolorowymi bukietami kwiatów, laurkami i prezentami, podczas gdy on cierpliwie rozdawał autografy. W powietrzu unosił się ogromny balon, przypominający o okrągłych urodzinach wokalisty. Stoliki w strefie gastronomicznej uginały się pod ciężarem rozdawanych za darmo pączków i grillowanych kiełbasek. Potem na scenę wkroczył burmistrz miasta i obaj panowie wypili zdrowie solenizanta. Wiwatom widzów nie było końca.

eprasa.pl c1e91c68ff

PLEBISCYT

Tu aż kipi! Nie w garnkach, ale od dobrej, życzliwej energii

Choć koła gospodyń wiejskich kojarzą nam się przede wszystkim z gotowaniem i festynami, ich największą siłą są ludzie. Tacy, którzy lubią swoje towarzystwo, potrafią się wspierać i mają wiele dobrych powodów, żeby się spotkać.

Na spotkaniach kół gospodyń wiejskich bywa gwarno, wesoło. Są rozmowy, żarty, nowe pomysły, ale też zwykła przyjemność z bycia razem.

Jedni znają się od lat, inni się poznają. Są wśród nich osoby w różnym wieku, o różnych charakterach, zainteresowaniach i doświadczeniach. Ale to właśnie ta różnorodność sprawia, że nie brakuje tematów do rozmów, okazji do wspólnego śmiechu ani pomysłów, które potem rozruszają wioskę. - W plebiscycie Mistrzowie Agro 2026 biorą udział oczywiście również koła gospodyń wiejskich, nie mogło być inaczej. I dziś właśnie je przedstawiamy - mówi dziennikarka Katarzyna Adamczyk. Przygotowania do wydarzeń, pielęgnowanie lokalnych tradycji, organizowanie spotkań czy angażowanie się w życie miejscowości to ważna część działalności KGW, ale równie ważne jak efekty tych działań są relacje, które przy okazji powstają - i właśnie je chcieliśmy dziś pokazać.

„Łączą nas dzieci, wnuki, rodziny, pasje, poczucie humoru, a przede wszystkim - podobne wartości”

- Nasze koło stało się czymś znacznie więcej niż tylko grupą osób działających na rzecz wsi - mówią.

Za każdym zdjęciem z uroczystości kryje się coś znacznie cenniejszego - nasza codzienność, relacje, przyjaźnie i wspólnota, którą tworzymy nie tylko od święta, ale przede wszystkim na co dzień. - Jesteśmy grupą ludzi, których połączyła wspólna idea, ale z czasem staliśmy się czymś znacznie więcej niż tylko kołem gospodyń i gospodarzy wiejskich. Jesteśmy zżytą, zwartą i wspierającą się grupą, w której każdy ma swoje miejsce, każdy jest ważny i każdy może wnieść coś od siebie. Łączą nas dzieci, wnuki, rodziny, wspólne pasje, poczucie humoru, a przede wszystkim podobne wartości - szacunek do drugiego człowieka, przywiązanie do tradycji, otwartość i troska o naszą małą ojczyznę - opisuje Dorota Konarska z KGiGW Truskawkowy Zakątek (gmina Warta Bolesławiecka).

Na ich spotkaniach nie zawsze powstają wielkie plany i nie zawsze pracują nad kolejnym wydarzeniem. Czasem po prostu siadają razem przy stole i rozmawiają. Ich siłą jest różnorodność. Każdy ma inne doświadczenia, umiejętności i pomysły, ale właśnie dzięki temu wzajemnie się uzupełniają. - Jesteśmy dumni z tego, że w Wartowicach potrafimy działać razem, niezależnie od wieku, charakteru czy doświadczenia.

Dobrze, że mamy siebie - mówią. Siłą KGW Jabłonki są kobiety, które zawsze mogą na siebie liczyć

Każda z nich jest inna, mają różne charaktery i talenty, ale właśnie z tej różnorodności powstaje coś wyjątkowego.

Na ich spotkaniach dużo się dzieje - rozmawiają, planują, wymyślają, a śmiechu oczywiście nie brakuje. Jako grupa są bardzo różne, ale właśnie ta różnorodność jest ich siłą. - Łączy nas przede wszystkim chęć działania, wzajemne wsparcie i to, że każda z nas dokłada coś od siebie. To, czego nie widać na zdjęciach, to mnóstwo pracy „od kuchni”, spontanicznych pomysłów i dobrej energii, dzięki której chce nam się działać razem - podkreśla Katarzyna Jadach z KGW Jabłonki w Słotwinie (gmina Świdnica). Wspaniałe jest to, że w trudnych chwilach zawsze mogą na siebie liczyć, a wspólne sukcesy smakują jeszcze lepiej. Wtedy mówią: - Dobrze, że mamy siebie. KGW Jabłonki to nie tylko gotowanie, festyny i uroczystości. - Jesteśmy grupą kobiet, które potrafią połączyć tradycję z nowymi pomysłami, a przede wszystkim działamy z sercem i dla ludzi.

Mistrzowie AGRO

LIDERZY POSZCZEGÓLNYCH KATEGORII PLEBISCYTU

Więcej na: gazetawroclawska.pl/agro

SOŁTYS ROKU

1. **Anna Ilska,** Sołectwo Gorzesław, gmina Bierutów
2. **Czesława Piechnik,** Sołectwo Stronie Wieś, gmina Stronie Śląskie
3. **Sylwia Brusiło,** Sołectwo Piława, gmina Mietków
4. **Katarzyna Wielińska,** Sołectwo Zaborów i Grzybów, gmina Ścinawa
5. **Oliwia Koralik,** Sołectwo Sokolniki, gmina Udanin

ROLNIK ROKU

1. **Filip Mazurek,** Glinica
2. **Tomasz Foremny,** Rusko
3. **Bartosz Łasica,** Nawojów Łużycki
4. **Henryk i Łukasz Boczkur,** Nowa Wieś Złotoryjska
5. **Karol Latus,** Przesieczna

LIDERKA/LIDER ROKU

1. **Andrzej Kozdrowicki,** Siechnice, działacz społeczny
2. **Krzysztof Lekszycki,** Stary Wielisław, OSP Stary Wielisław
3. **Marcel Potrzeba,** Malczyce, dyrektor GOKiS
4. **Jan Łukasz,** Prochowice, Prochowicki Ośrodek Kultury i Sportu
5. **Anna Szwaja-Jędrejek,** Jasna Góra, członek Stowarzyszenia u Alchemika

LEŚNICZY ROKU

1. **Szczepan Hotała,** Nadleśnictwo Zdroje
2. **Dariusz Ślusarczyk,** Leśnictwo Gaje
3. **Marcin Herbut,** Leśnictwo Zamek Myśliwski

WYPOCZYNEK BLISKO NATURY ROKU

1. **Lawendowa Sowa,** Lutomia Górna
2. **Stajnia Szeryfa,** Kopacz
3. **Domki Górska Zatoka,** Stary Gierałtów
4. **Gospodarstwo Agroturystyczne i Ośrodek Jazdy Konnej RAMIDES,** Chwalimierz
5. **Lucjan Roskowiński Wydrza Przystań,** Mlądz

SOŁECTWO ROKU

1. **Sołectwo Smolec Przylesie,** gmina Kąty Wrocławskie
2. **Sołectwo Nowy Dwór,** gmina Radwanice
3. **Sołectwo Paprotki,** gmina Lubawka
4. **Sołectwo Podolany,** gmina Złotoryja
5. **Sołectwo Boleścin,** gmina Trzebnica

KOŁO GOSPODYŃ WIEJSKICH ROKU

1. **KGW Zakręceni,** gmina Kamienna Góra
2. **KGW Grędzina,** gmina Jelcz-Laskowice
3. **KGiGW Lawendowa Wieś Stary Łom,** gmina Chojnów
4. **KGW Po Sąsiedzku w Ligocie Wielkiej,** gmina Oleśnica
5. **KGW Piękne Izerskie Stara Kamienica,** gmina Stara Kamienica

Patroni honorowi:
Ministerstwo Rolnictwa i Rozwoju Wsi
Minister Rolnictwa i Rozwoju Wsi Stefan Krajewski
ARiMR Agencja Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa
Krajowy Ośrodek Wsparcia Rolnictwa

Partnerzy plebiscytu:
Targi Kielce exhibition & congress centre
agrotech

Patronat regionalny:
ARiMR Agencja Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa Dolnośląski Oddział Regionalny
DIR

eprasa.pl c1e91c68ff

BEZPIECZEŃSTWO

Młodzi Dolnoślązacy kolejny raz udowodnili, że bezpieczeństwo można promować z wyobraźnią

Znamy laureatów naszego redakcyjnego konkursu dla dolnośląskich dzieci i młodzieży „Bezpieczny powrót do szkoły". Dziękujemy za wszystkie nadesłane prace, gratulujemy pomysłowości i życzymy dalszych sukcesów

BMK

Kolorowe plakaty, pomysłowe rysunki i krótkie filmy pełne ważnych przesłań. Tak wyglądał konkurs „Bezpieczny powrót do szkoły!", który przez ostatnie tygodnie angażował dzieci z całego Dolnego Śląska.

Choć konkurs dobiegł już końca, pozostawił po sobie coś znacznie cenniejszego niż nagrody i dyplomy – przypomnienie, że bezpieczeństwo zaczyna się od codziennych, pozornie drobnych decyzji.

Organizowany przez „Gazetę Wrocławską" konkurs „Bezpieczny powrót do szkoły!" pokazał, że o bezpieczeństwie można mówić nie tylko podczas lekcji czy pogadanek, ale także poprzez sztukę i nowoczesne formy przekazu.

FOT. POLSKAPRESS

Każde przypomnienie o ostrożności na drodze, każdy odblask przypięty do plecaka ma ogromne znaczenie.

Zadanie uczestników

Uczestnicy mieli za zadanie przygotować pracę plastyczną lub krótki film prezentujący ich spojrzenie na bezpieczne zachowania. Efekty często zaskakiwały dojrzałością przekazu. Młodzi autorzy zwracali uwagę na prawidłowe przechodzenie przez jezdnię, korzystanie z przejść dla pieszych, noszenie odblasków czy rozsądne zachowanie podczas zabawy i szkolnych przerw.

Jak co roku nie zabrakło kreatywnych pomysłów. W pracach pojawiały się kolorowe przejścia dla pieszych, uśmiechnięci uczniowie w odblaskowych kamizelkach oraz scenki pokazujące, jak reagować w sytuacjach zagrożenia. Dużym zainteresowaniem cieszyła się również forma filmowa, która pozwalała uczestnikom wcielić się w role reporterów.

Kapituła konkursowa nie miała łatwego zadania. Oceniając zgłoszenia, brała pod uwagę nie tylko estetykę wykonania, ale również kreatywność i zgodność z tematyką konkursu. Liczył się przede wszystkim pomysł oraz umiejętność przekazania ważnego komunikatu w sposób zrozumiały dla rówieśników.

Bezpieczeństwo zaczyna się w domu

Choć konkurs skierowany był do dzieci, nie sposób pominąć roli rodziców i opiekunów. To oni najczęściej jako pierwsi uczą najmłodszych zasad poruszania się po drogach, pokazują bezpieczne trasy i wyjaśniają, dlaczego warto zachować ostrożność nawet wtedy, gdy ma się pierwszeństwo. Eksperci od lat podkreślają, że najlepsze efekty przynosi regularne utrwalanie dobrych nawyków.

Laureaci konkursu „Bezpieczny powrót do szkoły!"

Kategoria wiekowa 6-10 lat

1. miejsce
Emiliia Dediaieva, lat 9

2. miejsce
Amelia Gierak, lat 10

3. miejsce
Kalina Kwiatkowska, lat 8

Kategoria wiekowa 11 - 14 lat

1. miejsce
Lidia Szymańska, lat 14

2. miejsce
Jan Pilarski, lat 12

3. miejsce
Jan Ortiz Ramos, lat 12.

Gratulujemy wszystkim laureatom.

Nagrody

Laureaci otrzymają w nagrodę vouchery do sklepu Empik o wartości 400 złotych - za zdobycie 1. miejsca, 300 zł - za zdobycie 2. miejsca i 200 zł za zdobycie 3. miejsca oraz upominki od partnera konkursu – firmy eduVULCAN.

Ważne przesłanie

Wszystkie prace można oglądać na stronie internetowej Gazety Wrocławskiej.

Tegoroczna edycja udowodniła, że edukacja nie musi być nudna. Czasem wystarczy kartka papieru, garść kolorowych kredek albo telefon z kamerą, by powstał przekaz, który skutecznie przypomni rówieśnikom i dorosłym, że bezpieczeństwo jest wspólną sprawą nas wszystkich.

Pamiętajmy, że każde przypomnienie o ostrożności na drodze, każdy odblask przypięty do plecaka i każda rozmowa o bezpiecznych zachowaniach może mieć ogromne znaczenie dla bezpieczeństwa uczniów. Jedna chwila nieuwagi, może zmienić całe życie!

REKLAMA
Q605050778

MECENAS KONKURSU
KGHM POLSKA MIEDŹ

PARTNER GŁÓWNY
eduVULCAN

PARTNERZY:
brose sitech Interior Solutions
WMD 1 Sp. z o.o. Jacek Wyspiański Franczyzobiorca McDonald's

eprasa.pl c1e91c68ff

1 MIEJSCE W KAT. 6-10 LAT

FOT. MAGDALENA KURDZIEL

Emiliia Dediaieva, lat 9

REKLAMA 0011593725

manewr
KWALIFIKACJA WSTĘPNA
SZKOLENIA OKRESOWE
AM | A1 | A | B | C | D | E
Wiesz, że zdasz

Podstawiamy auta na egzamin WORD
Szkolenie prowadzimy w formie wykładów oraz e-lerningu.
Możliwość dofinansowania.

Z okazji 27-lecia firmy
PROMOCYJNE CENY

Wrocław,
ul. Sołtysowicka 27E,
✆ 71 325 00 25 | ✆ 609 235 089
szkola@manewr.com.pl

www.manewr.com.pl

AUTOREKLAMA

Polecamy →

strefa EDUKACJI

Edukacja w najwyższym stopniu

strefaedukacji.pl

eprasa.pl c1e91c68ff

1 MIEJSCE W KAT 11-14 LAT

FOT. MAGDALENA KURDZIEL

Lidia Szymańska, lat 14

REKLAMA 0011562251

brose sitech
Interior Solutions

Tworzymy wnętrza samochodów Twojej podróży.

Komfort, bezpieczeństwo, technologia.

Bose Sitech specjalizuje się w produkcji foteli samochodowych, ich konstrukcji i komponentów, a także w tworzeniu rozwiązań dla wnętrz pojazdów.

Grupa Brose Sitech to ponad 8 000 pracowników w 22 lokalizacjach w 9 krajach na świecie.

Dowiedz się więcej o naszej firmie

www.brose-sitech.com

Facebook

LinkedIn

eprasa.pl c1e91c68ff

KATEGORIA 6-10 LAT

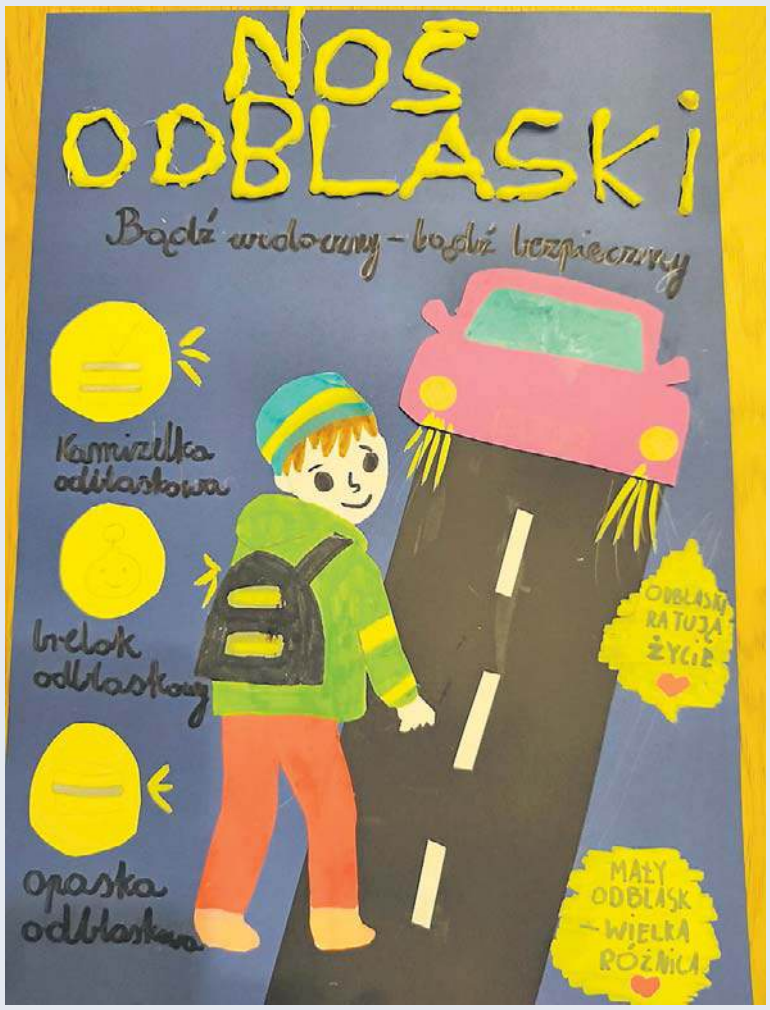

2. MIEJSCE AMELIA GIERAK, LAT 10

PRACA KONKURSOWA

3. MIEJSCE KALINA KWIATKOWSKA, LAT 8

PRACA KONKURSOWA

KATEGORIA 11-14 LAT

2. MIEJSCE JAN PILARSKI, LAT 12

PRACA KONKURSOWA

3. MIEJSCE JAN ORTIZ RAMOS, LAT 12

PRACA KONKURSOWA

eprasa.pl c1e91c68ff

MATERIAŁ INFORMACYJNY KGHM POLSKA MIEDŹ S.A. 0011598667

Bezpieczeństwo zaczyna się od dobrych nawyków. KGHM buduje je każdego dnia

Konkurs „Bezpieczny powrót do szkoły!" dobiegł końca. Dzieci z Dolnego Śląska pokazały w pracach plastycznych i krótkich filmach, że bezpieczeństwo nie jest abstrakcyjnym hasłem, lecz sumą codziennych decyzji: uważnego przechodzenia przez jezdnię, noszenia odblasków czy odpowiedzialnego zachowania w szkole. KGHM Polska Miedź, mecenas konkursu, tę samą zasadę rozwija w swoich zakładach: dobre nawyki, wiedza i współodpowiedzialność chronią ludzi skuteczniej, gdy stają się częścią codzienności.

Uczestnicy do 14. roku życia mogli zgłaszać rysunki, plakaty lub filmy trwające do 60 sekund. Konkurs prowadzono w dwóch kategoriach wiekowych: 6–10 oraz 11–14 lat. Niezależnie od werdyktu jury najważniejszy efekt już widać: dzieci opowiedziały o zasadach własnym językiem, a rodziny dostały dobry pretekst do rozmowy o tym, jak bezpiecznie wracać do domu.

Od zasady „Zero szkód" do codziennych decyzji

W KGHM życie i zdrowie pracowników są najwyższym priorytetem. Wizja „Zero szkód" łączy identyfikowanie zagrożeń na każdym stanowisku, techniczne przygotowanie miejsca pracy, stałe monitorowanie środowiska, kontrole sprzętu, szkolenia i programy zdrowotne. To system, ale jego skuteczność zależy od człowieka — od gotowości do przestrzegania procedur, reagowania na ryzyko i dbania o współpracowników.

Temu służyła ubiegłoroczna akcja dla pracowników „Bo mam do kogo wracać". Żółte karteczki z wiadomościami od bliskich przypominały o kasku, zasadach BHP i bezpiecznym powrocie. Z kolei Dni Bezpieczeństwa pod hasłem „Jestem świadomy konsekwencji — dbam o siebie i innych" łączyły seminaria i rozmowy z ekspertami z prezentacjami środków ochrony, konkursami wiedzy, spirometrią oraz konsultacjami pielęgniarskimi i dietetycznymi. Efekt konsekwencji jest mierzalny: w latach 2010–2024 wskaźniki wypadkowości na 1000 zatrudnionych i milion godzin pracy spadły w KGHM średnio trzykrotnie.

Gotowość ćwiczona, zanim pojawi się zagrożenie

Bezpieczeństwo w przemyśle oznacza również przygotowanie na sytuacje najtrudniejsze. Otwarte w 2025 r. Centrum Szkoleniowe Medyczno-Wysokościowe JRGH KGHM ma sześć specjalistycznych stanowisk, na których jednocześnie może trenować do 15 osób. Ratownicy i pracownicy ćwiczą m.in. wejścia do studni i kanałów, ewakuację, pracę na dachach, kratownicach i suwnicach oraz obsługę systemów asekuracyjnych. Kontrolowane symulacje pozwalają doskonalić reakcje, zanim umiejętności będą potrzebne w realnej akcji.

Sprawdzianem gotowości są również coroczne Zawody Górniczych Zastępów Ratowniczych. Tegoroczna, XXV edycja „Sobin 2026" objęła pięć konkurencji — test wiedzy, obsługę i mechanikę sprzętu, pierwszą pomoc, działania wysokościowe oraz tor przeszkód — weryfikowało nie tylko sprawność, ale też współpracę, opanowanie i decyzje podejmowane pod presją. W ratownictwie wynik zespołu ma bezpośrednie przełożenie na bezpieczeństwo załogi.

Bezpieczny zakład, bezpieczny region

Kompetencje KGHM służą także mieszkańcom. Porozumienie JRGH z jednostkami OSP obejmują wspólne ćwiczenia, manewry, wymianę doświadczeń i współdziałanie przy katastrofach, zawałach ziemi, pożarach oraz innych zagrożeniach. Rozwija ono współpracę prowadzoną już z Państwową Strażą Pożarną w Głogowie, Polkowicach, Lubinie i Legnicy. Bezpieczeństwo zakładu i otoczenia tworzą jeden system.

Nowe zagrożenia, ta sama odpowiedzialność

Ochrona ludzi i produkcji obejmuje dziś także cyberprzestrzeń. Podczas KGHM Cyber Challenge 2026 eksperci KGHM i sześciu spółek sektora energetycznego oraz wydobywczego testowali procedury obronne i komunikację kryzysową podczas symulowanego ataku na infrastrukturę krytyczną. Ćwiczyli wykrywanie incydentu, ograniczanie skutków i współpracę, a następnie omawiali m.in. wycieki danych oraz relacje między systemami IT i infrastrukturą operacyjną. W nowoczesnym zakładzie cyberodporność staje się częścią BHP: chroni procesy, miejsca pracy i stabilność firmy.

Konkurs dla dzieci i działania prowadzone w KGHM łączy jedna myśl: bezpieczeństwo nie zaczyna się w chwili zagrożenia. Powstaje wcześniej — z wiedzy, ćwiczeń, sprawnych technologii, rozmowy i odwagi, by zareagować. Dobre nawyki wyniesione ze szkoły mogą z czasem stać się zawodowym standardem. A standard konsekwentnie stosowany przez tysiące osób buduje bezpieczeństwo pracowników, odporność nowoczesnego zakładu i przyszłość całej firmy.

eprasa.pl c1e91c68ff

WYDARZENIE

Jesienne Forum Seniora we Wrocławiu już za nami

Dojrzała jesień pełna blasku -to motto tegorocznego spotkania silversów. Seniorów przybywa. Obecnie osób 60+ mieszka we Wrocławiu około 170 tysięcy, czyli mniej więcej to co czwarty mieszkaniec miasta.

BMK

Zdrowie, relacje międzyludzkie, aktywność fizyczna i bezpieczeństwo prawne. Właśnie wokół tych tematów koncentrowało się Forum Seniora, które 14 października odbyło się we Wrocławiu pod hasłem „Dojrzała jesień pełna blasku".

FOTPAWEŁ RELIKOWSKI

Forum odbyło się w Hotelu Śląsk, przy ul. Oporowskiej

FOT. PAWEŁ DZIARKOWSKI

Na miejscu można było poddać się różnym badaniom

Uczestnicy Forum słuchali ekspertów, korzystali z porad specjalistów i przekonywali się, że jesień życia może być czasem pełnym energii, rozwoju i nowych doświadczeń.

Wydarzenie otworzyli zastępca redaktor naczelnej „Gazety Wrocławskiej" Mateusz Różański oraz wicemarszałek województwa dolnośląskiego Wojciech Bochnak. Obaj podkreślali znaczenie inicjatyw wspierających aktywizację osób starszych oraz tworzenie przestrzeni do zdobywania wiedzy i budowania relacji społecznych. Seniorów we Wrocławiu przybywa i to bardzo zróżnicowana grupa.

Jakie wsparcie przysługuje seniorom?

Pierwszy wykład poświęcony był świadczeniom i uprawnieniom przysługującym osobom starszym. Radca prawny Ewelina Czepil z Kancelarii Mędrecki Wilk wyjaśniła, z jakich form pomocy, jakich świadczeń wypłacanych przez ZUS mogą korzystać seniorzy oraz gdzie szukać informacji dotyczących należnych świadczeń. Gdy mamy wątpliwości, czy przysługuje nam jakieś świadczenie, warto zasięgnąć bezpłatnej konsultacji prawnej.

Zdrowie zaczyna się od szklanki wody

Agnieszka Wałecka z PZU Zdrowie przypomniała, że dobre samopoczucie i sprawność organizmu buduje się każdego dnia poprzez proste nawyki. Szczególną uwagę poświęciła odpowiedniemu nawodnieniu, które ma ogromny wpływ na pracę organizmu, koncentrację oraz ogólny stan zdrowia. Nie trzeba rewolucyjnych zmian, aby poprawić jakość życia. Regularne picie wody, ruch i zdrowa dieta mogą znacząco wpłynąć na kondycję fizyczną nawet w późniejszych latach życia.

Dlaczego warto dbać o zdrowie psychiczne?

Jednym z najważniejszych punktów programu był wykład dr Estery Przymus, specjalistki psychiatrii z Dolnośląskiego Centrum Zdrowia Psychicznego. Ekspertka mówiła o wyzwaniach, z jakimi mierzą się współcześni seniorzy, takich jak samotność, poczucie wykluczenia czy utrata bliskich osób. Równie ważne jak leczenie chorób jest dbanie o codzienny dobrostan psychiczny. W każdym wieku warto podtrzymywać aktywność społeczną i rozwijać zainteresowania.

Taniec, który dodaje energii

Po części wykładowej przyszedł czas na ruch. Izabela Efinowicz ze Szkoły Tańca Estilo poprowadziła pokazową lekcję tańca latynoamerykańskiego, która szybko porwała uczestników do wspólnej zabawy.

Seniorzy z entuzjazmem wykonywali kolejne kroki, a na sali nie brakowało śmiechu i pozytywnej energii. Warsztaty pokazały, że aktywność fizyczna może być nie tylko sposobem na zachowanie sprawności, ale także źródłem radości i nowych znajomości.

Śmiech najlepszym lekarstwem

O niezwykłej sile śmiechu opowiadała Alicja Przepiórska-Ułaszewska, trenerka i współzałożycielka Fundacji Via Salutis. Podczas wystąpienia przekonywała, że poczucie humoru pomaga radzić sobie ze stresem, poprawia nastrój i korzystnie wpływa na zdrowie. Prelegentka zachęcała uczestników, aby każdego dnia znajdowali powody do radości. Jak podkreślała, optymizm i pozytywne nastawienie są ważnym elementem zdrowego stylu życia niezależnie od wieku.

Dlaczego wnuki milkną przy stole?

Duże zainteresowanie wzbudziło wystąpienie Aliny Rozpędowskiej, trenerki biznesu i odporności psychicznej, poświęcone komunikacji międzypokoleniowej. Trenerka mówiła o zachowaniach, które nieświadomie mogą osłabiać relacje rodzinne i utrudniać rozmowę z młodszymi pokoleniami. Wykład skłaniał do refleksji nad sposobem prowadzenia codziennych rozmów oraz budowania wzajemnego zrozumienia. Uczestnicy usłyszeli wiele praktycznych wskazówek pomagających wzmacniać więzi rodzinne i tworzyć atmosferę sprzyjającą otwartemu dialogowi.

Oferty i niespodzianka

Podczas Forum Seniora na miejscu można było poznać ofertę usług medycznych, przebadać sobie wzrok, ciśnienie i poziom cholesterolu, poznać nowoczesne metody rehabilitacji i ofertę turystyczną kopalni złota. Uczestnicy otrzymali też drobne podarunki ufundowane przez sieć Drogerii MD.

REKLAMA
Q605046464

PARTNER GŁÓWNY

PZU ZDROWIE

PARTNERZY:

mmed GRUPA MEDYCZNA
MĘDRECKI WILK WSPÓLNICY
Creator
„DOLNOŚLĄSKIE CENTRUM ZDROWIA PSYCHICZNEGO" sp. z o.o.

eprasa.pl c1e91c68ff

REKLAMA 0011599888

SYNDYK SPRZEDA MASZYNY I URZĄDZENIA ROLNICZE – II POSTĘPOWANIE

Syndyk masy upadłości Piotra Szlęzaka, prowadzącego działalność gospodarczą pod firmą „AGRO-WAD" Piotr Szlęzak, na podstawie postanowienia Sędziego-Komisarza z dnia 22 maja 2026 r., sygn. akt SW1W/GUp/3/2026, ogłasza II postępowanie na sprzedaż z wolnej ręki ruchomości wchodzących w skład masy upadłości.

Sprzedaż może nastąpić:

1. **łącznie – z pierwszeństwem rozpoznania ofert na zakup wszystkich ruchomości,** albo
2. **odrębnie – w przypadku niedokonania wyboru oferty łącznej**.

Łączna cena minimalna wszystkich ruchomości wynosi: 705.804,89 zł netto

Przedmiot sprzedaży:

1. składnik nr 1.2 – beczka asenizacyjna HTS-100, nr inw. 07-010 – cena minimalna **8.341,46 zł netto**;
2. składnik nr 1.3 – ciągnik rolniczy John Deere 7530, nr inw. 07-002, rok prod. 2007 – cena minimalna **111.000,00 zł netto**;
3. składnik nr 1.4 – ciągnik siodłowy Scania R420LA4X2MNA, nr inw. 07-021, rok prod. 2008 – cena minimalna **10.463,42 zł netto**;
4. składnik nr 1.14 – siewnik Accord typ D, nr inw. 05-008 – cena minimalna **3.585,37 zł netto**;
5. składnik nr 1.18a – wóz zbierająco-stogujący Arcusin, nr inw. 05-018 – cena minimalna **76.829,27 zł netto**;
6. składnik nr 1.18b – wóz zbierająco-stogujący Arcusin, nr inw. 05-019 – cena minimalna **76.829,27 zł netto**;
7. składnik nr 1.20 – wał doprawiający Expom Krośniewice, nr inw. 442, rok prod. 2005 – cena minimalna **3.000,00 zł netto**;
8. składniki nr 1.26 i 1.37 – kombajn zbożowy John Deere T670i, nr identyfikacyjny 1Z0T670BECM090232, rok prod. 2012, wraz z hederem John Deere 625R, wózkiem do hedera oraz stołem do rzepaku ZURN 7.6M; heder do zbóż John Deere nr 1Z0625RXHC0041095, ujęty jako składnik nr 1.37, stanowi integralną część zestawu i nie podlega odrębnej sprzedaży – cena minimalna **207.878,05 zł netto**;
9. składnik nr 1.27 – kombajn zbożowy John Deere T670i, nr identyfikacyjny 1Z0T670BPB0088152, rok prod. 2011, wraz z hederem John Deere 625R, wózkiem do hedera oraz stołem do rzepaku ZURN 7.6M – cena minimalna **207.878,05 zł netto**;

Podane ceny są cenami netto i zostaną powiększone o należny podatek VAT, o ile podatek ten wystąpi.

Wadium wynosi 10% ceny minimalnej danej ruchomości. Wadium dla oferty na łączny zakup wszystkich ruchomości wynosi 70.580,51 zł.

Termin wpływu ofert oraz wpłaty wadium: 24 listopada 2026 r.

Za termin wpłaty wadium uważa się dzień uznania rachunku bankowego masy upadłości. Liczy się data wpływu oferty, a nie data jej nadania.

Rozpoznanie ofert nastąpi 26 listopada 2026 r. o godz. 13:00 w miejscu: **Kancelaria Syndyka.**

W pierwszej kolejności zostaną rozpoznane oferty na łączny zakup wszystkich ruchomości. W przypadku niedokonania wyboru oferty łącznej zostaną rozpoznane oferty na zakup poszczególnych ruchomości.

W przypadku równorzędnych najwyższych ofert zostanie przeprowadzona ustna aukcja bezpośrednio po rozpoznaniu ofert, w miejscu ich rozpoznania.

Pełne warunki sprzedaży oraz opinię o wartości ruchomości można uzyskać po przesłaniu zapytania na adres: **kancelaria@syndycy.eu**. Opinia o wartości zawiera szczegółowe informacje dotyczące poszczególnych ruchomości, w tym m.in. ich oznaczenia i numery identyfikacyjne, rok produkcji, opis wyposażenia, stan techniczny, stopień zużycia, dokumentację fotograficzną oraz przyjęty sposób określenia wartości. W temacie wiadomości należy obowiązkowo wpisać: **„AGRO-WAD Piotr Szlęzak – ruchomości"**.

Dodatkowych informacji dotyczących postępowania udzielają:

Syndyk masy upadłości dr Michał Błaszczyszyn – tel. 662 373 882

Pełnomocnik Syndyka Jakub Sitkiewicz – tel. 510 171 298

W sprawie wizji lokalnej ruchomości należy kontaktować się z:

Pełnomocnikiem Syndyka Edwardem Stolarczykiem – tel. 695 663 414

DROBNE

Nieruchomości

MIESZKANIA - KUPIĘ

KUPIĘ garaż, mieszkanie, tel. 504-358-452.

KUPIĘ każde, got. w 24 h, 500-002-486

Kupię mieszkanie zadłużone, z trudnym lokatorem, komornikiem, udziały. Gotówka, 883-402-202

MIESZKANIA - WYNAJMĘ

POSZUKUJĘ do wynajęcia mieszkania, pokoju tel. 504-358-452.

DOMY - KUPIĘ

DOM blisko Wrocławia 500-185-254.

Handlowe

MASZYNY URZĄDZENIA

KUPIMY maszyny do obróbki metalu i drewna. Tel.: 782-592-790.

Praca

ZATRUDNIĘ

Zatrudnię mgr farmacji na stanowisko KIEROWNIKA APTEKI w Kaliszu. Tel. 607 837 989, 602 302 351.

Usługi

AGD RTV FOTO

Domowa naprawa telewizorów LED, LCD; 71/351-60-02, 502-175-735.

BUDOWLANO-REMONTOWE

A-Z remonty. Tanio! 502-974-900.

ELEKTRYCZNE inst. Pomiary. 71/351-15-15, 603-867-128.

ELEKTRYCZNE Pogotowie 71/351-15-15, 603-867-128.

MALARZ, gładzie bezpył. 730-325-737

ROLETKI, żaluzje, moskitiery, okna, rolety, drzwi. Montaż, produkcja, naprawa, tel. 71/341-83-03.

INSTALACYJNE

ANTENA absolutnie profesjonalnie, tel. 603-867-128, 71/351-15-15.

Awarie - Hydraulik - 505-087-474.

Elektryk złota rączka 516-932-697

HYDRAULIK 24h, awarie 505-982-689.

Hydraulik natychmiast 500323373

PORZĄDKOWE

ZWALCZANIE pluskwy, 660-811-020.

PRZEPROWADZKI

TANIO 508-287-106, 71/784-55-63.

TRANSPORTOWE

WYWÓZ starych mebli, 660-811-020.

ZABEZPIECZAJĄCE

AWARIE zamków, montaż, serwis drzwi antywłam. 501-104-158.

INNE

KUCHNIE junkersy piece 609-528-079.

Turystyka

KRAJ - GÓRY

Beskidy, turnus 7dniowy od 1250zł. Ful opcja, cisza, spokój, natura, miodowyraj.pl 501642492.

Różne

DOBRAWRÓŻKA we Wrocławiu - tel. 724-558-986, www.wrozby.pop.pl

GOTÓWKA za KSIĄŻKI,, 668-571-329

Rolnicze

INNE

NAWOZY NPK, MG, S, N 6%, P 16%, K 28%, S 9%, MG 7% Cena 2.200 zł/tona, 500-669-621

Towarzyskie

WANDY, 505-353-547.

REKLAMA 0011598532

BURMISTRZ MIASTA CHOJNOWA

o g ł a s z a

1. pierwszy przetarg ustny nieograniczony na dzierżawę części nieruchomości o pow. 0,1000 ha, oznaczonej nr 265, położonej w obrębie 3 miasta Chojnowa, stanowiącej własność Gminy Miejskiej Chojnów, dla której Sąd Rejonowy w Złotoryi prowadzi księgę wieczystą Nr LE1Z/00013611/7, z przeznaczeniem na użytkowanie rolnicze.

Cena wywoławcza rocznego czynszu dzierżawnego: **120,00 zł.**

Wadium (w pieniądzu) w wysokości **24,00 zł**, należy wpłacić na konto **nr 13 8644 0000 0000 2121 2000 0130** Urząd Miejski w Chojnowie, pl. Zamkowy 1, 59-225 Chojnów, do dnia **13.11.2026 roku**. Datą dokonania wpłaty kwoty wadium jest data uznania rachunku bankowego Gminy.

Przetarg odbędzie się **w dniu 17 listopada 2026 r. o godz. 10^{00}** w sali nr 11 Urzędu Miejskiego w Chojnowie, pl. Zamkowy 1, 59-225 Chojnów.

2. pierwszy przetarg ustny nieograniczony na sprzedaż nieruchomości niezabudowanej o pow. 0,0548 ha, oznaczonej nr 327/11, położonej przy ul. Ogrodowej w obrębie 4 miasta Chojnowa, stanowiącej własność Gminy Miejskiej Chojnów, dla której Sąd Rejonowy w Złotoryi prowadzi księgę wieczystą nr LE1Z/00013611/7.

Cena wywoławcza nieruchomości: **127.000,00 zł**.

Wadium (w pieniądzu) w wysokości **25.400,00 zł**, należy wpłacić na konto **nr 13 8644 0000 0000 2121 2000 0130** Urząd Miejski w Chojnowie, pl. Zamkowy 1, 59-225 Chojnów, do dnia **16.11.2026 roku**. Datą dokonania wpłaty kwoty wadium jest data uznania rachunku bankowego Gminy.

Przetarg odbędzie się **w dniu 19 listopada 2026 r. o godz. 10^{00}** w sali nr 11 Urzędu Miejskiego w Chojnowie, pl. Zamkowy 1, 59-225 Chojnów.

Dodatkowe informacje można uzyskać w pok. nr 12 tut. Urzędu lub telefonicznie pod numerem 76 506 54 56. Ogłoszenia o przetargach dostępne są w Biuletynie Informacji Publicznej na stronie: http://bip.chojnow.net.pl/

AUTOREKLAMA

ibo TWOJE DOMOWE BIURO OGŁOSZEŃ

Ogłoszenia drobne
w Twojej gazecie
zlecisz
bez wychodzenia
z domu
przez Internetowe
Biuro Ogłoszeń

ibo.polskapress.pl

REKLAMA 0011459132

ZŁOMOWANIE POJAZDÓW
tel. 600 609 606

Wszystkie formalności załatwiamy na miejscu
Płatność gotówką od ręki
Wydajemy zaświadczenie o demontażu
Odbieramy własnym transportem

Stacja demontażu pojazdów | Czarkowo 16 | 64-125 Poniec

REKLAMA 0011598725

rudna łączy ludzi

WÓJT GMINY RUDNA

59-305 Rudna, Plac Zwycięstwa 15, woj. dolnośląskie

informuje o wywieszeniu w siedzibie Urzędu Gminy wykazu nieruchomości:

Nr 185/2026 z dnia 12 października 2026 r.

w sprawie ogłoszenia wykazu nieruchomości przeznaczonych do oddania w najem

Wykaz podlega wywieszeniu do dnia 6 listopada 2026 r.

REKLAMA 0111562220

FIRMA SPRZEDA budynek przemysłowy w Poznaniu przy ul. Malwowej 158.

Powierzchnia użytkowa budynku – 3202,80 m², powierzchnia gruntu – 0,8701 ha.

Tel. kontaktowy 603 920 399

eprasa.pl c1e91c68ff

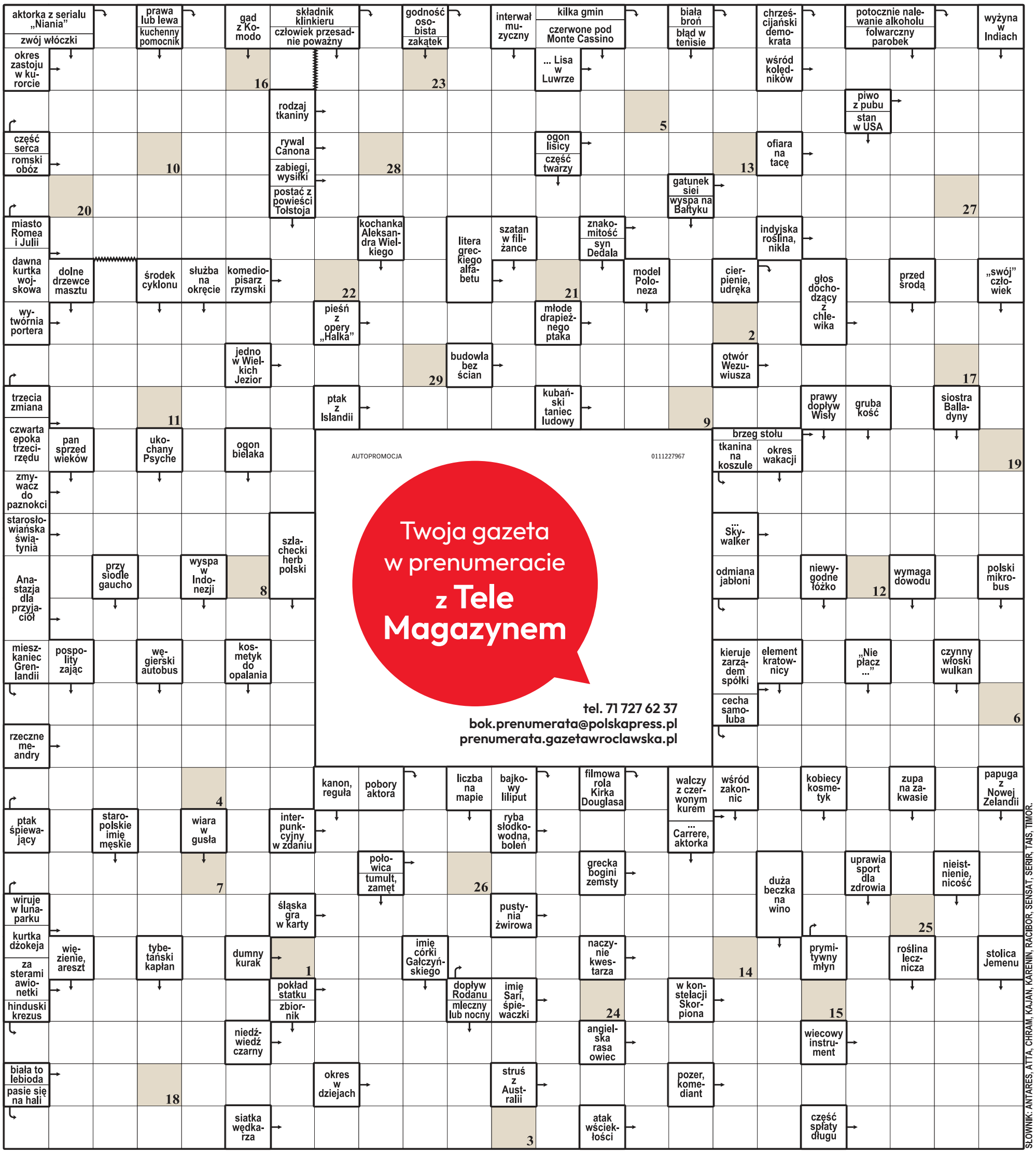

AUTOPROMOCJA 0111227967
Twoja gazeta w prenumeracie z Tele Magazynem
tel. 71 727 62 37
bok.prenumerata@polskapress.pl
prenumerata.gazetawroclawska.pl

Litery z pól ponumerowanych od 1 do 29 utworzą rozwiązanie: myśl Ralpha Waldo Emersona.

ROZWIĄZANIE: PIERWSZYM BOGACTWEM JEST ZDROWIE.

eprasa.pl c1e91c68ff

PIŁKA NOŻNA

Przy reprezentacji trzeba się uzbroić w cierpliwość

Tomasz Sokołowski z Legią Warszawa zdobył mistrzostwo Polski, Puchar Polski, Superpuchar i Puchar Ligi, zagrał też w Lidze Mistrzów. 12-krotny reprezentant kraju jest teraz trenerem personalnym i komentuje wydarzenia sportowe w radiu

Jaromir Kruk

Jakie wnioski można wyciągnąć po czterech spotkaniach kadry Polski Jana Urbana w Lidze Narodów?

Po odejściu kluczowych piłkarzy, takich jak Kamil Glik, Wojciech Szczęsny, Kamil Grosicki czy wcześniej Łukasz Piszczek i Kuba Błaszczykowski, na finiszu kariery Roberta Lewandowskiego, szukamy nowych piłkarzy, którzy będą w stanie wziąć na siebie odpowiedzialność za losy kadry. To jest taki okres, wyniki są na pewno poniżej oczekiwań, ale składa się na to szereg czynników. Nie wszyscy zawodnicy, z jakimi wiąże się duże oczekiwania, znajdują się w wysokiej formie. Nie odkryję Ameryki, jeśli powiem, że musimy się uzbroić w cierpliwość.

Nie szukamy kogoś, kogo nie ma?

Trzeba się przekonać po kilku spotkaniach, kto ile może dać kadrze, a kto do niej nie pasuje. Proszę spojrzeć na Sebastiana Szymańskiego – bardzo dobry zawodnik, ale nie zawsze gra na swoim najwyższym pułapie, co nie jest tylko zależne od niego. Trener Urban próbuje poukładać klocki i też da się zauważyć pozytywy. Kreujemy sporo sytuacji, niestety... nieskuteczność. W barażu o mundial przegraliśmy ze Szwedami 2:3 i ja nie mogę sięgnąć pamięcią do spotkania, gdy straciliśmy tyle goli i udało się go wygrać. Nie wyszedł nam też mecz z tym samym rywalem w Lidze Narodów – ponownie łatwo dawaliśmy sobie wbijać bramki.

FOT. PIOTR SMOLIŃSKI/POLSKA PRESSE

W reprezentacji Polski w latach 1994-1998 Tomasz Sokołowski rozegrał 12 meczów i strzelił jednego gola

Selekcjoner powinien podziękować Janowi Bednarkowi, z którego winy pada sporo goli dla przeciwników?

Duet Bednarek – Kiwior gra w FC Porto, mocnym klubie, a jak ktoś w piłce popełnia błędy, to inny musi je próbować naprawiać. Najłatwiej zrezygnować z zawodnika, a nas na to nie stać. Drużyna piłkarska jest niczym naczynia połączone, a jak już wspominałem, my cały czas szukamy po odejściu ważnych piłkarzy. Nie idzie nam w Lidze Narodów, ale ja wierzę, że w kadrze wreszcie zaskoczy, oby jak najszybciej. Wróćmy do kwestii nieskuteczności, bo przez to też przegrywaliśmy, nie tylko wskutek błędów obrońców.

Grałeś w reprezentacji Polski. Czy czegoś dziś zazdrościsz obecnym kadrowiczom?

To były inne czasy i trudno je porównywać. Nam zawsze starano się zapewniać jak najlepsze warunki do przygotowań do spotkań, trenowaliśmy w różnych miejscach na dobrych boiskach, choćby w Świerklańcu. Wtedy nie mieliśmy ośrodka z prawdziwego zdarzenia dla reprezentacji, teraz też nie mamy, ale są plany, między innymi w Karczewie pod Warszawą – to superlokalizacja. To kwestia czasu.

Czułeś – występując w reprezentacji Polski – większą presję?

Inaczej się gra w barwach narodowych niż w klubie. Wiesz, że liczy na ciebie wiele milionów ludzi, że mają nadzieje, oczekiwania. Presja zawsze była, w moim przypadku inna, bo przebiłem się do reprezentacji jako zawodnik z polskiego klubu, a dominowali piłkarze z lig zagranicznych. Trzeba było na każdym treningu pokazywać swoją wartość, udowadniać przydatność – szło mi chyba nieźle. Nie było mi dane awansować z kolegami do finałów wielkiej imprezy, ale swoją przygodę z drużyną narodową do dziś traktuje niczym nobilitację. Większego zaszczytu, prestiżu dla sportowca nie ma.

Teraz trudniej przebić się z ekstraklasy do reprezentacji Polski?

Kluby zagraniczne sprowadzają teraz z ekstraklasy zawodników 19-letnich, 20-letnich, nawet młodszych, gdy są jeszcze stosunkowo tani. Dla bogatych kontrahentów to nie jest tak wielkie ryzyko, a można jeszcze zarobić. W Górniku był Wiktor Nowak, w Jagiellonii Oskar Pietuszewski, Bartosz Mazurek, nie da się wręcz nie zauważyć tak zdolnych młodych piłkarzy. W młodzieżówce też gra wielu fajnych chłopaków, jedni jeszcze są w ekstraklasie, inni już w ligach zagranicznych. Często polskie kluby środki pozyskane ze sprzedaży rodzimych talentów inwestują w transfery coraz lepszych graczy zagranicznych – tak to funkcjonuje. Ekstraklasa się rozwija, widać to po europejskich pucharach, ale nie zawsze musi się to przekładać na powołania do reprezentacji Polski.

©℗

PIŁKA NOŻNA

Oskar Pietuszewski nowym rekordzistą w Lidze Mistrzów

Jakub Jabłoński

Oskar Pietuszewski dopisał sobie kolejne cenne osiągnięcie. Młody skrzydłowy FC Porto i reprezentacji Polski we wczorajszym meczu 2. kolejki z Realem Betis Sewilla stał się najmłodszym Polakiem, który zadebiutował w Lidze Mistrzów.

Czy jest coś, czego już teraz może pozazdrościć Robert Lewandowski Oskarowi Pietuszewskiemu? Kapitan reprezentacji Polski w wieku, w którym skrzydłowy FC Porto zadebiutował w Lidze Mistrzów, występował w drugoligowym Zniczu Pruszków, a następnie przeniósł się do Lecha Poznań, gdzie stawiał pierwsze kroki w polskiej ekstraklasie.

Pietuszewski zagrał w tych rozgrywkach, mając 18 lat, 4 miesiące i 24 dni. Polak wszedł na boisko w 59. minucie, kiedy jego zespół remisował. Ostatecznie mistrzowie Portugalii musieli wrócić ze stolicy Andaluzji na tarczy, mimo że chwilę po wejściu polskiego nastolatka objęli prowadzenie. Szybko okazało się ono ulotne, a o zwycięstwie Betisu na Estadio de la Cartuja przesądzili Cucho Hernandez oraz Isco, który ustalił wynik z rzutu karnego na chwilę przed końcem regulaminowego czasu gry.

Sam Oskar może mieć minimalne powody do zadowolenia. Został najmłodszym polskim debiutantem w Lidze Mistrzów, bijąc tym samym osiągnięcie Szymona Czyża. Obecnie kontuzjowany piłkarz Widzewa Łódź, który jeszcze kilka lat temu występował we włoskim Lazio i któremu wróżono wielką karierę, zadebiutował w tych rozgrywkach w wieku 19 lat, 3 miesięcy i 20 dni.

Trzecim najmłodszym Polakiem jest piłkarz Slavii Praga Oskar Kubiak, który wszedł z ławki w przegranym meczu z Sabahem Baku (0:2) i zaliczył swój drugi występ w tych rozgrywkach. Razem z nim po przerwie na boisku pojawił się jego rodak z czeskiej ekipy, 22-letni Wiktor Nowak. W barwach mistrza Azerbejdżanu pełne 90 minut na lewej obronie rozegrał Tymoteusz Puchacz. Wtorkowy wieczór źle wspominali Piotr Zieliński, którego Inter Mediolan przegrał z Club Brugge, oraz Michał Skóraś, który zameldował się na boisku w drugiej połowie meczu RC Lens ze Sportingiem Lizbona i musiał uznać wyższość rywali. Dzień później, poza Pietuszewskim, na środku obrony FC Porto zagrał Jakub Kiwior, a najwięcej powodów do zadowolenia miał Matty Cash. Jego Aston Villa wbiła aż sześć bramek Fenerbahce Stambuł.

eprasa.pl c1e91c68ff

SPORT

Wygrana Kobierek w Elblągu. KPR Kobierzyce w 6. kolejce Lotto Superligi Kobiet pokonał Energę Start Elbląg 36:29

PIŁKA NOŻNA

Śląsk Wrocław rozpoczyna egzamin dojrzałości

Piotr Janas

W sobotę znajdujący się w strefie spadkowej Śląsk Wrocław zagra na wyjeździe z Motorem Lublin. Dzień później do Lubina przyjedzie z kolei grająca w Lidze Europy Jagiellonia Białystok.

FOT. PAWEŁ RELIKOWSKI

Piotr Samiec-Talar (z lewej) wrócił do gry, ale z Lechem nie był jeszcze w takiej formie, jak przed kontuzją

Niełatwe zderzenie z ligową rzeczywistością zaliczyły dolnośląskie kluby po rekordowo długiej przerwie na mecze reprezentacji. Śląsk Wrocław zebrał srogie lanie od Lecha Poznań przed własną publicznością, a KGHM Zagłębie Lubin choć wygrywało z Cracovią 1:0, to ostatecznie wróciło z Krakowa na tarczy (1:3), choć mocno podopiecznym Leszka Ojrzyńskiego życie utrudniły koszmarne błędy sędziowskie.

W o wiele gorszym położeniu jest jednak Śląsk, który nie ma kogo obarczyć swoimi niepowodzeniami, a te zepchnęły beniamina z Wrocławia do strefy spadkowej. Patrząc w terminarz przed WKS-em prawdziwy egzamin dojrzałości, który podzielony będzie na cztery testy: pierwszy już w sobotę z Motorem w Lublinie, aktualnie plasującym się na 14. miejscu w tabeli, potem do Wrocławia przyjedzie 15. obecnie Wieczysta Kraków, wyjazd na mecz Radomiakiem (16.) oraz domowa potyczka z Piastem Gliwice. Jeśli „Wojskowi" nie zdobędą przynajmniej 8-9 punktów w tych spotkaniach, to z wielkim prawdopodobieństwem można powiedzieć, że kolejną przerwę na reprezentację mogą spędzić w strefie spadkowej, a to może być przyczynek do kolejnej rewolucji w klubie. Jak informowaliśmy na łamach „Gazety Wrocławskiej", wrocławski ratusz od dłuższego czasu sposobi się do takowej.

Mecz z Motorem to dla kibiców mecz przyjaźni, ale od jednego z nich usłyszeliśmy, że ten będzie „derbami kryzysu". Jedni i drudzy bardzo potrzebują punktów, więc o odpuszczaniu nie będzie mowy. Śląsk liczy na powrót do formy Piotra Samca-Talara, który zagrał już z Lechem przed tygodniem, ale nie był jeszcze w optymalnej dyspozycji.

Uczestnik Ligi Europy na KGHM Zagłębie Arena

Ewidentnie pokrzywdzone przez sędziów w ostatniej kolejce Zagłębie będzie musiało przekuć swoje niezadowolenie w sportową złość, bo faworytem w niedzielnym spotkaniu nie będzie. Do Lubina przyjedzie Jagiellonia Białystok, która jest w ogniu rywalizacji w fazie ligowej Ligi Europy i to ona będzie zdecydowanym faworytem. Pierwszy gwizdek w Lubinie wybrzmi o godz. 14:45.

11. KOLEJKA PKO EKSTRAKLASY

Dziś: Wieczysta Kraków - Raków Częstochowa (godz. 18, Canal+Sport 3), Widzew Łódź - Wisła Kraków (g. 20:30, Canal+Sport, Canal+Sport 3).
Jutro: Motor Lublin - Śląsk Wrocław (g. 14:45, Canal+Sport 3), GKS Katowice - Pogoń Szczecin (g. 17:30, Canal+Sport 3), Cracovia - Legia Warszawa (g. 20:15, Canal+Sport 3).
Niedziela: Górnik Zabrze - Piast Gliwice (g. 12:15, Canal+Sport 3), KGHM Zagłębie Lubin - Jagiellonia Białystok (g. 14:45, Canal+Sport 3), Lech Poznań - Korona Kielce (g. 17:30, Canal+Premium, Canal+Sport 3, TVP Sport).
Poniedziałek: Wisła Płock - Radomiak Radom (g. 19, Canal+Sport 3, Canal+Sport 5).

1.	Górnik Zabrze	10	25	19-9
2.	Lech Poznań	9	22	21-8
3.	Legia Warszawa	10	22	21-8
4.	Pogoń Szczecin	9	18	14-6
5.	GKS Katowice	10	18	22-15
6.	Wisła Kraków	10	17	17-14
7.	Piast Gliwice	10	16	18-16
8.	Korona Kielce	10	15	12-12
9.	KGHM Zagłębie Lubin	10	15	12-13
10.	Jagiellonia Białystok	9	12	13-16
11.	Cracovia	10	11	12-15
12.	Wisła Płock	9	11	9-15
13.	Widzew Łódź	10	9	14-15
14.	Motor Lublin	10	9	12-17
15.	Wieczysta Kraków	10	8	15-19
16.	Radomiak Radom	10	8	9-23
17.	Śląsk Wrocław	10	6	12-19
18.	Raków Częstochowa	10	3	13-25

KOSZYKÓWKA

Śląsk zagroził Napoli. Trener Danny Franco nie szuka wymówek

Dawid Foltyniewicz

Koszykarze Śląska Wrocław przegrali w Hali Orbita z Napoli Basketball 82:86, ale po spotkaniu z liderem grupy C EuroCupu więcej mówiło się o zmarnowanej szansie niż o różnicy klas. Włosi przyjechali z kompletem zwycięstw, ale do ostatnich sekund nie mogli być pewni kolejnej wygranej.

– Jesteśmy zawiedzeni po tym meczu, a to wiele mówi o naszym zespole – przyznał trener Śląska Danny Franco. Izraelczyk miał powody zarówno do satysfakcji, jak i irytacji. Wrocławianie potrafili narzucić rywalowi własne warunki, a na koniec trzeciej kwarty prowadzili 63:61. Gdy w ostatnich minutach tracili osiem punktów do Napoli, jeszcze raz poderwali do walki pełną kibiców Orbitę. Dwie trójki Isaiha Moore'a przywróciły nadzieję, lecz ostatni atak przy stanie 82:84 zakończył się stratą.

Do pomeczowych dyskusji trafiła również długa przerwa w czwartej kwarcie. Sztab Napoli zakwestionował wynik, wskazując, że Śląsk ma zapisane o dwa punkty za dużo. Po przedłużającej się weryfikacji zapis skorygowano. Franco nie ukrywał, że tak długie oczekiwanie nie służy rozgrzanym zawodnikom, ale nie próbował przedstawiać go jako przyczyny przegranej.

– Nie jesteśmy tu po to, żeby narzekać, tylko by wygrywać – podkreślał szkoleniowiec. Zwracał uwagę przede wszystkim na błędy w końcówce i mniej przechwytów niż zwykle. Rzeczywiście, poza stratami zabolała skuteczność z linii rzutów wolnych: Śląsk wykorzystał zaledwie osiem z piętnastu prób. Przy czteropunktowej różnicy miało to znaczenie. Pozytyw? Śląsk po raz pierwszy w sezonie wygrał walkę o zbiórki (34:31), choć dotąd był to jeden z jego problemów.

FOT. PAP/MACIEJ KULCZYŃSKI

Śląsk Wrocław po 3. kolejce BKT EuroCupu ma na koncie dwie porażki i wygraną. W najbliższą środę zagrają z NINERS Chemnitz

Na tle mocnego rywala świetnie wypadł Devin Robinson, autor 22 punktów. Isaih Moore dołożył 13. Trener gości Jasmin Repeša chwalił rozwój wrocławskiej drużyny, podkreślając jej atletyzm i talent. Jednocześnie ocenił, że Napoli zasłużyło na zwycięstwo dzięki lepszej grze po obu stronach parkietu w decydującej kwarcie.

BKT EUROCUP

Śląsk Wrocław - Napoli Basketball 82:86 (18:22, 19:18, 24:21, 21:25)
Śląsk: Robinson 22, Moore 13, Scruggs 10, Parsons 9, Hickey 7, Egbunu 6, Nizioł 6, Kulikowski 4, Sternicki 3, Luc 2, Wrzeszcz 0.
Napoli: Brown 15, Dowtin 14, White 11, Petrucelli 10, Caruso 8, Ramsey 7, Seljaas 6, Faggian 6, Spissu 5, Sankare 4, Tarczewski 0.

Tabela grupy C (mecze, wygrane, bilans punktów)

1. Napoli Basketball	3	3	+30
2. Tofas Bursa	3	3	+25
3. NINERS Chemnitz	3	2	+4
4. Budućnost Podgorica	3	1	+1
5. Neptunas Kłajpeda	3	1	-8
6. Śląsk Wrocław	3	1	-15
7. Dolomiti Energia Trento	3	1	-18
8. JL Bourg-en-Bresse	3	0	-19

eprasa.pl c1e91c68ff

Piątek
16.10.2026

| 6,50 ZŁ w tym 8% VAT

WYD. 6

Głogów

Gazeta WROCŁAWSKA

tygodnik
GŁOGOWSKI

www.glogow.naszemiasto.pl

Nr 42 (241)

FOT. GRAŻYNA SZYSZKA

EDUKACJA

ALICJA KARPOWICZ PROWADZI ART STUDIO, KTÓRE ROBI FURORĘ WŚRÓD UCZNIÓW

str. 4

PRAWO

Sąd: wybory w „Nadodrzu" są nieważne

Podczas wyborów rady nadzorczej część spółdzielców nie oddała prawidłowo głosu **str. 3**

Nr ISSN 2353-6152
Nr indeksu 350206

PRAWO

Policja zatrzymała ucznia z Głogowa. O karze dla niego zdecyduje sąd rodzinny **str. 4**

IMPREZA

Senioriada
Parada w Głogowie
str. 6

FOT. GRAŻYNA SZYSZKA

REKLAMA

0011464646

FONMED
APARATY SŁUCHOWE
DIAGNOSTYKA SŁUCHU DZIECKA
Kompleksowa
DIAGNOSTYKA SŁUCHU DZIECI:
- Videootoskopia
- Tympanometria
- otoemisja akustyczna
- ABR, ASSR
- Zaburzenia Przetwarzania Słuchowego

ZBADAJ SWÓJ SŁUCH I BEZPŁATNIE
przetestuj aparat słuchowy u siebie w domu
FONMED APARATY SŁUCHOWE od 1997

GŁOGÓW, ul. Kościuszki 15 F
(budynek przy wjeździe do szpitala po byłej aptece)
76 835 05 01, 888 748 707
www.fonmed.pl

TO JEST PRODUKT MEDYCZNY, UŻYWAJ GO ZGODNIE Z INSTRUKCJĄ I ETYKIETĄ

eprasa.pl c1e91c68ff

Janusz Michalczyk

Proboszcz ukochany, biskup sponiewierany, w parafii awantura

Ludzie wulgarnie krzyczeli do biskupa i szarpali go za ręce. Z opresji musiała go wybawić policja. To gwałtowna reakcja parafian na odwołanie proboszcza w Grojcu (Małopolska). Na początku nikt oficjalnie nie podał powodów odwołania, bo kościelne procedury okrywa tajemnica. Dziś wiadomo, że uwielbiany przez wiernych ksiądz Józef Zborek za nic miał przepisy i ograniczenia dotyczące intencji mszalnych, lekceważył kościelną rejonizację, czym pozbawił części dochodów okolicznych proboszczów. Czy można się dziwić, że zawiązali oni koalicję przeciwko niemu, a biskup Roman Pindel doprowadził do usunięcia krnąbrnego podwładnego?

Kościół ma problem z wiernymi, bo nie tłumaczy jasno powodów różnych decyzji, a to budzi irytację, która tu i ówdzie przechodzi we wściekłość. Paragrafy prawa kanonicznego to wygodna wymówka. Do biskupów z trudem dociera, że wymyślony przed wiekami model przestaje działać. Musieli być wstrząśnięci, jak potraktowano ich kolegę w Grojcu, ale przecież od lat mówi się o większej roli świeckich w procesach zarządzania parafiami i diecezjami. Jeśli decyzje personalne i finansowe nie będą z wiernymi konsultowane, to takie awantury mogą się powtarzać. Dla przykładu, na Dolnym Śląsku przeciwko odwołaniu proboszcza protestowali ostatnio parafianie w Krzeszowie, którym też nie wytłumaczono jasno przyczyny.

Władza, pieniądze i tajemnica. Wokół tych pojęć powinna się toczyć w episkopacie dyskusja, jeśli Kościół ma poradzić sobie z narastającymi napięciami. Bez jawności i przejrzystości biskupi nie zajadą daleko.

GŁOGÓW

Wpadli po włamaniu do samochodów

Dwie osoby podejrzane o kradzież z włamaniem zostały zatrzymane przez policjantów na jednym z parkingów na osiedlu Kopernik. Kiedy na miejscu pojawili się funkcjonariusze, 41-latek i 18-latka znajdowali się w samochodzie, do którego wcześniej się włamali. Podczas przeszukania pojazdu policjanci znaleźli torby pochodzące z innego samochodu. Zabezpieczyli również metamfetaminę. 41-latek usłyszał zarzuty kradzieży z włamaniem oraz usiłowania kradzieży z włamaniem. Obu czynów miał dopuścić się w warunkach recydywy. Młoda kobieta również usłyszała zarzuty kradzieży z włamaniem i jej usiłowania, a także posiadania substancji psychotropowej. Oboje zostali osadzeni w pomieszczeniu dla osób zatrzymanych. Za zarzucane im przestępstwa odpowiedzą przed sądem. Grozi im kara do 10 lat pozbawienia wolności.

SEL

Przeszkolą Was na wypadek kryzysu

Grażyna Szyszka
Głogów

W sobotę, 7 listopada, w Poradni Psychologiczno-Pedagogicznej przy ul. Folwarcznej 52 odbędzie się bezpłatne szkolenie dla mieszkańców Głogowa z zakresu przygotowania na sytuacje kryzysowe. Początek o godz. 10.

Warsztaty obejmą trzy zagadnienia: pierwszą pomoc, przygotowanie plecaka ewakuacyjnego oraz odporność psychiczną i radzenie sobie ze stresem.

Szkolenie poprowadzi Grupa 360 – grupa na rzecz kompleksowego przygotowania kryzysowego. W jej skład wchodzą: Aneta Szymańska-Jerka, ratowniczka KPP i instruktorka pierwszej pomocy, Adrian Jerka, instruktor survivalu, oraz Marzena Koperek-Wachowiak, psycholożka.

Liczba uczestników jest ograniczona do 30 osób, które zostaną podzielone na trzy grupy. Szkolenie będzie prowadzone w formule rotacyjnej. Uczestnicy wezmą udział w trzech panelach tematycznych: pierwszej pomocy, przygotowania plecaka ewakuacyjnego oraz odporności na stres.

Aby wziąć udział w szkoleniu, należy się zapisać za pośrednictwem formularza dostępnego w wydarzeniu na Facebooku lub telefonicznie pod numerem 509 627 900.

Projekt „GOTOWI – praktyczne przygotowanie mieszkańców Głogowa do sytuacji kryzysowych" realizowany jest w ramach Dolnośląskiego Funduszu Odporności 2026. Finansuje go Narodowy Instytut Wolności – Centrum Rozwoju Społeczeństwa Obywatelskiego ze środków Rządowego Programu Wsparcia Organizacji Pozarządowych „Moc Małych Społeczności".

FOT. PSP GŁOGÓW

GŁOGÓW

Strażacy złożyli ślubowanie

W Komendzie Powiatowej Państwowej Straży Pożarnej w Głogowie dwóch nowych funkcjonariuszy złożyło ślubowanie. Rotę ślubowania wypowiedzieli str. Paweł Żyliński oraz str. Mateusz Stolarski, którzy rozpoczęli służbę przygotowawczą w strukturach PSP.

Zobowiązali się do przestrzegania obowiązków wynikających ze służby.

Akt ślubowania przyjął komendant powiatowy PSP w Głogowie, st. bryg. Paweł Dziadosz.

Złożenie ślubowania to ważny moment w służbie każdego funkcjonariusza. Wiąże się m.in. z przyjęciem odpowiedzialności za ochronę życia, zdrowia i mienia oraz gotowością do niesienia pomocy drugiemu człowiekowi, także z narażeniem własnego życia. SEL

POŻAR SZKOŁY, AKCJA RATUNKOWA NA ODRZE I ZAGROŻENIE WYBUCHEM

FOT. DGL NEWS

To był scenariusz wielkich ćwiczeń służb, które przeprowadzono 10 października na Marinie oraz przy obiektach CERTUS-a na Ostrowie Tumskim w Głogowie. Wzięły w nich udział policja, straż pożarna, wojsko, Wojska Obrony Terytorialnej, ratownicy medyczni, ratownicy wodni, a także ochotnicze straże pożarne. Łącznie, wraz ze statystami, wśród których znaleźli się m.in. studenci PANS-u, w ćwiczeniach uczestniczyło około 200 osób. Przetestowano też sprzęt zakupiony ostatnio przez miasto. Grażyna Szyszka

tygodnik GŁOGOWSKI

REDAKCJA LOKALNA: Grażyna Szyszka, grazyna.szyszka@gazeta.wroc.pl, Mateusz Różański mateusz.rozanski@polskapress.pl
BIURO OGŁOSZEŃ: Aneta Siwiak, tel. 798 751 830, aneta.siwiak@polskapress.pl; PRENUMERATA: tel. 717 27 62 37; DRUK: Polska Press Oddział Poligrafia, 41-203 Sosnowiec Milowice, ul. Baczyńskiego 25a. WYDAWCA Polska Press Sp. z o.o. ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa, tel. 22 20 14 400, fax: 22 20 14 410. PREZES ZARZĄDU POLSKA PRESS GRUPY Robert Feluś. PREZES MAKROREGIONU Robert Glinkowski. PROJEKT GRAFICZNY Tomasz Bocheński.

POLSKA PRESS GRUPA

©℗ - umieszczenie takich dwóch znaków przy Artykule, w szczególności przy Aktualnym Artykule, oznacza możliwość jego dalszego rozpowszechniania tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem zamieszczonym na stronie www.polskatimes.pl/tresci i w zgodzie z postanowieniami niniejszego regulaminu.

eprasa.pl c1e91c68ff

PRAWO PRAWOMOCNY WYROK SĄDU APELACYJNEGO WE WROCŁAWIU

Wybory do Rady Nadzorczej SM „Nadodrze" nieważne

Grażyna Szyszka
Głogów

Tak 6 października zdecydował Sąd Apelacyjny we Wrocławiu, utrzymując w mocy wyrok Sądu Okręgowego w Legnicy z lutego tego roku.

FOT. GRAŻYNA SZYSZKA

Od połowy 2024 roku prezeską SM Nadodrze jest Beata Borzęcka

O wyroku poinformowała Spółdzielnia Mieszkaniowa „Nadodrze". W wydanym w tej sprawie oświadczeniu czytamy:

„Jak wynika z wygłoszonych przez Sąd Apelacyjny we Wrocławiu ustnych motywów rozstrzygnięcia, konieczność stwierdzenia nieważności uchwały Walnego Zgromadzenia podyktowana była tym, że część członków spółdzielni nie oddała głosu w sposób wprost wynikający z treści «Zasad wyboru członków Rady Nadzorczej Spółdzielni Mieszkaniowej NADODRZE w Głogowie», tj. nie oddała głosu poprzez osobiste umieszczenie karty wyborczej w przeznaczonej do tego urnie wyborczej w obecności członków Komisji Mandatowo-Skrutacyjnej, zaś Komisja Mandatowo-Skrutacyjna nie podjęła w dostatecznym zakresie czynności weryfikacyjnych".

Prawomocny wyrok sądu drugiej instancji zobowiązuje spółdzielnię do ponownego zwołania Walnego Zgromadzenia i podjęcia uchwały w sprawie wyboru członków Rady Nadzorczej.

Czy wcześniejsze decyzje spółdzielni pozostają ważne?

Zapytaliśmy zarząd SM „Nadodrze", czy w tej sytuacji dotychczasowe działania i decyzje spółdzielni zachowują swoją moc.

– Zgodnie z utrwalonymi regułami prawa cywilnego i spółdzielczego oraz zasadą ochrony pewności obrotu prawnego nadrzędnym celem pozostaje zapewnienie stabilności działania jednostki i ochrona interesów członków spółdzielni. Decyzje i działania realizowane na rzecz mieszkańców zachowują swoją moc i skuteczność w obrocie prawnym. Uchwały i decyzje podjęte przed wydaniem prawomocnego wyroku nie stają się automatycznie nieważne z tego powodu. Ich skuteczność i ważność wymagają oceny na podstawie obowiązujących przepisów, statutu spółdzielni oraz okoliczności podjęcia poszczególnych uchwał – odpowiedział zarząd.

Zapytaliśmy również, kiedy odbędą się ponowne wybory do Rady Nadzorczej.

– Kwestia terminu kolejnych wyborów zostanie rozstrzygnięta w oparciu o postanowienia statutu spółdzielni, z uwzględnieniem motywów rozstrzygnięcia sądu. O wszelkich planowanych działaniach i terminach poinformujemy członków spółdzielni niezwłocznie, zgodnie z zasadami wynikającymi z postępowania wewnątrzspółdzielczego – czytamy w odpowiedzi zarządu.

Kwestia terminu kolejnych wyborów zostanie rozstrzygnięta w oparciu o postanowienia statutu spółdzielni

Radę Nadzorczą SM „Nadodrze" wybrano w czerwcu 2025 roku

Przypomnijmy, że nową Radę Nadzorczą członkowie spółdzielni wybrali podczas Walnego Zgromadzenia w czerwcu 2025 roku. Wydarzenie przyciągnęło tłumy mieszkańców. W obradach uczestniczyło około tysiąca głogowian, a zakończyły się one dopiero następnego dnia nad ranem.

Spośród kandydatów wyłonionych wcześniej podczas zebrań osiedlowych wybrano wówczas 16-osobowy skład Rady Nadzorczej.

Uchwałę o wyborze członków Rady zaskarżyła do sądu osoba fizyczna. W lutym 2026 roku Sąd Okręgowy w Legnicy stwierdził jej nieważność. Orzeczenie to zostało następnie utrzymane w mocy przez Sąd Apelacyjny we Wrocławiu.

Czym zajmuje się Rada Nadzorcza?

Rada Nadzorcza pełni ważną funkcję w strukturze spółdzielni. Sprawuje nadzór i kontrolę nad jej działalnością, ocenia sprawozdania finansowe, a także podejmuje decyzje dotyczące zarządu.

Do głównych zadań Rady Nadzorczej SM „Nadodrze" należą:

- nadzór i kontrola; sprawowanie stałego nadzoru nad działalnością spółdzielni.
- decyzje kadrowe; powoływanie i odwoływanie członków zarządu, w tym prezesa i wiceprezesów, zgodnie z obowiązującymi przepisami i statutem.
- Finanse: ocena sprawozdań finansowych oraz wniosków zarządu dotyczących podziału zysku lub pokrycia straty.
- remonty i plany gospodarcze: zatwierdzanie planów gospodarczych i remontowych, obejmujących m.in. modernizację urządzeń technicznych i konserwację budynków.
- reprezentacja osiedli; reprezentowanie interesów członków spółdzielni z poszczególnych rejonów, w tym Śródmieścia, Hutnika, Chrobrego oraz Kopernika A, B i C.

KRÓTKO

RADWANICE

Obywatelskie zatrzymanie

Dzięki reakcji innego kierowcy udało się przerwać niebezpieczną jazdę 55-latka, który prowadził samochód pod wpływem alkoholu. Do zdarzenia doszło 11 października na DK12 w miejscowości Drożów (gm. Radwanice). Wcześniej, podczas jazdy drogą ekspresową S3, jego auto uderzyło w bariery energochłonne Przeprowadzone badanie trzeźwości wykazało blisko 2 promile alkoholu w organizmie.
SEL

GŁOGÓW

Atak na 16-letniego Ukraińca

W ostatnią sobotę w Głogowie doszło do groźnego incydentu z udziałem 16-letniego obywatela Ukrainy. Nastolatek został zaczepiony przez trzy osoby, a według wstępnych ustaleń jeden z mężczyzn miał zaatakować go ze względu na narodowość i użyć noża. Chłopak ma zraniony palec. Policja szuka uczestników tego zajścia.
RED

GŁOGÓW

Chcą być strażakami

W Komendzie Powiatowej Państwowej Straży Pożarnej w Głogowie trwa rekrutacja na jedno wolne stanowisko. Zainteresowanie jest duże, bo dokumenty złożyło 18 kandydatów. Po wstępnych, wieloetapowych sprawdzeniach w grze zostało pięć osób, które przejdą kolejne części postępowania. Finał naboru zależy m.in. od specjalistycznych badań lekarskich, a przyjęty kandydat ma trafić do służby najpewniej w grudniu tego roku. W głogowskiej straży pożarnej obsadzone są 62 etaty, a rekrutację prowadzi się, gdy pojawia się wakat. RED

GŁOGÓW

Potrącił pieszą i odjechał

Kobieta została potrącona w rejonie Ronda Górników w Głogowie i trafiła do szpitala, a prawdopodobny sprawca odjechał z miejsca zdarzenia. Do wypadku doszło w poniedziałek około godz. 13. Zdarzenie wyjaśniają funkcjonariusze policji.
RED

FOT. GDDKiA

RADWANICE

Ten mostek zostanie naprawiony

W związku z pogarszającym się stanem technicznym mostu na rzece Kłębanówka w Kłębanowicach (gm. Radwanice), w ciągu DK12, wprowadzono tymczasową organizację ruchu. Do końca października obowiązuje ograniczenie tonażowe do 30 t oraz ograniczenie prędkości do 30 km/h. Od poniedziałku, 2 listopada, most zostanie całkowicie zamknięty na czas remontu, który ma być zakończony do grudnia.
SEL

eprasa.pl c1e91c68ff

Art Studio robi furorę wśród uczniów

Grażyna Szyszka
Głogów

Rysunki, grafiki, rzeźby i kolorowe instalacje – w Art Studio w SP 2 wyobraźnia nie zna granic.

FOT. GRAŻYNA SZYSZKA

Alicja Karpowicz w trakcie zajęć z młodzieżą

W jednej z klas zamienionych w Art Studio na drugim piętrze Szkoły Podstawowej nr 2 powstają piękne prace. Można je podziwiać nie tylko w kolorowej pracowni, w której zgromadziła się już prawdziwa kolekcja, ale także na szkolnych korytarzach. Wyjątkowe rysunki, grafiki i rzeźby zdobią ściany, ciesząc oczy uczniów i rodziców.

Art Studio to jedyne miejsce w szkole, przed którym jeszcze przed dzwonkiem na lekcje ustawia się kolejka uczniów. Nic dziwnego! Podczas zajęć poznają nie tylko techniki plastyczne, ale także odkrywają talenty, o których wcześniej nie mieli pojęcia.

Wyobraźnię młodych Głogowian pobudza do działania Alicja Karpowicz, nauczycielka plastyki i techniki w SP 2. Pracuje w szkole od 32 lat, z czego od czterech w „dwójce". Wcześniej była związana ze Szkołą Podstawową nr 7.

– Dzieci poznają bardzo wiele dziedzin sztuk plastycznych, w tym malarstwo, rzeźbę i grafikę. Stawiam przede wszystkim na to, by wiedziały, że potrafią, i nie bały się próbować. Przyznam, że często słyszę od uczniów: „Nie umiem!". Jednak kiedy tylko przekonają się, że potrafią, chętnie podejmują różne działania, nawet te największe łobuzy – śmieje się nauczycielka.

Pracownia działa od blisko czterech lat. Udało się ją urządzić, ponieważ sala przeznaczona na zajęcia plastyczne jest jedną z większych w szkole. W galerii stoją między innymi spore figurki zwierząt wyklejone z papieru, domki, a nawet prace imitujące naczynia ze starożytnego Rzymu. Ściany zdobią ciekawe, kolorowe grafiki, rysunki i maski.

– W urządzaniu pracowni bardzo pomogła mi pani dyrektor szkoły Iwona Matujas, na którą zawsze mogę liczyć. Nie było problemu, gdy prosiłam choćby o dodatkowe regały do naszej galerii prac. Zresztą wspierają mnie tutaj wszyscy, całe nasze grono pedagogiczne. Miło jest, gdy inni chwalą nowe wystawki przygotowane przez dzieci – wyjaśnia Alicja Karpowicz.

Zajęcia w pracowni tak pochłaniają uczniów, że często nie chcą z niej wychodzić. Dlatego plan lekcji ułożono tak, by zajęcia z techniki i plastyki odbywały się w dwugodzinnych blokach.

Na jednym ze szkolnych korytarzy uwagę zwracają duże naczynia wzorowane na amforach. Dzieci wykonały je z plastikowych butelek, które okleiły papierem, taśmą, a następnie bandażem gipsowym. Niektóre naczynia pokryły gliną. Wszystkie zostały również pomalowane.

– Przy okazji przemycam im bardzo dużo wiadomości o prehistorii. Nie wiedzą, że się uczą, a uczą się – dodaje nauczycielka.

– To jest coś, czego nie robią w domu. Zaczęli też wierzyć we własne siły, a ich prace są widoczne, bo wystawiamy je poza klasą. Dzieci autentycznie się z tego cieszą. Zabierają swoje dzieła do domu, ale potrafią też obdarować nimi naszą panią szatniarkę. A robimy naprawdę dużo, bo projektujemy również domy, osiedla i pokoje – wylicza.

Alicja Karpowicz przyznaje, że w szkolnej pracowni powstają nie tylko oryginalne prace, ale także rozwijają się prawdziwe talenty.

– Mamy dużo zdolnych dzieci. Trzeba im tylko pozwolić odkrywać te talenty – podkreśla.

Będą pracownie do majsterkowania

Grażyna Szyszka
Głogów

Szkoły Podstawowe nr 3 i 13 otrzymały dofinansowanie na utworzenie pracowni praktyczno-technicznych. Zajęcia mają ruszyć na początku przyszłego roku.

Uczniowie dwóch głogowskich podstawówek będą mogli rozwijać swoje zdolności manualne i uczyć się praktycznych umiejętności. Zajęcia mają ruszyć na początku przyszłego roku.

Każda z placówek pozyskała 30 tys. zł z programu „Kompas Jutra". Pieniądze zostaną przeznaczone na przygotowanie sal i zakup wyposażenia, które pozwoli dzieciom stawiać pierwsze kroki w majsterkowaniu.

Promesy na realizację przedsięwzięcia odebrali dyrektorzy szkół: Ernest Kłósek i Magdalena Kłósek. Dofinansowanie przekazały wojewoda dolnośląska Anna Żabska oraz dolnośląska kurator oświaty Ewa Skrzywanek.

– Teraz możemy rozpocząć procedury i przygotować sale. Chcielibyśmy, aby pracownie ruszyły na początku przyszłego roku – zapowiada Ernest Kłósek.

Podczas zajęć uczniowie będą korzystać m.in. z zestawów majsterkowicza. Dzięki temu poznają podstawowe umiejętności techniczne i będą mogli zdobywać doświadczenie poprzez praktyczne działanie.

Inwestycję wesprze również samorząd Głogowa, który przekaże po 7,5 tys. zł na doposażenie każdej z pracowni.

– Powrót do zajęć praktyczno-technicznych to bardzo dobry pomysł, który całym sercem popieram. To nie tylko zdobywanie podstawowych umiejętności, które każdemu mogą się w życiu przydać, ale też rozbudzanie pomysłowości i kreatywności – mówi Rafael Rokaszewicz.

Policja zatrzymała ucznia z Głogowa. O karze zdecyduje sąd rodzinny

Grażyna Szyszka
Głogów

Po policyjnej akcji w szkołach na terenie całej Polski zatrzymano w sumie 70 osób.

Patrole pojawiły się w szkołach w związku z podejrzeniem ataków, które nazwano „krwawym piątkiem".

W powiecie głogowskim policjanci interweniowali dwa razy. W Szkole Podstawowej w Kotli 10-letni uczeń kierował wobec innych słowa, które wywołały u nich strach. Po rozmowach funkcjonariuszami 10-latek przyznał, że miał to być tylko żart.

-Chłopiec został przekazany opiekunom – informuje Natalia Szymańska, oficer prasowa KPP w Głogowie.

Tego samego dnia policja została wezwana do jednej z głogowskich podstawówek, gdzie zatrzymano 14-letniego ucznia. Utworzył on relację w sieci, kierując groźby pozbawienia życia wielu osobom w szkole. Nieletniego doprowadzono do jednostki policji i skontrolowano, nie ujawniając przy nim przedmiotów niebezpiecznych.

- Uczeń trafił do policyjnej izby dziecka – wyjaśnia policjantka. Dodaje, że o jego dalszych losach zdecyduje Sąd Rodzinny.

W poniedziałek w głogowskim ratuszu zwołano spotkanie profilaktyczne dyrektorów szkół z policjantami. Rozmowy dotyczyły aktualnych zagrożeń oraz sposobów reagowania na sytuacje, które mogą zagrażać bezpieczeństwu na terenie szkół.

Na terenie Dolnego Śląska podobnych interwencji było jeszcze kilka, m.in. w Legnicy Jaworze, Wrocławiu, Świdnicy i Kłodzku.

Patrole pojawiły się w szkołach w związku z podejrzeniem ataków, które nazwano w niektórych mediach „krwawym piątkiem"

Na przykład w Legnicy policjanci zatrzymali 16-latkę podejrzaną o umieszczenie informacji na grupowym komunikatorze w sieci, z treścią zawierającą groźby karalne. Nastolatka oświadczyła, że w ten sposób chciała zrobić żart.

W Jaworze zatrzymali 16-latka, ucznia liceum ogólnokształcącego, który na jednej z platform zamieścił wpis z informacją budzącą niepokój, bo powiadomił, że może zostanie nożownikiem. Niezbędne czynności zostały wykonane z jego udziałem i został przekazany pod opiekę matki.

We Wrocławiu kłopoty miał 16-latek, uczeń liceum ogólnokształcącego, który przerobił własne zdjęcie za pomocą AI i widać było, że trzyma w ręku nóż. Zdjęcie wysłał następnie komunikatorem kolegom, wzbudzając obawy pojawiającego się zagrożenia. Funkcjonariusze nie ujawnili przedmiotów niebezpiecznych, a uczeń stwierdził, że to był żart.

Z kolei w Świdnicy funkcjonariusze podejmowali czynności wobec 16-latka, członka zamkniętej grupy w sieci, na której przesyłał informacje dotyczące planowania zabójstwa wielu osób. W rozmowie nieletni stwierdził, że jego intencją było nastraszenie rówieśników z grupy. Trafił do policyjnej izby dziecka.

W Kłodzku zatrzymano 15-latka, ucznia jednej ze szkół podstawowych, który chwalił się rówieśnikom, że zamiast książek przyniesie do szkoły niebezpieczne przedmioty. Policjanci sprawdzili zawartość jego plecaka. Cała sytuacja okazała się fałszywym alarmem i nie stwierdzono żadnego zagrożenia.

Ten pozornie niewinny żart wywołał niepotrzebny niepokój i zostanie poddany ocenie przez sąd rodzinny tak, jak inne opisane wyżej przypadki.

eprasa.pl c1e91c68ff

FOT. PIOTR KRZYŻANOWSKI

Niektórzy radni byli zdania, że lepiej byłoby uporządkować ten teren i poprawić jego wygląd

Nowe rzeźby staną w głogowskiej fosie

Sandra Stempniewska
Głogów

Radni zdecydowali o przeznaczeniu 120 tys. zł na zakup rzeźb, które mają wzbogacić przestrzeń miejskiej fosy.

Głogowska fosa może wkrótce zmienić swój wygląd. Rada Miejska większością głosów zaakceptowała przeznaczenie 120 tys. zł na zakup prac autorstwa Janusza Owsianego. Zanim jednak zapadła decyzja, radni dyskutowali o tym, czy kolejne rzeźby rzeczywiście są obecnie potrzebne i jak wpiszą się w istniejącą przestrzeń.

Wątpliwości wobec proponowanego wydatku zgłosił między innymi radny Krzysztof Sarzyński. Nie kwestionował samego pomysłu umieszczania dzieł sztuki w przestrzeni publicznej, ale uważał, że miasto powinno zacząć od poprawy wyglądu i utrzymania otoczenia.

ego zdaniem dopiero po odpowiednim przygotowaniu terenu należałoby podejmować decyzje o wprowadzaniu kolejnych elementów artystycznych. Radny wskazywał więc przede wszystkim na kolejność realizacji poszczególnych działań.

Podobne zastrzeżenia, choć dotyczące innego aspektu przedsięwzięcia, przedstawiła Bożena Rudzińska. Radna zwróciła uwagę, że w fosie pojawia się coraz więcej różnorodnych obiektów, co może negatywnie wpływać na odbiór całej przestrzeni.

W jej ocenie dokładanie kolejnych elementów bez wyraźnie określonej koncepcji grozi powstaniem przypadkowej kompozycji, w której poszczególne obiekty nie będą tworzyły spójnej całości.

Inaczej na sprawę spojrzał przewodniczący Rady Miejskiej Sławomir Majewski. Opowiedział się za zakupem rzeźb, argumentując, że w Głogowie wciąż jest stosunkowo niewiele dzieł sztuki eksponowanych w przestrzeni miejskiej.

Zwrócił również uwagę na potrzebę wspierania artystów związanych z regionem. Według przewodniczącego duże, wykonane z piaskowca rzeźby mogłyby uatrakcyjnić fosę i nadać jej dodatkowy charakter.

Za realizacją przedsięwzięcia opowiedział się także prezydent Głogowa Rafael Rokaszewicz. Wyjaśnił, że koncepcja stworzenia w fosie galerii rzeźb nie jest nowa i była rozważana już wcześniej. Obecnie pojawiła się możliwość wprowadzenia tego pomysłu w życie.

Prezydent odniósł się również do proponowanej kwoty. W jego ocenie 120 tys. zł stanowi korzystną cenę, biorąc pod uwagę rozmiary rzeźb oraz materiał, z którego zostały wykonane.

Z informacji przedstawionych podczas sesji wynika, że za 120 tys. zł samorząd ma nabyć część prac Janusza Owsianego, natomiast pozostałe dzieła zostaną przekazane miastu. Łącznie w fosie mogłoby pojawić się około dziesięciu rzeźb.

Ostatecznie większość radnych poparła propozycję zakupu. Tym samym zaakceptowano przeznaczenie środków na przedsięwzięcie, które ma przybliżyć głogowską fosę do koncepcji galerii sztuki pod gołym niebem.

Radny upomniał się o skwer Andrzeja Kosmalskiego

Grażyna Szyszka
Głogów

Wiceprzewodniczący miejskiej rady Dariusz Czaja zwrócił uwagę na stan skweru imienia Andrzeja Kosmalskiego, znanego Głogowianina.

FOT GRAŻYNA SZYSZKA

Tak wygląda dziś skwer

Niewielki plac, znajdujący się w pobliżu jednego z banków, u zbiegu ulic Armii Krajowej i Obrońców Pokoju, jest miejscem symbolicznym. Upamiętnia działacza NSZZ „Solidarność" oraz polskie dążenia do pełnej niepodległości w okresie PRL-u.

– Znajdujący się tam głaz poświęcony jest ofiarom totalitaryzmu i stanu wojennego, a sam skwer powstał w sąsiedztwie budynku, który w czasach poprzedniego ustroju pełnił funkcję siedziby partii. Jest on w bardzo złym stanie technicznym i estetycznym – przypomina Dariusz Czaja w interpelacji złożonej pod koniec września. – Obecnie na terenie skweru znajdują się stare, powykrzywiane krawężniki oraz zniszczone płyty chodnikowe. Uszkodzona jest również nawierzchnia asfaltowa, a lampy i wszystkie kosze na śmieci w otoczeniu skweru są zniszczone.

Radny wymienia także zniszczone i zarośnięte chodniki oraz zaniedbaną zieleń. Nie najlepiej prezentują się również duże, betonowe i puste kwietniki.

– Całość nie przynosi temu miejscu chluby – podkreśla radny, który zaapelował do prezydenta miasta o zagospodarowanie tego terenu, odnowienie chodników i wykonanie nowych nasadzeń zieleni.

W odpowiedzi na sygnał radnego miasto zleciło pielęgnację zieleni na skwerze i odchwaszczenie chodników. Na razie to jednak wszystko.

– Z uwagi na ujęcie skweru w projekcie pn. „Ochrona i zachowanie różnorodności biologicznej oraz zielonej i niebieskiej infrastruktury w Gminie Miejskiej Głogów", który zakłada m.in. wykonanie nowych nawierzchni ciągów pieszych, montaż nowych ławek i koszy na śmieci oraz nasadzenia roślin, kompleksowe zagospodarowanie skweru zostanie zrealizowane w latach 2027–2028 – wyjaśnia prezydent miasta Rafael Rokaszewicz.

Na poprawę wyglądu tego miejsca trzeba więc jeszcze poczekać.

Skwer nosi imię Andrzeja Kosmalskiego od 2010 roku. Uroczyste odsłonięcie pamiątkowej tablicy odbyło się 31 sierpnia, w rocznicę podpisania Porozumień Sierpniowych.

Andrzej Kosmalski to działacz Solidarności, założyciel związku w Głogowie i w głogowskiej hucie. 13 grudnia 1981 roku został internowany, najpierw przebywał w zakładzie karnym w Głogowie, później w Grodkowie. Po wyjściu prowadził działalność podziemną. Po zwolnieniu 23 listopada 1982 podjął działalność podziemną, był wielokrotnie zatrzymywany, poddawany rewizjom, karany przez kolegia ds. wykroczeń. W czerwcu 1989 roku został posłem na Sejm kontraktowy. Po 1991 wycofał się z działalności politycznej. 18 grudnia 2007 prezydent Lech Kaczyński go odznaczył pośmiertnie Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski.

REKLAMA 0111532841

eprasa.pl c1e91c68ff

Prezydent Rafael Rokaszewicz przekazał w poniedziałek symboliczny klucz do bram miasta Elżbiecie Leszczyńskiej, przewodniczącej Głogowskiej Rady Seniorów. Przez Rynek przeszedł barwny korowód

Seniorzy przejęli klucz do bram Głogowa. Przed nami jeszcze huczna biesiada

Przedsiębiorcy oferowali seniorom zniżki na kawę, herbatę i słodkości

FOT. GRAŻYNA SZYSZKA

W sobotę czeka nas Biesiada Seniorów. W tym roku jej motywem przewodnim będzie Casino Royale

eprasa.pl c1e91c68ff

Ta działka na starówce przy sądzie wciąż na sprzedaż

Grażyna Szyszka
Głogów

Atrakcyjna działka na Starym Mieście w Głogowie wciąż czeka na nabywcę.

Choć jej lokalizacja jest wyjątkowa - tuż przy miejskiej fosie i sądzie - do kilku wcześniejszych przetargów nie zgłosił się żaden zainteresowany, który zdecydowałby się na zakup. Początkowo miasto wyceniło nieruchomość na milion złotych, ale z czasem obniżyło cenę.

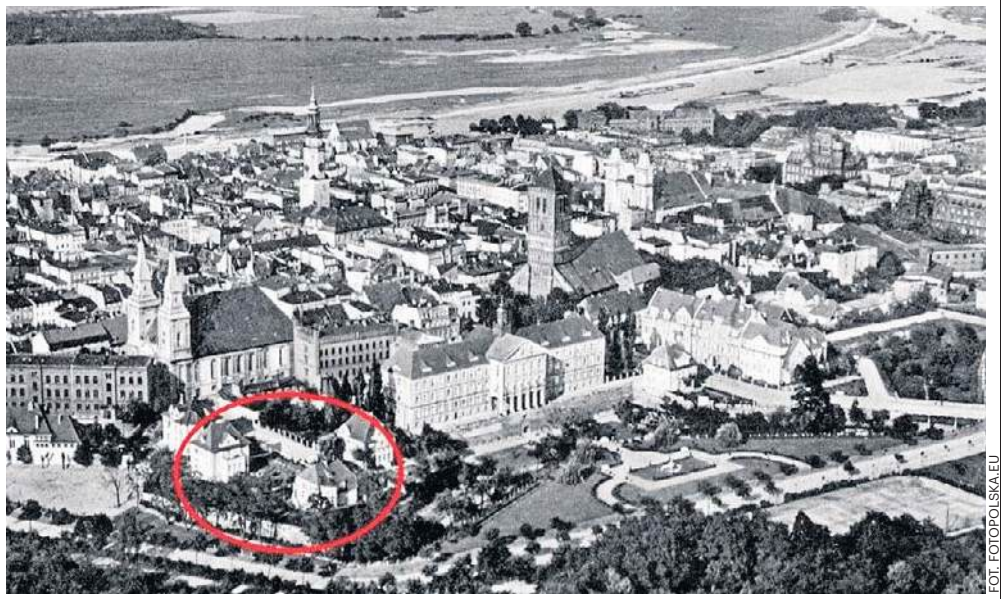
FOT. FOTOPOLSKA.EU

Przed wojną stała tam piękna willa (teren oznaczony czerwoną linią)

Działka w atrakcyjnej lokalizacji bez nabywcy

Nieruchomość położona jest przy ul. Kutrzeby, bezpośrednio przy fosie miejskiej, w sąsiedztwie Sądu Rejonowego w Głogowie. Ma powierzchnię niemal 20 arów, a miejscowy plan zagospodarowania przestrzennego przewiduje na tym terenie zabudowę mieszkaniową o niskiej intensywności, z możliwością prowadzenia usług.

Miasto wystawiło działkę na sprzedaż na początku 2025 roku. Cena wywoławcza wynosiła wówczas milion złotych. Do pierwszego przetargu zgłosiła się jedna osoba, jednak nie zaoferowała postąpienia ponad cenę wywoławczą, dlatego transakcja nie doszła do skutku.

Kilka miesięcy później, podczas drugiego przetargu, cenę obniżono o 50 tys. zł. To jednak nie wystarczyło, by znaleźć kupca. W kolejnym postępowaniu cena wywoławcza była niższa o 100 tys. zł od pierwotnej kwoty, ale również wtedy nieruchomość nie znalazła nabywcy.

FOT. GRAŻYNA SZYSZKA

Kolejną próbę sprzedaży miasto zaplanowało na grudzień. Cena wywoławcza ma wynieść 950 tys. zł

Kolejną próbę sprzedaży miasto zaplanowało na grudzień. Cena wywoławcza ma wynieść 950 tys. zł.

Fundamenty i piwnice budynku

Działka ma dokładnie 1935 mkw. Jest niezabudowana i niezagospodarowana, a w ewidencji gruntów została sklasyfikowana jako zurbanizowane tereny niezabudowane lub w trakcie zabudowy oraz tereny rekreacyjno-wypoczynkowe.

Teren porastają trawy, drzewa i krzewy. Ewentualna wycinka drzew będzie wymagała uzgodnień z Urzędem Miejskim w Głogowie.

Na nieruchomości znajdują się pozostałości dawnej zabudowy. Zagłębiona w ziemi konstrukcja to relikty fundamentów i piwnic przedwojennego budynku mieszkalnego.

Wzdłuż murów oporowych fosy miejskiej wyznaczono pas o szerokości 2,5 m i powierzchni 215 mkw. Obszar ten przeznaczono na cele rekreacyjno-wypoczynkowe. Obowiązuje tam zakaz zabudowy oraz nasadzania zieleni średniej i wysokiej.

FOT. SŁAWA

Obecnie prowadzone są prace związane z układaniem kolejnych warstw podłoża

Przy jeziorze budują nową trasę rowerową

Grażyna Szyszka
Sława

Jezioro Sławskie to atrakcyjne miejsce nie tylko na wakacyjny wypoczynek nad wodą, ale też na aktywne spędzanie czasu.

Miłośników rowerowych wypraw ucieszy fakt, że na odcinku Radzyń–Józefów trwa budowa nowej ścieżki rowerowej. Zadanie o nazwie „System szlaków rowerowych łączących Gminę Sława z Gminą Nowa Sól oraz Gminą Kolsko (etap I) jest współfinansowane w ramach programu Fundusze Europejskie dla Lubuskiego 2021–2027.

Powstanie łącznie 7,03 km nowoczesnych szlaków rowerowych na odcinkach Radzyń-Józefów (5,5 km) oraz Dąb-Gola (1,54 km). Obecnie prowadzone są prace związane z układaniem kolejnych warstw podłoża w miejscu, w którym wcześniej wykonano korytowanie.

Inwestycja obejmuje również budowę 45-metrowej kładki pieszo-rowerowej, montaż licznika rowerowego zasilanego energią słoneczną, Miejsc Obsługi Rowerzystów, a także oznakowanie, elementów bezpieczeństwa i tablic edukacyjnych.

Trasy zapewnią bezpieczne połączenie atrakcji turystycznych wokół Jeziora Sławskiego, w tym wieży widokowej „Joanna" i punktu „Ptasi Raj".

Wartość projektu to blisko 4 mln zł, z czego 3,3 mln zł pochodzi z funduszy europejskich.

REKLAMA 0011459123

Stacja demontażu pojazdów | Czarkowo 16 | 64-125 Poniec

REKLAMA 0011598725

rudna łączy ludzi

WÓJT GMINY RUDNA

59-305 Rudna, Plac Zwycięstwa 15, woj. dolnośląskie

informuje o wywieszeniu w siedzibie Urzędu Gminy wykazu nieruchomości:

Nr 185/2026 z dnia 12 października 2026 r.

w sprawie ogłoszenia wykazu nieruchomości przeznaczonych do oddania w najem

Wykaz podlega wywieszeniu do dnia 6 listopada 2026 r.

REKLAMA 0011597936

OGŁOSZENIE O SPRZEDAŻY NIERUCHOMOŚCI

Syndyk masy upadłości **MIGA GARDEN SYSTEMS sp. z o.o.** ogłasza **IV postępowanie na sprzedaż z wolnej ręki nieruchomości** objętej księgą wieczystą **LE1G/00050527/6** - prawo użytkowania wieczystego zabudowanych działek gruntu nr **15/1 i 15/2** o łącznej powierzchni **0,0738 ha**, wraz z prawem własności posadowionego na nich budynku, położonej w miejscowości **Głogówko 55A**. **Cena minimalna: 464.400,00 zł netto.**

Termin składania ofert oraz wpłaty wadium: 10 listopada 2026 r. Wadium: 46.440,00 zł. Rozpoznanie ofert: 18 listopada 2026 r., godz. 11:00.

W przypadku ofert równorzędnych możliwe jest przeprowadzenie aukcji w dniu **18 listopada 2026 r. o godz. 11:30**.

Wszelkich informacji dotyczących warunków sprzedaży udzielają: Syndyk masy upadłości dr Michał Błaszczyszyn - tel. **662 373 882, Pełnomocnik Syndyka Jakub Sitkiewicz -** tel. **510 171 298,** e-mail: **kancelaria@syndycy.eu**

Wszystkie szczegółowe pytania dotyczące nieruchomości, warunków sprzedaży oraz postępowania należy kierować pocztą elektroniczną na adres kancelaria@syndycy.eu, z odpowiednim tytułem wiadomości: „Miga Garden Systems Sp. z o.o.".

Wizję lokalną nieruchomości umożliwia Edward Stolarczyk, tel. 695 663 414

REKLAMA 0011597991

OGŁOSZENIE
sprzedaż z wolnej ręki ruchomości
MIGA GARDEN SYSTEMS Sp. z o.o. w upadłości

Syndyk masy upadłości ogłasza IV postępowanie ofertowe na łączną sprzedaż ruchomości związanych z obróbką drewna oraz pozostałego wyposażenia warsztatowego, magazynowego i biurowego.

Przedmiot sprzedaży obejmuje w szczególności maszyny i urządzenia do obróbki drewna, a także autoklaw VYVOS spol. s r.o., rok produkcji 2003, o wymiarach 2,7 × 15 m, pojemności 40 m³ i ciśnieniu UDT 40 atm.

Cena minimalna: 111.260,02 zł netto. Wadium: 11.126,00 zł, płatne do 10 listopada 2026 r.

Oferty pisemne należy składać do 10 listopada 2026 r. na adres: **Kancelaria Syndyka dr Michał Błaszczyszyn, skrytka pocztowa 102, 53-350 Wrocław 15,** z dopiskiem: **„Postępowanie na sprzedaż ruchomości Miga Garden Systems Sp. z o.o. – nie otwierać".**

Rozpoznanie ofert: 18 listopada 2026 r., godz. 10:00, Kancelaria Syndyka. W przypadku równorzędnych ofert aukcja ustna odbędzie się o godz. 10:30.

Pełne warunki sprzedaży i wykaz ruchomości: po zapytaniu na: kancelaria@syndycy.eu – z dopiskiem: Miga Garden Systems Sp. z o.o. – ruchomości".

Informacje: Michał Błaszczyszyn, tel. 662 373 882; Jakub Sitkiewicz, tel. 510 171 298; Wizja lokalna: Edward Stolarczyk, tel. 695 663 414.

eprasa.pl c1e91c68ff

Nauczyciele odebrali 14 października nagrody i wyróżnienia przyznane przez prezydenta miasta Rafaela Rokaszewicza. Trafiły one do 42 osób

Głogowscy nauczyciele odebrali nagrody i wyróżnienia z okazji swojego święta

Grażyna Szyszka
Głogów

W środę, 13 października, w Miejskim Ośrodku Kultury w Głogowie nauczyciele odebrali nagrody i wyróżnienia przyznane przez prezydenta miasta.

– Mam przed sobą ludzi, którzy mają chyba nadprzyrodzone zdolności, bo oprócz tego, że jesteście nauczycielami i pracownikami placówek oświatowych, jesteście też obserwatorami, detektywami, psychologami – powiedział prezydent Głogowa Rafael Rokaszewicz.

Po czym prezydent miasta kontynuował: - Wspieracie, pomagacie i oczywiście uczycie. Dziękuję wam za to, że wybraliście ten zawód i że możemy wam powierzyć nasze dzieci.

Następnie prezydent Rafael Rokaszewicz życzył energii i siły w codziennej pracy wszystkim pedagogom zgromadzonym w środę w Miejskim Ośrodku Kultury w Głogowie.

Dodajmy, że Medalem za Zasługi dla Rozwoju Oświaty Miasta Głogowa uhonorowano nie tylko nauczycieli, ale również osoby zaangażowane w rozwój lokalnej oświaty.

Wśród wyróżnionych w ten sposób znaleźli się czynni zawodowo i emerytowani nauczyciele, działacze społeczni oraz osoby szczególnie zasłużone w działalności organizacyjnej.

W tym roku Nagrodę Ministra Edukacji za osiągnięcia w pracy odebrała Urszula Rybakowska-Olszak, dyrektor Przedszkola Publicznego nr 17.

Wręczono również Nagrody Prezydenta Miasta Głogowa, które trafiły do 42 osób.

Uroczystą galę rozpoczął występ artystyczny przygotowany przez uczniów Szkoły Podstawowej nr 2. Zwieńczeniem wydarzenia był koncert Wind Cameral Orchestra.

Medalem za Zasługi dla Rozwoju Oświaty Miasta Głogowa uhonorowano nie tylko nauczycieli

FOT. GRAŻYNA SZYSZKA

Prezydent Rafael Rokaszewicz życzył pedagogom energii i siły w codziennej pracy

eprasa.pl c1e91c68ff

Fotograficzny przegląd tygodnia

Maciej Berek złożył ślubowanie na sędziego Trybunału Konstytucyjnego w obecności marszałków Sejmu i Senatu

Huti z Jemenu ostrzelali główne lotnisko w Rijadzie, stolicy Arabii Saudyjskiej

FOT. PAP/EPA/ARCHIWUM PP

Najsłynniejszy piłkarz świata Lionel Messi kupił luksusowy katamaran w polskiej stoczni

AUTOPROMOCJA

ibo TWOJE DOMOWE BIURO OGŁOSZEŃ

Ogłoszenia drobne
w Twojej gazecie przez
Internetowe Biuro Ogłoszeń.
Bez wychodzenia z domu.

ibo.polskapress.pl

PLOTKI

Magdalena Narożna

Łapie słońce

Gwiazda disco-polo niedawno wzięła ślub z przyjacielem ze szkolnych lat – Krzysztofem Romaniukiem. Teraz para świeżo upieczonych małżonków wybrała się w podróż poślubną. Zakochani zameldowali się w luksusowym resorcie w Turcji, czym oczywiście nie omieszkali pochwalić się w social mediach. Na instagramowym profilu artystki zaroiło się od romantycznych ujęć: widzimy małżonków przytulających się w hotelowej altanie, Narożną prężącą opalone ciało w bikini w kropki nad basenem oraz wieczorne randki przy suto zastawionym stole.

Izabela Janachowska

Zebrała gratulacje

Celebrytka poinformowała w swych social mediach, że urodziła drugiego synka. Na jej Instagramie pojawiła się seria zdjęć prosto ze szpitalnej sali, które opatrzyła podpisem: „Pierwsze chwile razem. Chcę je zapamiętać na zawsze". Na fotografiach widać intymne chwile z życia świeżo upieczonych rodziców – uśmiechniętą mamę z wenflonem na dłoni, tatę czule trzymającego maluszka za paluszek oraz dumnego starszego brata, który ostrożnie tuli braciszka zawiniętego w błękitny rożek. Nie zabrakło również kwiatów – mąż wręczył żonie bukiet czerwonych róż, a syn mamie niebieską wiązankę. Pod wpisem lawina gratulacji od internautów i znajomych z show-biznesu.

Maja Bohosiewicz

Wykoleja się

Kiedyś chciała być aktorką, ale z czasem zamieniła się w internetową influencerkę. Aby przykuć uwagę fanów, nieustannie podróżuje po świecie. Teraz okazuje się, że dało jej to w kość. Po powrocie z Hiszpanii wrzuciła do internetu gorzki wpis, w którym narzeka na nadmiar wrażeń. „Jestem zwyczajnie zmęczona, przebodźcowana, ilość rzeczy, które się dzieją zawodowo, jest dla mnie nie do ogarnięcia, zaczynam się wykolejać na najprostszych rzeczach. Jak słyszę zdanie: »Musisz zdecydować, musisz zaakceptować, musisz«, to czuję taki ścisk w żołądku, który podchodzi mi aż do krtani" - napisała.

FOT. ELQ S.A. / PROMET-PLAST

Wysokie wieże do magazynowania zielonej energii

Dwie wieże o wysokości 212 m, które będą magazynami energii uzyskiwanej z wiatru i słońca, oraz fabryka wodoru. W Gaju Oławskim pod Wrocławiem powstaje kompleks energetyczny za blisko 447 mln zł. Inwestorem jest polska firma rodzinna Promet-Plast. RED

INFORMATOR: TELEFONY, MAILE

KOMENDA POWIATOWA POLICJI - OFICER DYŻURNY
tel. 47 8742200
lub 47 8742201

KOMENDA POWIATOWA STRAŻY POŻARNEJ
tel. (76) 8357714, email
kpglogow@kwpsp.wroc.pl

GŁOGOWSKI SZPITAL POWIATOWY
tel. (76) 8373211, email
sekretariat@szpital.glogow.pl

POWIATOWA STACJA SANITARNO-EPIDEMIOLOGICZNA
tel. (76) 7272594, email
psse.glogow@pis.gov.pl

POWIATOWY LEKARZ WETERYNARII
tel. (76) 7276590,
email
glogow@wroc.wiw.gov.pl

URZĄD MIEJSKI W GŁOGOWIE
tel. (76) 7265400, email
sekretariat@glogow.um.gov.pl

STAROSTWO POWIATOWE W GŁOGOWIE
tel. (76) 7282800, email
starostwo@powiat.glogow.pl

URZĄD GMINY KOTLA
tel. (76) 8318361, email
gmina@kotla.pl

URZĄD GMINY GŁOGÓW
tel. (76) 8365555, email
gmina@gminaglogow.pl

URZĄD GMINY GRĘBOCICE
tel. (76) 8325300, email
sekretariat@greboci-ce.com.pl

URZĄD GMINY PĘCŁAW
tel. (76) 8317126, email
gmina@peclaw.eu

URZĄD GMINY GAWORZYCE
tel. (76) 8316285, email
ug@gaworzyce.com.pl

URZĄD GMINY ŻUKOWICE
tel. (76) 8314241 , email
gmina@zukowice.pl

URZĄD GMINY RADWANICE
tel. (76) 8311478 , email
sekretariat@radwanice.pl

URZĄD GMINY JERZMANOWA
tel. (76) 8312121, email
sekreteriat@jerzmanowa.com.pl

POGOTOWIE GAZOWE
tel. 992

POGOTOWIE CIEPŁOWNICZE
tel. 993, (76) 8568200

POGOTOWIE WODOCIĄGOWE
tel. (76) 8342131

POGOTOWIE AWARYJNE
tel. 994

URZĄD SKARBOWY
tel. (76) 7272400

SPÓŁDZIELNIA MIESZKANIOWA „NADODRZE"
tel. (76) 8520700, email
sekretariat@smnadodrze.pl

ZAKŁAD GOSPODARKI MIESZKANIOWEJ
tel. (76) 8531102, email
sekretariat@zgm.glogow.pl

HUMOR

Gość do kelnera:
- Chciałbym postawić coś tej ślicznej blondynce przy barze. Co pije?
- Proszę pana, ta pani pije wyśmienitą 36-letnią whisky single malt.
- O! To proszę jej dodać dwie kostki lodu ode mnie.

Sędzia do oskarżonego:
- Czy przyznaje się pan do winy?
- Nie, wysoki sądzie. Mowa mego obrońcy i zeznania świadków przekonały mnie, że jestem jednak niewinny!

Narzeczony do swojej wybranki:
- Zarabiam pięć tysięcy miesięcznie, będziesz umiała za to wyżyć?
- Ja tak, ale Ty z czego będziesz żył?

eprasa.pl c1e91c68ff

NAUKA I TECHNIKA

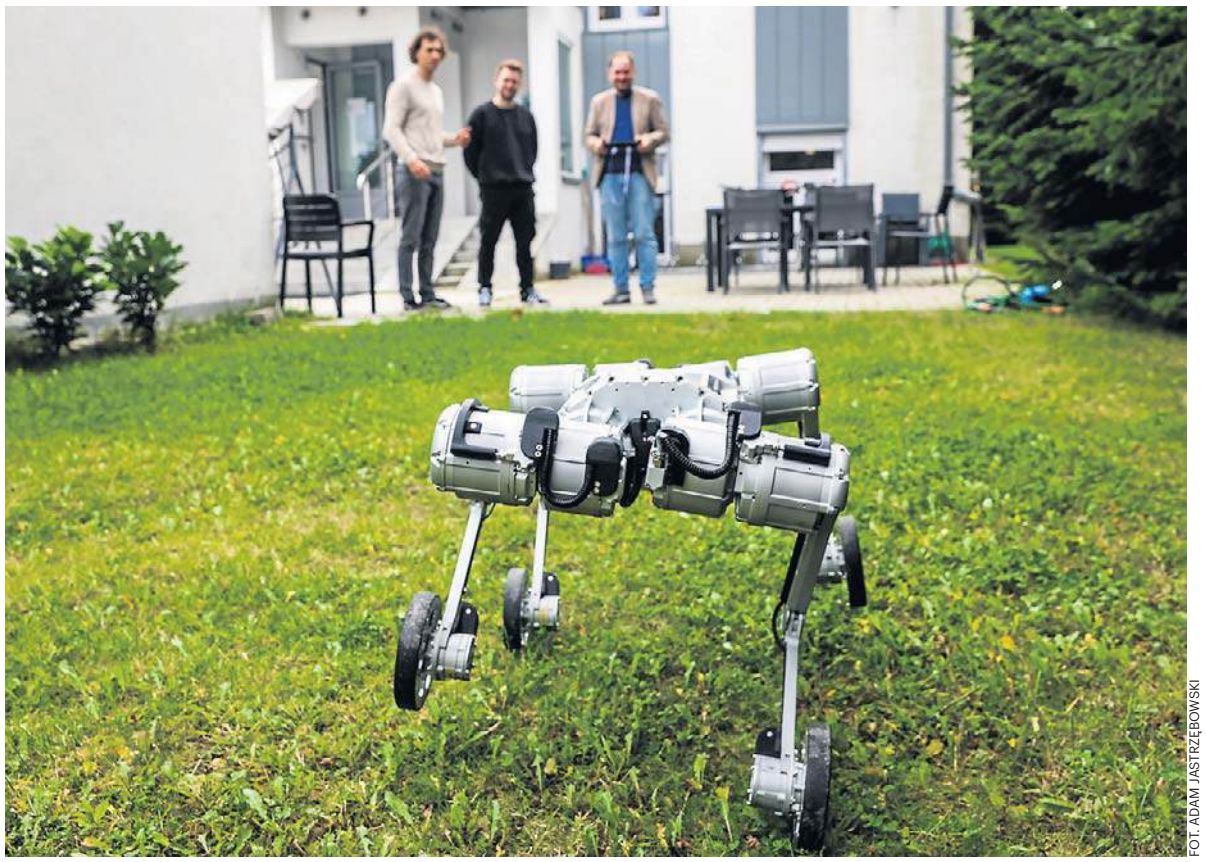

FOT. ADAM JASTRZĘBOWSKI

Nie udało się w Polsce, udało w Wielkiej Brytanii. Ten robot z Poznania będzie pracował w Birmingham

Po Cytadeli hasają mechaniczne „psy”

Globalny przepis na sukces: zdolni studenci zafascynowani nowymi technologiami wraz z uczelnią zakładają firmę i w oparciu o infrastrukturę badawczą oraz solidne fundamenty finansowe osiągają sukces. Powstaniu MAB Robotics towarzyszyła ta sama idea.

Szymon Paź

– W 2015-16 r. byliśmy studentami koła naukowego i zainteresowaliśmy się robotami kroczącymi. Pierwsze zaczęliśmy tworzyć w 2016 r., w latach 2017-18 pracowaliśmy z Politechniką Poznańską nad komercjalizacją, a w 2019 r. założyliśmy firmę – opowiada Jakub Bartoszek, współzałożyciel, a dziś prezes firmy. Problem polegał na tym, że spin-off (takiej nazwy używa się dla firm zrodzonych na uczelniach i przez nie dofinansowanych) się... udał.

– Okazało się, że to jest ogromny problem biurokratyczny, trudny do przejścia. Uczelnia wycofała się z firmy, a jej wkład finansowy musieliśmy spłacić. To ogólny problem przystosowania naszego systemu prawnego. Oraz pewnie tego, że ktoś musiałby wziąć za to odpowiedzialność – opowiada.

Poznaniacy mieli już wówczas na swoim koncie sukcesy. Dzięki inwestorom zewnętrznym i niewielkim grantom z Narodowego Centrum Badań i Rozwoju udało się przygotować kolejne modele robotów. W sumie pozyskano około 250 tys. euro, dla porównania – jak mówi Bartoszek – Chiny przeznaczają na firmy z tego sektora miliardy dolarów rocznie.

– Chcieliśmy wówczas budować roboty kroczące. Spotkaliśmy się z kilkoma firmami, między innymi z poznańskimi Aquanetem i Veolią. Te firmy mają sieci podziemne pod ulicami naszego miasta, tysiące kilometrów, trzeba je co jakiś czas kontrolować, sprawdzić stan infrastruktury, dzięki czemu można wykonać prace naprawcze zanim dojdzie do awarii, rozszczelnienia, wycieku itd. Do części z z tych kanałów człowiek nie wejdzie. Mogłyby to zrobić roboty kroczące i te badania przeprowadzić.

Czemu akurat kroczące? Jak tłumaczy Bartoszek: lepiej niż inne, np. kołowe, radzą sobie ze wszystkimi przeszkodami, które trzeba „przekroczyć” – stopniami, uskokami itp., ale też poruszaniem się w brei, która może zalegać na dnie kanału. Szef firmy przyznaje – to nisza; gdy zaczynali – ogromna. W Europie mają dwóch liczących się konkurentów. Ale w Chinach 50, którzy sprzedają takich robotów dziesiątki tysięcy.

Ze współpracy z miejskimi spółkami niewiele wyszło. Roboty wykonały testowo swoją pracę, ale innych wymagań spółek firma nie była wówczas w stanie spełnić. To, co nie udało się w Poznaniu, będzie możliwe m.in. w Wielkiej Brytanii. Zamówiony przez Anglików robot inspekcyjny jest dodatkowo wyposażony w koła dla szybszego poruszania w równym terenie. Koszt? 38 tysięcy funtów. Testy odbywały się m.in. na Cytadeli w Poznaniu, tużobok siedziby firmy.

„Mamy kompletne know-how”

O ile w przypadku robotów kroczących MAB odniósł na razie umiarkowany sukces – choć miejsce na liście 50 najbardziej innowacyjnych firm robotycznych na świecie w 2024 r. serwisu The Robot Report zasługuje na uwagę i pochwały – to firma radzi sobie bardzo dobrze. Kluczem okazały się opracowane przez Poznaniaków układy napędu i sterowania oraz projekty na specjalne zamówienia.

– Bazując na naszych napędach, niczym na klockach, możemy np. zbudować ramię robotyczne. Zbudowaliśmy takie wspólnie m.in. z Politechniką na specjalne zamówienie na plantację konopi – ultralekkie i bardzo długie ramię porusza się na specjalnej platformie, skanuje rośliny i eliminuje te niepożądane. Dzięki temu, że wszystko do naszych robotów opracowaliśmy sami, mamy kompletne know-how robotyczne, które pozwala na szybkie opracowanie rozwiązań potrzebnych innym firmom.

Hitem i przełomem okazał się sterownik silnika elektrycznego. Dziś Poznaniacy sprzedają tysiące sztuk rocznie. Zakupiło je blisko 400 podmiotów z ponad 40 krajów na całym świecie – od start-upów budujących nowe produkty, przez uczelnie i jednostki badawcze, po działy rozwoju największych firm robotycznych na świecie. MAB Robotics oferuje je w wielu wersjach, od małych, po duże, dla różnych silników elektrycznych. I są bardzo uniwersalne, czyli pasują do wielu zastosowań. – Nie wszystkie są używane w dużej skali – w naszym sektorze rozwój produktu od prototypu do wdrożenia zajmuje czasem i 5 lat. Więc jeśli ktoś od nas kupi sterownik do pierwszego prototypu, zanim uruchomi produkcję, mija dużo czasu. Ale sprzedaliśmy tego tysiące, a robotów – 10.

Rolnictwo i bezpieczeństwo

Co się dzieje, ze sterownikami poznańskiej firmy? – Dwa lata temu 50 proc. naszej sprzedaży szło do rolnictwa – mówi Bartoszek. Zaskakujące?

Od kilku lat rolnictwo intensywnie się robotyzuje, m.in. w Ukrainie, szczególnie na obszarach z dala od frontu. Prace na polach wykonywane są automatycznie. Przez ciągniki rolnicze po specjalne, często nieduże maszyny do mniejszych prac – zwalczania chwastów (np. pielenia) czy zbierania określonego rodzaju plonu. Podobnie dzieje się w USA czy Azji – autonomiczne drony używane są m.in. do oprysków.

– Tego typu maszyny są bardzo tanie. Napędzane energią z paneli fotowoltaicznych na pojeździe cały dzień pracują, nocą stoją. Wdrażanie ich w większej skali ma bardzo duży sens ekonomiczny. Pole powierzchni nawet setek hektarów nie musi być opryskiwane, może być pielone. Bez udziału człowieka – tłumaczy szef MAB Robotics.

Niestety, ich masowe stosowanie w Unii Europejskiej jest obecnie niemożliwe – przepisy w zasadzie zabraniają poruszania się takich maszyn bez kontroli operatora, chodzi m.in. o odpowiedzialność prawną.

Od dwóch lat MAB Robotics sprzedaje jednak najwięcej sterowników do sektora obronnego (ang. defence) czy ochrony (ang. security), stąd obecność firmy na kieleckim Międzynarodowym Salonie Przemysłu Obronnego.

– Firmy i instytucje na całym świecie zauważyły, jak na Ukrainie efektywnie działają drony i wszelkiego rodzaju zrobotyzowane pojazdy. I zaczęły pracować nad tym, żeby zrobić coś podobnego u siebie, albo zrobić to lepiej. A z punktu widzenia technicznego nie ma różnicy, czy to jest robot rolniczy, czy to jest robot militarny. Oba napędzamy w ten sam sposób i nasze podzespoły po prostu działają w tych dwóch obszarach.

Na korzyść Poznaniaków działa coś jeszcze: coraz większa świadomość bezpieczeństwa danych pozyskiwanych i wykorzystywanych przez roboty. – Nie jesteśmy w stanie konkurować bezpośrednio z producentami z Chin czy USA, szczególnie Chińczycy są bardzo mocno subsydiowani przez rząd. Ale mamy technologię, która nie odbiega od ich technologii, a w niektórych obszarach wygrywa. Wiele instytucji w Europie zrozumiało, że nie może kupować z Chin sprzętu, który działa w instalacjach krytycznych. Bo ten może ciągle wysyłać dane do Pekinu lub mieć wejścia w systemie pozwalające na sterowanie z dowolnego miejsca na Ziemi. Więc zaczęły do nas spływać zapytania, że skoro produkujemy w Polsce, to czy możemy być dostawcą dla sektora ochrony czy obrony.

„Chcemy być najwięksi w Europie”

Dziś firma ma stabilną sytuację finansową pozwalającą na zatrudnianie kolejnych osób i może myśleć o rozwoju.

– Robotyka staje się bardzo ważna dla gospodarki i istotne stają się rozwiązania, które często są nowe i trudne do wdrożenia dla potencjalnych klientów – mówi Bartoszek. – Nie chcemy być tylko producentem napędów i robotów kroczących. Chcemy zająć się również innymi platformami i wykonywać więcej zadań dla naszych klientów.

Barierą ku temu są z pewnością przepisy unijne. Szef MAB Robotics mówi, że docenia i rozumie potrzebę bezpieczeństwa, ale zbyt często „zamykamy roboty w klatkach” z powodów biurokratycznych, a to zmniejsza efektywność działań i hamuje wdrażanie nowych rozwiązań. Powolne pojawianie się robotów dostawczych czy testy autonomicznych samochodów w niektórych krajach UE wskazują, że podejście regulatorów będzie się powoli zmieniać. To rodzi nadzieję na przyszłość.

– Naszym marzeniem jest to, by być największym producentem rozwiązań robotycznych w Europie i realną konkurencją dla największych producentów na świecie. To bardzo ambitny cel, ale jako firma robotyczna już jesteśmy bardzo rozpoznawalni na świecie, a nasi najwięksi konkurenci czy największe firmy robotyczne regularnie sprawdzają, co robimy. Musimy jednak zwiększyć skalę – mówi szef firmy.

I przyznaje, że w pewnym momencie zrezygnowano z pozyskiwania kapitału, w tym ramach grantów NCBiR/PARP. Niedługo ma się to zmienić. MAB Robotics będzie też poszukiwać inwestorów kapitałowych.

eprasa.pl c1e91c68ff

WOJSKOWOŚĆ

Koniec „wuzety”. Wojsko Polskie wprowadza nowy mundur K03 „Ryś”

Po blisko trzech dekadach użytkowania charakterystycznej „wuzety” Wojsko Polskie wprowadza nowy wzór maskujący. Kamuflaż K03 „Ryś” ma zapewnić lepsze właściwości maskujące zarówno w dzień, jak i w nocy, poprawić komfort użytkowania oraz zwiększyć bezpieczeństwo żołnierzy. Nowe umundurowanie zostało opracowane w Polsce, przetestowane przez polskich wojskowych i ma być produkowane wyłącznie przez krajowy przemysł

Piotr Celej

Wprowadzenie nowego wzoru maskującego to jedna z największych zmian w wyposażeniu indywidualnym żołnierza od lat. Dotychczasowa „leśna pantera” służy w Wojsku Polskim od połowy lat 90. W tym czasie zmienił się jednak zarówno charakter współczesnego pola walki, jak i technologie wykorzystywane do wykrywania przeciwnika.

FOT. MAT.PRAS. MON

Podczas prac nad nowym mundurem wykorzystano doświadczenia żołnierzy różnych rodzajów sił zbrojnych

Nowe szaty polskiego żołnierza

To olbrzymia zmiana – wzór kamuflażu to dla żołnierzy coś jak barwy klubu dla kibiców. Są z nim zżyci w wyjątkowy sposób. Nic więc dziwnego, że każda zmiana wzoru mundurów to w wojsku prawdziwy „big news”. „Dropnęły nowe skórki” – pisał w social mediach jeden z miłośników militariów. „Koniec epoki »wuzety«” – wtórował mu inny. I słusznie, bo nowy kamuflaż K03 „Ryś” to rewolucja w polskiej armii. O zmianie zdecydowały doświadczenia żołnierzy, rozwój technologii oraz wyniki wieloletnich badań prowadzonych przez Wojskowy Ośrodek Badawczo-Wdrożeniowy Służby Mundurowej w Łodzi.

– Po 30 latach nadszedł czas, by zmienić wzór maskujący: taki, który nie tylko zakamufluje żołnierza, ale pozwoli mu pozostać jak najdłużej niewidzialnym dla przeciwnika – mówił Paweł Mateńczuk podczas prezentacji mundurów.

K03 „Ryś”. Pięć kolorów i rozbicie sylwetki

Twórcy nowego kamuflażu postawili na rozwiązanie określane jako wielośrodowiskowe. K03 wykorzystuje pięć kolorów, nieregularne plamy o zróżnicowanej wielkości oraz płynne przejścia między poszczególnymi barwami. Celem nie jest wyłącznie dopasowanie do konkretnego koloru otoczenia, lecz przede wszystkim rozbicie charakterystycznych konturów ludzkiej sylwetki. To duża zmiana filozofii maskowania. W nowoczesnych kamuflażach coraz większe znaczenie ma nie tyle imitowanie koloru terenu, ile utrudnienie przeciwnikowi rozpoznania człowieka jako celu. Dotyczy to zarówno obserwacji prowadzonej gołym okiem, jak i z wykorzystaniem zaawansowanych urządzeń optycznych.

– Kamuflaż K03 został zaprojektowany tak, aby ograniczać czytelność sylwetki żołnierza i dostosowywać się do różnych typów terenu: od lasów po obszary zabudowane – wyjaśniał podczas prezentacji płk Maciej Żytelewski.

Badania prowadzone były w różnych warunkach terenowych oraz przy zastosowaniu różnych metod obserwacji. Uzyskane wyniki miały potwierdzić wysoką skuteczność nowego wzoru.

– To jest niezwykły dzień dla Wojska Polskiego. Człowiek jest najważniejszy, żołnierz Wojska Polskiego jest najważniejszy. Jego bezpieczeństwo, przygotowanie, jego komfort służby jest dla nas najważniejszy. Dlatego po kilkunastu miesiącach prac ogłaszamy zmianę rewolucyjną dla żołnierzy Wojska Polskiego – mówił szef MON Władysław Kosiniak-Kamysz. – Dlaczego taka decyzja? Bo bezpieczeństwo żołnierza i jego komfort służby są najważniejsze. Widzieliśmy informację o tym, że ten mundur i jego kamuflaż sprawia, że jest dużo mniej widoczny zarówno w dzień, jak i w nocy, i noktowizja tutaj jasno i wyraźnie pokazuje, że w przedziale mundurów porównywanych jest to najlepsze rozwiązanie z możliwych – dodał minister.

Widoczność gołym okiem, ale też noktowizja

Jednym z najistotniejszych wymagań stawianych nowemu mundurowi była skuteczność podczas obserwacji nocnej. Współczesne pole walki jest bowiem nasycone noktowizją, termowizją i sensorami optoelektronicznymi. Podczas testów K03 „Ryś” wykazał bardzo dobre właściwości maskujące podczas obserwacji przez urządzenia noktowizyjne. To szczególnie istotne dla żołnierzy wojsk operacyjnych, wojsk specjalnych czy wojsk obrony terytorialnej, które mogą działać w warunkach ograniczonej widoczności.

– To jest najlepszy moment, w którym mogliśmy zdecydować się na wdrożenie nowego kamuflażu, wielośrodowiskowego kamuflażu nowej generacji. Oznacza to jakościowy skok w zakresie bezpieczeństwa żołnierzy – ocenił szef Sztabu Generalnego Wojska Polskiego gen. Wiesław Kukuła.

Większy komfort, lepsza odporność

Zmiany nie ograniczają się wyłącznie do samego wzoru maskującego. Równie istotny jest nowy materiał, z którego szyte będą mundury. Przepuszczalność powietrza ma być nawet dwukrotnie wyższa niż w obecnie używanych mundurach polowych. Oznacza to lepsze odprowadzanie ciepła oraz wilgoci podczas marszów, ćwiczeń i działań bojowych prowadzonych w wysokich temperaturach.

Projektanci zadbali również o większą odporność tkaniny na promieniowanie słoneczne oraz możliwość prania munduru w temperaturze do 60 stopni Celsjusza. To rozwiązania, które mają bezpośrednio przełożyć się na trwałość wyposażenia i łatwość jego eksploatacji w warunkach wojskowych. Ponadto mundur ma specjalne mocowania, które mogą służyć za... temblak na kontuzjowaną rękę. Nowe umundurowanie zaprojektowano również z myślą o współpracy z nowoczesnym wyposażeniem żołnierza. Krój uwzględnia stosowanie kamizelek balistycznych nowej generacji, pasów bojowych, oporządzenia modułowego oraz systemów przenoszenia wyposażenia.

Istotnym elementem programu była współpraca z użytkownikami końcowymi. Wojsko podkreśla, że podczas prac wykorzystano doświadczenia żołnierzy różnych rodzajów sił zbrojnych, w tym operatorów Wojsk Specjalnych. Za badania i rozwój odpowiadał Wojskowy Ośrodek Badawczo-Wdrożeniowy Służby Mundurowej w Łodzi, specjalizujący się w opracowywaniu wyposażenia osobistego oraz badaniach materiałów włókienniczych.

Produkcja w całości w Polsce

Podczas prezentacji minister obrony narodowej Władysław Kosiniak-Kamysz podkreślił, że nowy mundur jest polskim projektem i będzie produkowany przez krajowy przemysł. – Został zaprojektowany w Polsce, sprawdzony przez polskich żołnierzy i będzie w 100 procentach produkowany w Polsce – zaznaczył szef MON.

Według ministra koszt pojedynczego kompletu nowego umundurowania wynosi około 1000 złotych. Jednocześnie resort obrony planuje przeznaczyć w przyszłym roku nie mniej niż miliard złotych na wyposażenie żołnierzy w nowe mundury.

Sama prezentacja wzoru K03 nie oznacza natychmiastowego wycofania wszystkich mundurów wz. 93. Skala przedsięwzięcia jest ogromna. Wojsko musi zabezpieczyć produkcję, magazynowanie i dystrybucję nowych kompletów dla setek tysięcy żołnierzy zawodowych, ochotników i rezerwistów.

Proces wymiany będzie rozłożony na lata. W pierwszej kolejności nowe umundurowanie trafi prawdopodobnie do jednostek liniowych i żołnierzy pełniących służbę zawodową, a dopiero później do pozostałych formacji i zasobów mobilizacyjnych.

eprasa.pl c1e91c68ff

ROZMOWA

Media społecznościowe – dziki świat? Już w szkołach powinniśmy uczyć uczniów odpowiedzialności za słowo

- Bo słowo w sieci może ranić. Może powodować, że krzywdzimy tych, którzy są wokół nas. Może zniszczyć czyjąś karierę zawodową, naukową, pozycję społeczną - rozmowa z profesorem Dariuszem Tworzydło – profesorem nauk społecznych, specjalizującym się w komunikacji kryzysowej oraz twórcą Kongresu Profesjonalistów PR, który od 26 lat odbywa się w Rzeszowie.

Marlena Bogdan - Marut

Porozmawiamy dzisiaj o anatomii katastrofy – tak sobie to wymyśliłam. O czymś, co często wydarza się w mediach społecznościowych, które bardzo wpływają na nasze życie. I o tej anatomii porozmawiamy na konkretnym przykładzie. Chociaż, znając dynamikę mediów, nie wiem, czy ktoś jeszcze będzie pamiętał przykład Joanny Jabłczyńskiej i Katarzyny Grocholi i reszty świata, która się włączyła. Przypomnijmy trochę tę katastrofę. Joanna Jabłczyńska ogłosiła w swoich mediach społecznościowych, że nie zagra Tosi w kontynuacji książki i filmu „Nigdy w życiu!", którego autorką jest Katarzyna Grochola. Katarzyna Grochola odpowiedziała, potem zaczęła się walka między obiema paniami: która ma rację, która i czego nie powinna pisać. Włączyła się do tego Dorota Szelągowska, córka Katarzyny Grocholi, w bardzo emocjonalnym wideo, które wrzuciła do sieci. Co tam się wydarzyło z punktu widzenia komunikacji?

- Z punktu widzenia komunikacji, faktycznie można mówić o katastrofie, dla wszystkich stron. Największym problemem w takich sytuacjach jest to, że odbiorcy komunikatów skupiają się na ich fragmentach. Na krótkich tekstach, oświadczeniach, obrazach, informacjach, które do nich płyną. I na tej podstawie wyrabiają sobie zdanie. Nie tylko na temat danej sprawy, ale także na temat człowieka. Dlatego tak, to była katastrofa.

Ludzie bardzo szybko zaczęli stawać po jednej ze stron, czytając tylko fragmenty, nie znając całej historii. I to jest to, co dobrze znamy z mediów społecznościowych: nie wiemy, ale się wypowiemy. I chyba tak działają media społecznościowe – grają mocno na emocjach, przede wszystkim na tych negatywnych. Emocje to jest paliwo katastrofy.

- Niestety tak. Negatywne emocje dominują w mediach społecznościowych i bardzo łatwo o kryzys osobisty albo kryzys marki, który jest efektem tego, co powiemy, jak powiemy, do czego i w jaki sposób się odniesiemy. Wielu osobom, które chcą wyrazić swoją opinię w przestrzeni medialnej, wcale nie zależy na tym, żeby poznać fakty, poznać prawdę.

Po pierwszym fragmencie, wypowiedzi, zdaniu są w stanie postawić się po jednej z dwóch stron i chcą być ekspertami. Stąd, jeżeli chcemy wypowiedzieć się w jakimś temacie, zaopiniować czy ocenić, powinniśmy dokonać przynajmniej podstawowej analizy. Warto spojrzeć na dany temat z dwóch stron. Powinniśmy poznać fakty.

Często nawet nie wiemy, co tak naprawdę się wydarzyło. W analizowanym przypadku nie wiemy jakie emocje targały tymi osobami, które tak wyraziście ze sobą dyskutowały. Nie wiemy. I z pewnością nigdy się nie dowiemy. Bo to wszystko być może ma swój początek nawet kilkanaście lat temu.

W mediach społecznościowych obserwujemy więc wysyp ekspertów i osób, które na podstawie fragmentarycznych danych potrafią ocenić, skrytykować albo opowiedzieć się po jednej ze stron.

Ja myślę, że taką grupą zawodową, która świetnie wykorzystuje to, jak działają media społecznościowe, są politycy. Bo to oni potrafią pięknie grać na emocjach i zdają sobie sprawę z tego, że wystarczy wrzucić jakiś kamyczek, kręgi wody się rozniosą i informacja się poniesie. A ludzie dzisiaj nie zwracają kompletnie uwagi na to, jaka była geneza powstania wpisu, postu, jaka jest historia. My nawet nie szukamy tych informacji.

- Na szczęście coraz więcej instytucji i osób zajmujących się tak zwanym fact-checkingiem, czyli sprawdzaniem faktów, pomaga nam rozeznać się w sytuacji, ocenić fakty i sprawdzić, czy to, co zostało powiedziane, szczególnie przez polityków, jest prawdą, czy też mamy do czynienia z manipulacją. Dzięki temu będziemy bardziej świadomi.

My, to znaczy kto?

- Odbiorcy, społeczeństwo.

Pan profesor naprawdę wierzy w to, że społeczeństwo będzie w stanie przeczytać cały ten fact-checking, wysłuchać tego na spokojnie? Bo dzisiaj media grają przede wszystkim na emocjach. Jeśli zostawimy pustkę i nie będziemy reagować na bieżąco, też emocjonalnie, algorytm nas zgubi w sieci. Nie przebijemy się.

- To my decydujemy, czy chcemy prawdy, czy chcemy ulec manipulacji, która wokół nas jest wszechobecna. Takie instytucje jak chociażby Demagog, które weryfikują, co jest prawdą, a co fałszem, będą nas w tym wspierać, ale pracę musimy wykonać także my.

Fantastycznie, że pan profesor powiedział, że to my wybieramy, my decydujemy. Bo chciałam poruszyć jeszcze wątek odpowiedzialności za słowa. My w mediach społecznościowych mamy taką tendencję, że piszemy bez myślenia o tym, co piszemy. I nie dostrzegamy, że po drugiej stronie jest fizyczna, konkretna, prawdziwa osoba i że to, co napiszemy, odbije się na jej życiu. Kto powinien w dobie, kiedy każdy z nas jest nadawcą, mieć odpowiedzialność za słowa? My, którzy to publikujemy? Media, które to powielają? Osoby, które udostępniają? Czy platformy?

- Odpowiedzialność za słowo leży przede wszystkim po stronie osoby, która komunikuje. To my, jako nadawcy, prezentując opinie czy informacje, powinniśmy mieć świadomość i czuć odpowiedzialność za to, co prezentujemy. Powinniśmy podawać to, co jest sprawdzone, zweryfikowane. Powinniśmy zatem opierać się na badaniach, analizach, na danych naukowych, zweryfikowanych, zrecenzowanych. To jest pierwsza rzecz.

Druga rzecz: bardzo ważną rolę odgrywają same platformy, ale także edukatorzy i nauczyciele. Już w szkołach podstawowych i średnich powinniśmy uczyć młodych ludzi odpowiedzialności za słowo. Na tegorocznej edycji Kongresu Profesjonalistów PR mówiliśmy właśnie o tym. Ponieważ słowo może ranić. Może powodować, że krzywdzimy tych, którzy są wokół nas. Może zniszczyć czyjąś karierę zawodową, naukową, pozycję społeczną. Po pięciu, dziesięciu latach spraw sądowych – kiedy zostanie ustalone, że to jednak nie były fakty, tylko manipulacja – żadne słowa nie przywrócą utraconych przez lata godności i honoru. Musimy także pamiętać, że każdy z nas w mediach społecznościowych kreuje własną markę. Czyli odpowiedzialni za słowo jesteśmy wszyscy.

Czyli każdy z nas buduje swoją wiarygodność, swoją tożsamość. I zastanawiam się, jak ją budować w czasach, w których mamy fake news i deepfake. AI potrafi wygenerować, co tylko nam do głowy przyjdzie – na przykład rozmowy, które się nie odbyły, wywiady, które się nie ukazały, persony, które nie istnieją. Jak w takim świecie „układać" sobie życie w mediach społecznościowych? Czy da się do tego podejść racjonalnie? Są jakieś rady, które powinien każdy z nas zastosować, jeśli chce być w tych mediach?

- To my na samym początku powinniśmy sobie odpowiedzieć na pytanie: do czego będziemy wykorzystywali media społecznościowe? Do czego mają nam służyć? W jaki sposób mają wpłynąć na naszą pozycję zawodową, osobistą? Taka refleksja u nas samych, twórców treści, powinna być podstawą dalszych kroków.

Jak się czyta badania dotyczące młodych ludzi, to wynika z nich, że uważają zawód influencera za bardzo atrakcyjny. Wspominam o tym w takim kontekście, że my trochę chyba za późno zaczynamy uczyć młodych ludzi tego, jaką odpowiedzialność powinniśmy ponosić za słowa, jak słowa potrafią ranić też w mediach społecznościowych. Mam wrażenie, że ekran, na którym piszemy wiadomości, trochę nas odgradza od rzeczywistości, w którą te słowa trafiają.

- Niestety, ma pani rację, bo co innego mówimy, siedząc naprzeciw siebie, a co innego jesteśmy w stanie wykrzesać z siebie, siedząc przed ekranem. Powinniśmy uczyć młodych ludzi już od dziecka, że jeżeli komunikujemy coś za pośrednictwem mediów społecznościowych, powinniśmy mieć z tyłu głowy świadomość tego, czy bylibyśmy w stanie to samo powiedzieć w cztery oczy.

eprasa.pl c1e91c68ff

FOT.BARABARA GALAS

- W mediach społecznościowych, u wielu osób, panuje przekonanie, że są bezkarne. Cokolwiek napiszą, przejdzie bez konsekwencji - mówi Dariusz Tworzydło

To będzie taka pierwsza refleksja. Takie zatrzymanie na chwilę, zastanowienie się, zanim jeszcze wciśniemy przycisk „opublikuj". Chwila refleksji, myślę, że wielu z nas pozwoliłaby podjąć decyzję, że jednak nie zdecyduje się na komentarz.

Ja myślę, że tutaj też działa taka funkcja, że trudno jest wyegzekwować wobec osób, które publikują fake newsy czy nieprawdziwe komentarze i wpływają na markę, jakieś konsekwencje prawne. Już nawet nie mówię o marce osobistej, tylko o wielkich firmach.

- Bo tego też brakuje u nas w polskim prawie. My do tej pory chyba nie zrozumieliśmy, jak ogromny wpływ na nasze życie mają wszystkie media społecznościowe. Jeżeli jedziemy samochodem i przekraczamy prędkość, jest duże prawdopodobieństwo, że zostaniemy złapani przez policję i zapłacimy mandat. Coraz częściej, jeżeli przejedziemy na czerwonym świetle, drony pomogą zidentyfikować sprawcę wykroczenia.

Niestety w mediach społecznościowych, u wielu osób, panuje przekonanie, że są bezkarne. Cokolwiek napiszą, przejdzie bez konsekwencji. Gdyby prawo pozwalało na jednoznaczne identyfikowanie i karanie w takich przypadkach, myślę, że wielu twórców treści zastanowiłoby się, czy faktycznie chce opublikować informację, czy komentarz.

Ja sobie przypominam taką sprawę Doroty Wellman, która znalazła osobę, która pisała te bardzo niepochlebne komentarze na jej temat. I mam wrażenie, że społeczność w mediach społecznościowych nastawiła się przeciwko niej: jakim prawem ona poszła do pracy tej osoby, powiedziała o tym jego współpracownikom. I to na niej skupił się gniew, nie na osobie, która te komentarze wpisywała. To tak, jakbyśmy sami nie pozwalali wyciągać konsekwencji wobec tych osób, bo mamy wolność słowa. No tylko że wolność słowa kończy się tam, gdzie przekraczamy granice wolności drugiej osoby. Ja to tak odbieram.

- Też tak uważam. Dopóki ci, którzy tworzą treści, nie będą czuć konsekwencji swoich działań, dotąd będą się dopuszczali coraz brutalniejszych ataków na inne osoby – a przecież po drugiej stronie jest człowiek, który czuje i często bardzo długo rozpamiętuje – może te konsekwencje powstrzymałyby niektórych przed działaniami, które są destrukcyjne dla tych, których opisujemy.

Patrzmy na to, jak duże firmy i duże marki osobiste, Rafał Brzoska na przykład, walczą z deepfake'ami i fake newsami na temat firm. To jest świat... nawet nie wiem, jak to nazwać...

Dziki świat – te media społecznościowe. Tam ludzie myślą, że mogą wypisywać wszystko, co chcą, a przez to marki upadają. Firmy mają problemy takie, o których kiedyś się im nie śniło, bo tożsamość i wiarygodność buduje się latami, a wystarczy jeden wpis, 30 sekund, i niszczymy to, co powstawało przez lata.

- Tak, zdecydowanie popieram to co robi Pan Rafał Brzoska i uważam, że należy podejmować działania, które pokażą także platformom społecznościowym, że również one są odpowiedzialne za wyznaczanie granic. Popieram działania prawne, promocyjne, informacyjne, a także edukacyjne. Wiem, że jeden wywiad czy jedno spotkanie w klasie nie zmieni nastawienia. To jest praca u podstaw – w rodzinach, szkołach, na studiach. A przede wszystkim musimy budować świadomość - musimy sobie zdawać sprawę z tego, że po drugiej stronie jest człowiek, na którego słowa oddziałują.

Jak pan profesor wyobraża sobie komunikację za 10–15 lat w takim świecie, który napędzają media społecznościowe, algorytmy i platformy, na których publikujemy informacje?

- Mam nadzieję, że nastąpi przesunięcie w kierunku tych platform, które pozwalają na rzeczowy i mądry dialog. Ja zdecydowanie wolę funkcjonować w świecie LinkedIna niż Facebooka. Bo na LinkedInie dyskusje mają bardziej rzeczowy i profesjonalny wymiar. Nawet jeżeli pojawiają się emocje, są one bardziej wyważone. Nie są to działania, które drugiej stronie szkodzą w takim stopniu jak na niektórych innych platformach społecznościowych.

A jakby pan profesor miał dać taką zasadę albo radę innym ludziom: czego nie robić w mediach społecznościowych albo czym się przede wszystkim kierować?

- Przede wszystkim – nie publikuj tego, czego nie byłbyś w stanie powiedzieć drugiemu człowiekowi prosto w twarz. Nie publikuj. Bo łatwo jest przycisnąć przycisk „wyślij". Natomiast jeżeli stajemy i chcemy z kimś porozmawiać, przychodzi refleksja, chwila zastanowienia nad tym co chciałbym powiedzieć? W jaki sposób chciałbym powiedzieć? To przede wszystkim.

Uważam, że powinniśmy również odpowiedzieć sobie na pytanie, czy chcemy tracić dziennie pięć godzin na wirtualny świat, który nie daje nam tego, co daje realne spotkanie z człowiekiem. No i pamiętajmy też, że w mediach społecznościowych nie ma przycisku „cofnij".

Tam, jak już się coś opublikuje, to po prostu żyje. Tego się nie da wymazać. Nawet jeżeli coś wykasujemy.

- Dokładnie. Ktoś może zachować obraz a potem go opublikować. Te słowa zostaną z nami na zawsze. I to może wrócić za pięć lat w najmniej spodziewanym momencie. To może wrócić za dziesięć lat, wtedy, kiedy będziemy się starali o lepszą pracę. To, co w tym momencie komunikujemy w sieci, zostawia trwały ślad.

I świadczy też o nas, o naszej kulturze. To nasz osobisty ślad. Miejmy świadomość, że ten ślad będzie podążał za nami przez całe życie.

I chyba to jest najlepsze podsumowanie naszej rozmowy.

- Myślę, że tak.

eprasa.pl c1e91c68ff

STYL ŻYCIA

Już nie tylko dziadkowie i babcie. Grzybobranie jest dzisiaj cool

Jesienią, jak co roku, Polacy ruszą w las. Ale dzisiaj zbieranie grzybów to pasja nie tylko ludzi w średnim wieku i tych trochę starszych. Dzisiaj grzybobranie jest po prostu cool. Świadczą o tym chociażby zasięgi grzybfluencerów, którzy generują wyświetlenia na poziomie największych gwiazd popkultury czy sportu

Dorota Kowalska

Nagranie sprzed kilku dni. Młoda, długowłosa kobieta stoi w środku wysokiego lasu i z uśmiechem na twarzy pokazuje dorodne borowiki. To autorka facebookowego profilu „Blondynka na grzybach".

- Muszę lecieć po auto. Tego jest tyle, że ja nie dam rady tego wynieść - mówi. - Nie wierzę. Boże, nie wierzę w to, co widzę! To, co dzisiaj przeżyłam, to po prostu marzenie każdego grzybiarza, uwierzcie mi! – dodaje podekscytowana.

Wierzymy. Grzyby są dosłownie wszędzie. Całe polany borowików: dużych, małych, okrągłych i koślawych.

„Borowikowy zawrót głowy trwa. Dwa pełne kosze mniejszych borowików szlachetnych. Drugi kosz zbierany z mamą - kilka borowików, mleczaje jodłowe, maślaki żółte, ceglastopore i kilka suchogrzybków. Udało się też znaleźć soplówkę jodłową, lakownice (ktoś kopnął nogą i leżała - jest pod ochroną) i węża zaskrońca" – pisze potem na swoim profilu „Blondynka na grzybach".

Sezon grzybowy w pełni, więc filmik ma tysiące odsłon.

Grzybfluencerzy w natarciu

Uwielbiamy zbierać grzyby, z badań wynika, że 70 procent z nas biega po lasach w poszukiwaniu prawdziwków, borowików, maślaków, kurek, koźlaków. Mówi się nawet, że grzybobranie to narodowy sport Polaków.

Może dlatego „grzybfluencerzy" lub „grzyboinfluencerzy", jak kto woli, stali się absolutnym fenomenem polskiego internetu, generując wyświetlenia na poziomie największych gwiazd popkultury czy sportu. Raport platformy badawczej Collabot pt. „Grzybfluencerzy. Kto zbiera uwagę, kiedy Polska idzie do lasu?" dokładnie opisuje to zjawisko.

W raporcie przeanalizowano ponad 400 profili internetowych, tworząc zestawienie najbardziej wpływowych leśnych twórców. Szukano ich na Facebooku, Instagramie, TikToku i YouTube.

I tak profil „Grzybiarz w lesie" prowadzony przez Damiana Lipczyńskiego zgromadził 76,7 miliona wyświetleń w ciągu zaledwie jednego sezonu, a pojedyncze filmiki Lipczyńskiego - na przykład ten, na którym pokazuje gigantycznego prawdziwka i krzyczy „Ale gigant!" - osiągają po 5 milionów odsłon.

Popularność grzybów sprawiła, że pojawiają się kolejne profile, na których internauci pokazują swoje leśne wyprawy, największe albo najrzadsze znalezione okazy i pełne koszyki grzybowego dobra.

Piotr Grześ, znany w mediach społecznościowych jako „Grzybów Znawca" od lat opowiada swoim fanom o grzybach. Grześ przyznaje, zainteresowanie tym tematem wyraźnie rośnie.

- Celebryci zaczęli pokazywać, jak chodzą na grzyby bez wstydu. Ludzie zasypali media społecznościowe swoimi wyjściami - mówił.

Oczywiście, każdy o grzybach opowiada inaczej, co innego jest dla niego ważne. Dlatego twórcy raportu podzielili grzybfluencerów na kilka typów.

I tak „mykolog" stawia na edukację, identyfikację rzadkich okazów i merytoryczną wiedzę z pierwszej ręki. Tu wyróżniają się profile „Paweł i Grzyby" i wspomniany już „Grzybów Znawca". „Wysypiarz" – operuje bieżącymi informacjami o tym, gdzie warto wybrać się na grzybobranie, na to stawiają „Grzybiarz w Lesie" i „Grzybowy Gość". Są łowcy trofeów, jak Anna Pigiel, która w sieci pokazuje rekordowe okazy, które udało jej się znaleźć. „Leśny towarzysz" stawia na długie spacery, kontakt z naturą, relaks - o tym opowiada „Grzybowy Kapelusz". Jest też „remikser", który adaptuje tradycyjny leśny rytuał do formatów krótkiego wideo i „leśny kucharz" – ten z kolei skupia się na kulinarnym wykorzystaniu zebranego w lesie „towaru".

Co ważne, raport pokazuje pewną prawidłowość, która może cieszyć: autentyczność liczy się bardziej niż kosztowne produkcje, w każdym razie to, co prawdziwe, ma większe zasięgi niż to, co wyreżyserowane.

Osoby publiczne też zbierają

Wspomniał o tym Piotr Grześ, a więc „Grzybów Znawca": osoby publiczne zaczęły pokazywać w sieci swoje zbiory i lawina ruszyła. I tu bezsprzecznie prekursorem sieciowych relacji z grzybobrań jest Janusz Piechociński, były prezes Polskiego Stronnictwa Ludowego.

Piechociński pasję zbieractwa odziedziczył po mamie. Ta, jak mówi, zbierała grzyby z sukcesami. Sąsiedzi biegli do Puszczy Kozienickiej, w okolicy której mieszkali, z samego rana. Ona po szkole, potem po pracy spokojnie brała koszyk w rękę i ruszała w las. Wracając, uśmiechała się już od progu.

- I tak to się u mnie zaczęło. Nie mam czasu jeździć gdzieś daleko, więc zbieram grzyby w okolicach Celestynowa czy Piaseczna – opowiada Piechociński. Chodzi w tak zwane swoje miejsca, rano, w sportowym dresie. Wchodzi w kępy brzózek, w zarośla i szuka. Kiedyś po takiej porannej wyprawie spotkała go jakaś kobieta. „Ale ja pana widziałam wczoraj rano, latał pan jak wariat z wiaderkiem między drzewami" – zagadała ze śmiechem.

Najważniejsze, żeby wiedzieć, gdzie latać. Grzyby rosną w określonych miejscach. Dlatego w nowy las trzeba zawsze wejść z jakimś tubylcem. Taki wie, gdzie szukać grzybów. On nie lubi zbiorowych grzybobrań, tych krzyków: „Mam! Znalazłam! Ale piękny!". Ale czasami zdarza mu się pójść w zarośla z przyjaciółmi, czy znajomymi. Bywa, że celowo omija jakiegoś grzyba, żeby potem usłyszeć: „Piechociński nie zauważył, a ja znalazłem!".

Rekord grzybobrania to było 86 kilogramów surowego prawdziwka zebranego pod Bielskiem Podlaskim. Nic nie zapowiadało takiego sukcesu. Była susza, chociaż kilka dni wcześniej przeszły nad tym terenem burze. Wziął 20-litrowe wiaderko i poszedł w las. W starym sosnowym niewiele znalazł, więc może przy torfowisku? Kilka szarych koźlarzy. Dalej był zagajnik sosnowo-brzozowy. A tam same prawdziwki. Wracał w to miejsce z cztery razy. Miał tyle grzybów, że pakował do wiaderka same kapelusze, szkoda było miejsca na nóżki.

Dzisiaj grzyby rozdaje, surowe, świeżo zebrane. Kiedyś robił znajomym prezenty w postaci słoiczków z grzybami marynowanymi, ale, jak przyznaje, żona się zbuntowała. „Moje ręce, moje paznokcie, moje słoiki, mój czas i moja cierpliwość. Basta!". Musiał jej wcześniej grzyby obrać, przygotować, ale i tak powiedziała dość. Więc dzisiaj obdarowywani sami muszą grzyby obrabiać.

Najbardziej lubi pierogi z kapustą i grzybami, rydze z patelni, które zawsze przyrządza z przyjacielem. Lubi zbierać grzyby, ale mówiąc szczerze, wielkim fanem grzybowych dań nie jest.

Czemu je w takim razie zbiera? Pasja i tyle. Chociaż przyznaje, że zbieranie grzybów, to jedyna czynność, przy której tak się koncentruje, tak skupia na szukaniu, że nie myśli o niczym innym. Kiedy był ministrem, biegł do lasu przed godz. 5.00, bo przed godz. 7.00 czekała już na niego ochrona.

Ale dzisiaj relacjami z grzybobrań chwalą się w sieci Joanna Jabłczyńska, Julia Wieniawa, Agnieszka Dygant, Małgorzata Foremniak, czy Kasia Tusk.

Idealny sposób, żeby się wyciszyć

Według Lasów Państwowych, co roku grzybiarze zbierają łącznie około 100 tys. ton grzybów. Ci, którzy zbierają grzyby, robią to przede wszystkim dla samych grzybów – tak odpowiedziało 68 proc. ankietowanych w badaniu przeprowadzonym przez portal Rankomat.pl. Dla wielu jest to także okazja do kontaktu z naturą (64 proc.) i spędzenia czasu na świeżym powietrzu (54 proc.). Blisko połowa zbieraczy traktuje grzybobranie jako sposób na wyciszenie i odpoczynek psychiczny, a 32 proc. podtrzymuje w ten sposób rodzinną tradycję. Tylko 5 proc. osób przyznaje, że grzybobranie jest dla nich źródłem zarobku.

- Żyjemy w rzeczywistości, w której panuje szum informacyjny, jesteśmy przebodźcowani, a grzybobranie to taka ucieczka od codzienności, forma odreagowania. Znacznie lepsza niż butelka wina wypita wieczorem – mówiła mi swego czasu psycholog Maria Rotkiel.

Poza tym, w każdym z nas siedzi gdzieś głęboko atawistyczny instynkt zbieracza. Ludzie zawsze zbierali jedzenie, bo to daje im poczucie bezpieczeństwa. Kiedy zbieramy grzyby ze znajomymi, czasami licytujemy się, więc jest w tym wszystkim także element rywalizacji, ale to nie on dominuje.

- Myślę, że zbieranie grzybów jest dzisiaj tak modne, bo jest formą wyciszenia, podczas którego na dodatek obcujemy z naturą. Sama uwielbiam chodzić na grzyby – przyznała Maria Rotkiel.

Zalet zbierania grzybów jest sporo: po grzybobraniu poprawia nam się nastrój, lepiej śpimy, mamy lepszą odporność, lepsze krążenie krwi, jelita zaczynają pracować, w organizmie podnosi się poziom witaminy D3.

Nie wszystkich jednak przekonują te argumenty. Ci, którzy grzybów nie zbierają, boją się zjedzenia trujących okazów – taki powód niechodzenia do lasu podało 37 proc. badanych, 21 proc. przyznało wprost, że boi się zatrucia, 25 proc. nie cierpi pająków i kleszczy. Jeszcze inni boją się zgubienia w lesie, spotkania dzikich zwierząt, postrzelenia przez myśliwych. 3 proc. ankietowanych nie chce pobrudzić lub zniszczyć ubrania.

No cóż, każdy ma swoje ograniczenia.

Wciąż mało o grzybach wiemy

Z Tadeuszem, emerytowanym górnikiem, spotykamy się przed godz. 7.00 na granicy Tychów i Kobióra, mamy iść w stronę Promnic, bo tu ponoć lasy są „najbardziej grzybne".

- I tak za późno się spotykamy – wita mnie ze śmiechem. On sam na grzyby wyrusza, kiedy świta.

Tadeusz, to tata znajomego, znany z tego, że grzyby zbiera cały rok. Smaży je, gotuje, suszy, marynuje, robi lecznicze nalewki. Lubi kozaki, prawdziwki, smardze, zimówki aksamitnotrzonowe, to grzyby zimowe, które zbiera do lutego, dzikie boczniaki ostrygowate, te pokazują się późną jesienią.

- W polskich lasach występuje prawie półtora tysiąca gatunków grzybów jadalnych, ludzie znają i zbierają z sześć, może siedem gatunków, wytrawny grzybiarz około czterdziestu – mówi.

Tadeusz na Śląsk przyjechał z małej miejscowości położonej w woj. świętokrzyskim. Tam wszy-

eprasa.pl c1e91c68ff

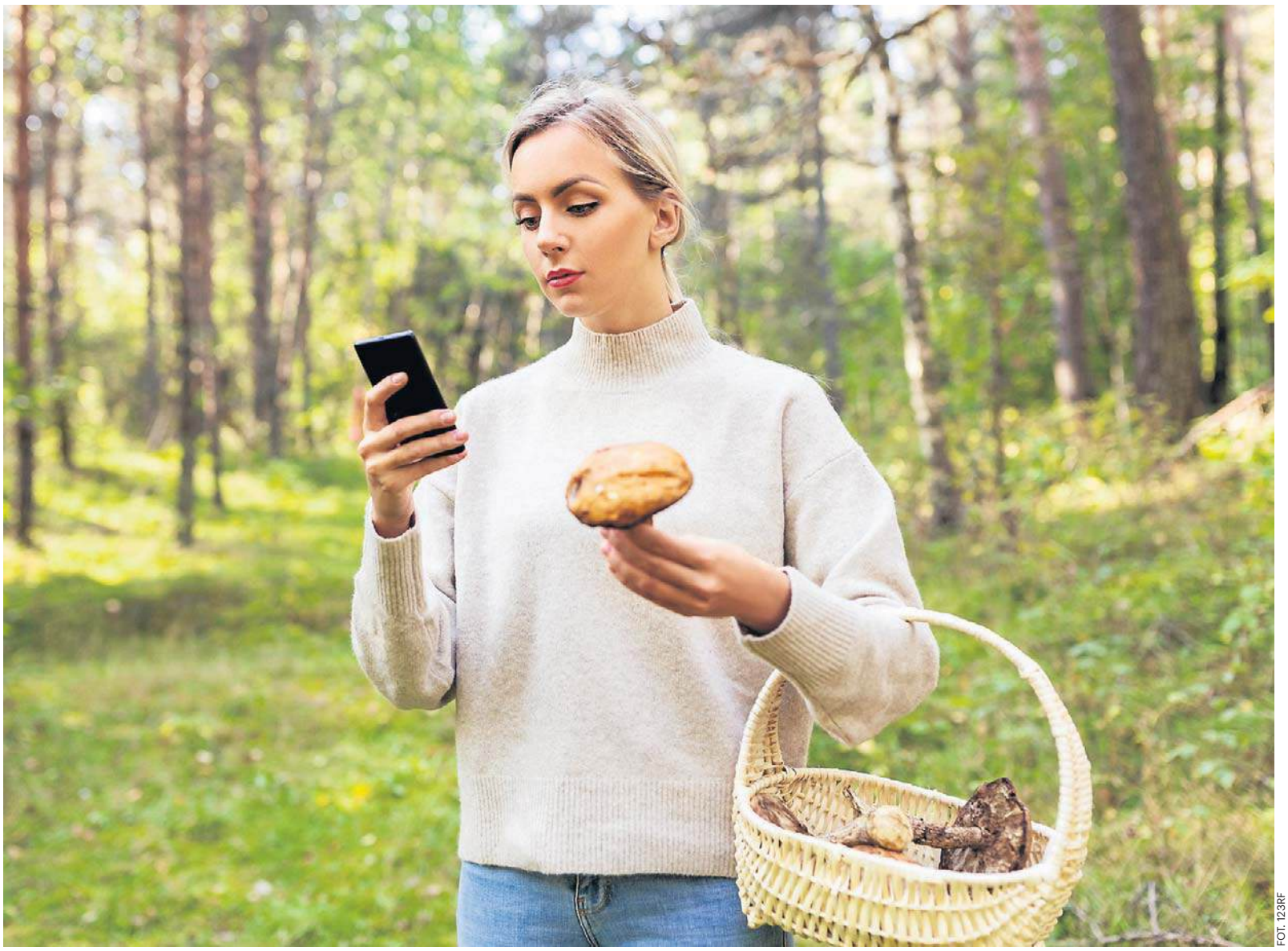

FOT. 123RF

Wielu z tych, którzy opowiadają w internecie o grzybach, tłumaczy, że czasami dobrze oderwać wzrok od telefonu i pójść do lasu

scy zbierali grzyby: trochę z zamiłowania, trochę z biedy. Pamięta swoją mamę: godzinami siedziała i czyściła kapelusze, delikatnie obierała trzonki. Grzyby musiały być czyściutkie, dopiero potem się je suszyło albo gotowało.

Lubił chodzić do lasu. Z czasem, zbieranie grzybów stało się jego pasję. Zaczął o grzybach czytać. Pamięta, jak zdobył w antykwariacie wydany w 1990 roku atlas „Nasze Grzyby" prof. Aliny Skirgiełło, jako jeden z pierwszych ilustrowany kolorowymi fotografiami grzybów, a nie rysunkami. Prawdziwy skarb. Potem były kolejne przewodniki dla grzybiarzy, ma ich w domu kilkanaście.

Idziemy powoli w stronę Zamku Myśliwskiego Promnice. Co jakiś czas mija nas rowerzysta z reklamówką zawieszoną na kierownicy.

- Grzybów nie zbiera się do reklamówek – wzdycha mój przewodnik.

Albo zza krzaka wyskakuje jakiś grzybiarz, pozdrawia wesoło i pokazuje zbiory.

- Ludzie o tym nie wiedzą, ale grzybów naprawdę trujących jest w Polsce zaledwie kilkanaście, są oczywiście grzyby niejadalne, albo powodujące lekkie zatrucia żołądkowe, ale one nie zabijają – tłumaczy Tadeusz.

Trafiamy na kilka całkiem ładnych podgrzybków rosnących jeden koło drugiego. Delikatnie wyciąga je z mchu, a potem uklepuje ten mech ręką.

- Najgroźniejszy to muchomor zielonawy, do niedawna zwany muchomorem sromotnikowym. Ma zielonawy wierzch kapelusza w różnych odcieniach w zależności od pogody i wieku owocnika. Ma przyjemny zapach, ma przyjemny smak i zabija w ciągu doby. Jeden owocnik może otruć całą rodzinę - opowiada.

Jest też muchomor jadowity, często mylony z pieczarką, jest zasłonak rudy, jest hełmówka jadowita, która często rośnie na drewnie obumarłych drzew.

Co mu daje to bieganie po lesie?

- Odpoczywam w ten sposób. Emeryci też potrzebują odpoczynku – wybucha śmiechem. - A tak na serio: cieszy mnie zbieranie grzybów, lubię je przyrządzać, lubię je jeść. No i lubię obcować z przyrodą – tłumaczy.

Poza tym, ma naturę zbieracza. Trafi w lesie na nieznanego grzyba, bo wciąż mu się to zdarza, sprawdza, co to z gatunek, czyta o nim, ile się da. Choć, jak przyznaje, takich niespodzianek spotyka w mchu coraz mniej.

Koszyki mamy prawie pełne. Podgrzybki, trochę maślaków. Będzie pyszny sos.

Urlop, żeby zbierać grzyby

I, żeby było jasne, ludzie zbierali grzyby od lat. Jak można wyczytać w Wikipedii, pierwszy grzybami zainteresował się Teofrast, grecki uczony, filozof, uczeń i przyjaciel Arystotelesa, który zaliczył je do roślin pozbawionych korzeni. Nie potrafił więc określić sposobu, w jaki się żywią. W epoce rzymskiej badania nad grzybami nie posunęły się naprzód. Rzymianie szczególne znaczenie przypisywali truflom. Wierzyli, że te powstają od uderzeń błyskawic, które przekazują im moc niezbędną do kreacji życia – stąd trufle były stosowane jako środek wspomagający zajście w ciążę. Kult grzybów powszechny był wśród Majów i Azteków, z kolei w Indiach grzyby uważano za symbol płodności. Po raz pierwszy zarodniki grzybów zaobserwował w 1588 roku włoski uczony, wynalazca, lekarz i literat - Giambattista della Porta, ale przez kolejne dwieście lat wciąż dominował pogląd o spontanicznym powstawaniu grzybów. W XVII, XVIII i XIX wieku zainteresowanie grzybami rosło, wielu badaczy systematycznie opisywało kolejne odkryte ich gatunki, często zresztą jeden gatunek pojawiał się kilkukrotnie pod różnymi nazwami. Dopiero Pier Andrea Saccardo, włoski mykolog i botanik, dokonał klasyfikacji grzybów porządkując wszystko to, o czym donosili jego poprzednicy.

Dzisiaj, jak widać, pod koniec lata i jesienią niemal trzy czwarte Polaków biega po lasach w poszukiwaniu leśnych skarbów.

Niektórzy nawet urlopy planują sobie wtedy, kiedy grzybów jest najwięcej.

Krystyna prowadzi agroturystkę w woj. lubuskim. Wynajmuje gościom piękny dom porośnięty winem, bardzo klimatyczny: z kominkiem w salonie i dwoma sypialniami na piętrze. Dom leży w środku lasu, do najbliższego sąsiada jest z siedem kilometrów. W koło cisza i grzyby.

- Mam stałych gości. Od jakichś pięciu lat na cały październik domek wynajmuje małżeństwo w średnim wieku. Od rana do wieczora zbierają grzyby: suszą je, marynują, na bieżąco jedzą – opowiada. I dodaje, że po tym miesiącu gościom trudno te leśne dobra spakować do samochodu. Często musi im pożyczać kartony na słoiki i torby z suszonymi grzybami.

- We wrześniu też przyjeżdżają grzybiarze – mówi właścicielka. Dużo się od nich dowiedziała. Taki na przykład siedzuń sosnowy, zwany także szmaciakiem gałęzistym, trochę przypomina gąbkę. Występuje w lasach iglastych i mieszanych, takich jak u niej. Rośnie na korzeniach drzew iglastych, martwych i żywych. Zawsze myślała, że to grzyb trujący. Dzisiaj go zbiera, dokładnie myje, a potem smaży na masełku. Albo „Turczynki" nazywane też „Turkami", „Niemkami" albo „Kołpakami" , oficjalnie to płachetka zwyczajna. Też ją dzisiaj jada, bo goście, którzy przyjechali do niej z Poznania, zaprosili ją kiedyś ma pyszne danie z płachetki właśnie i dzisiaj sama je przyrządza.

Może nie wszyscy o tym wiedzą, ale nie wszędzie grzyby są tak dostępne, jak w Polsce. W wielu krajach obowiązują ograniczenia w ich zbieraniu. Zbiór wymaga płatnej licencji, bez których grożą surowe finansowe kary.

I tu Polacy stanęli murem za grzybiarzami, bo opinie na temat tego typu przepisów są podobne, niezależnie od tego, czy ktoś grzyby zbiera czy nie. Uczestnicy badania przeprowadzonego przez Ogólnopolski Panel Badawczy Ariadna dla Wirtualnej Polski w zdecydowanej większość (84 proc. badanych) są przeciwni wprowadzeniu ograniczeń wagowych zbierania grzybów na własny użytek. W tym ponad połowa respondentów (54 proc.) jest „zdecydowanie" pewna, że nie wolno ograniczać polskich grzybiarzy, a 30 proc. uznaje, że „raczej" nie powinno się określać granicy wagowej zbiorów.

Tylko 9 proc. respondentów uznaje, że konieczne są regulacje w tej kwestii. 7 proc. badanych nie ma zdania na ten temat.

Pasja bardzo cool

Co ciekawe, grzybfluencerzy to często ludzie młodzi, bo zbieranie grzybów to już nie jest ulubione zajęcie ludzi w średnim wieku i tych nieco starszych. Dzisiaj bieganie po lesie w poszukiwaniu borowików jest po prostu cool. Wielu z tych, którzy opowiadają w internecie o grzybach, tłumaczy, że czasami dobrze oderwać wzrok od telefonu, podnieść pupę z kanapy i ruszyć między drzewa, że warto korzystać z tego, co oferuje nam natura.

„Blondynka na grzybach" relacjonuje: „Dzisiaj las okazał się dla mnie bardzo łaskawy. Znalazłam wiele gatunków, ale zabrałam ze sobą tylko kilka, dlatego że nie mam takiej mocy przerobowej, aby to wszystko ogarnąć. Prawie cały kosz borowików szlachetnych, piękny siedzuń sosnowy, trochę podgrzybków i wzięłam kilka krasnoborowików ceglastoporych. Wczoraj późnym wieczorem znalazłam piaskowca modrzaka - jest to dla mnie wielkie trofeum, gdyż dłuższy czas go szukałam (spotykałam tylko na wystawach, a chciałam znaleźć swoje miejsce). Uważam ten dzień za udany, oby więcej takich!".

Nie ma nic lepszego, niż udany dzień.

eprasa.pl c1e91c68ff

NOWA SÓL

Sny o miedzi

Na ziemię, która skrywa żyłę złota – a raczej miedzi – padał deszcz. Strasznie lało. Niemal jak w opowiadaniu Zygmunta Haupta, w którym dziewczyna mówi chłopakowi, że to już ostatni raz i że powinni przejść z powrotem na „pan" i „pani". Nie myślałem jednak o literaturze, tylko o tym, że mam napisać reportaż o snach, wizjach, marzeniach mieszkańców Nowej Soli, które mogłyby się ziścić po powstaniu kopalni. Potencjalnym powstaniu

Mateusz Pojnar

Dlatego poszedłem na teren starej „Odry" albo – jak mawia młodzież – na zegar. Nazywają tak to miejsce od stojącej tam wieży z zegarem. Kiedyś była tu ogromna fabryka nici. Teraz trwały ostatnie przygotowania przed imprezą. Chciałem zacząć od młodzieży, bo to młodzi mogą w przyszłości najbardziej skorzystać z powstania kopalni miedzi i srebra. Potencjalnie.

Problemem w mieście jest to, że młodzi stąd wyjeżdżają. Osiadają we Wrocławiu, Poznaniu, Zielonej Górze. Budują swoją przyszłość w większych ośrodkach.

Przez pogodę była tam jedynie garstka ludzi. Sprzedający frytki, burgery i kebaby musieli co jakiś czas zasłaniać stoiska plandekami, żeby jedzenie nie odpłynęło im razem z deszczem. Starszy facet siedział pod parasolem, pił piwo i palił papierosy. Jednego za drugim. Trzech wyrostków – na oko po 15 lat – kręciło się wokół boksera, maszyny sprawdzającej siłę uderzenia. Zaczęli uderzać, a ten, który wygrał, bardzo się z tego cieszył.

Za mną usiadło dwóch chłopaków. Gdy położyli plecak na stole, usłyszałem brzdęk butelek. Jeden z nich się zaczerwienił.

Ale miało być o miedzi. W Nowej Soli istnieje młodzieżowa rada miejska, która ma podpowiadać urzędnikom i radnym, czego oczekują młodzi. Jej szefem jest Jakub Ulita.

- Kopalnia? Szczerze mówiąc za bardzo nie zagłębiałem się w temat – uśmiecha się przewodniczący. – Jak zawsze może to pójść w dwie strony: w pozytywną, ale i negatywną, bo kopalnia kojarzy się z ingerencją w naturę. Mam obawy o środowisko. Ale to nasza szansa na to, by stać się bogatym regionem. Nie chciałbym tam jednak pracować. Jestem już ukierunkowany na architekturę. Kopalnia nie przebija się w naszych rozmowach z koleżankami i kolegami.

Perkusista zagrał, a młodzi zaczęli się bawić. Nie chciałem im truć. Wrócę tu za parę dni – pomyślałem.

Mają u was wydobywać miedź

Kanadyjska spółka Lumina Metals póki co wierci dziury w ziemi i pracuje nad uzyskaniem koncesji wydobywczej. Prezes Jordan Pandoff mówił mi, że kolejne odwierty mają przybliżyć ich do budowy kopalni. Równolegle prowadzą badania środowiskowe. Pandoff zapewniał, że „mocno zwracają uwagę na ochronę środowiska". Zapowiadał, że to ma być „zielona kopalnia".

- Modelujemy, jak w przyszłości będzie wyglądała: gdzie będą poszczególne elementy i szyby. Zaplanujemy je na podstawie odwiertów – tłumaczył.

Wcześniej wakacje spędzałem nad Bałtykiem. I tam temat kopalni „Nowa Sól" żył swoim życiem.

- Słyszałem, słyszałem – powiedział wujek, gdy przechadzaliśmy się po plaży.

Zapytałem, co usłyszał, bo mentalnie byłem z dala od nowosolskich spraw.

- No jak to?! – zdziwił się. – Mają przecież budować u was kopalnię. Widziałem informacje w telewizji, czytałem w internecie. Gdy już wybudują, będziecie lubuskimi szejkami.

Odpowiedziałem, że droga jeszcze daleka.

Wieczorem w centrum Gdańska na koncercie jazzowym poznałem przemiłego faceta spod Warszawy. Od słowa do słowa wyszło, że jestem z Nowej Soli.

- Znam to miasto! – zareagował z ożywieniem. – Mają u was wydobywać miedź!

Biuro już powstało

Prezes Luminy wyliczał, że w regionie jest 10 mln ton miedzi i miliard uncji srebra. Opowiadał mi o harmonogramie dalszych prac.

- Zaczęlibyśmy budowę zaraz po otrzymaniu koncesji wydobywczej, czyli w 2030 r. – mówił. – Sama budowa potrwa cztery-pięć lat. Przed nami mnóstwo pracy, ale pierwsza produkcja byłaby już w 2035.

Spółka bada to, co pod ziemią, w pięciu lubuskich gminach. 53 proc. złoża jest na terenie gminy wiejskiej Nowa Sól, ale siedziba kopalni ma być w mieście. Zresztą powstało tu już biuro Luminy.

Z raportu EY wynika, że w fazie inwestycyjnej projekt będzie średniorocznie generował ok. 19 tys. miejsc pracy (bezpośrednich, pośrednich i w branżach wspierających) i 1,97 mld zł dodatkowej wartości do regionalnego PKB w obszarze zielonogórskim. Po uruchomieniu wydobycia te liczby mają wzrosnąć do: średniorocznie 38,6 tys. miejsc pracy (w tym ok. 3650 osób zatrudnionych bezpośrednio przy kopalni) i ok. 10,85 mld rocznej wartości dodanej dla gospodarki regionu.

Aneta Koszela jest księgową, prowadzi firmę w Nowej Soli. Politycy i samorządowcy powtarzają, że niedługo mieszkańcy powiatu staną się bogaci. Kto jak kto, ale księgowa potrafi świetnie liczyć, więc pytam ją, co to tak naprawdę może oznaczać. Mówi, że w gminach, w których będzie prowadzone wydobycie, wzrosną dochody z podatków od nieruchomości i opłaty eksploatacyjnej. Więcej kasy popłynie z kieszeni mieszkańców w ramach podatku PIT od wynagrodzeń. No i podatek CIT od spółek i firm.

- Inwestycja stanie się potężnym motorem napędowym dla gospodarki – tłumaczy. – Rynek mieszkaniowy powinien ruszyć z kopyta, będzie popyt na działki budowlane, powstaną hotele pracownicze, sklepy, do tego gastronomia, serwisy samochodowe; dodajmy transport pracowniczy, firmy budowlane, logistykę, magazyny, szkoły, przedszkola. Czyli dwu-, a może i trzykrotnie wzrośnie zapotrzebowanie dosłownie na wszystko. Regiony, w których powstawały tego typu kopalnie, stały się najbogatsze w Polsce. Gospodarczo każda branża może na tym skorzystać. Z drugiej strony ważne jest, by administracja publiczna wzięła za to odpowiedzialność: od szczebla rządowego, przez różne urzędy, aż po samorządowców. Księgowej marzy się, by w mieście rozwinęła się kultura.

Lumina Metals zapewnia, że nie będzie żadnego zbiornika odpadów w stylu Żelaznego Mostu. Tylko się cieszyć, że nie zdewastuje przyrody

PAWEŁ KOPEĆ
historyk, nauczyciel

Może powstałby mały teatr zawodowy?

- Cieszyłabym się z filharmonii – uśmiecha się. – Staramy się w rodzinie kłaść nacisk na uczestnictwo w życiu kulturalnym, ale żeby w nim uczestniczyć, najczęściej trzeba pojechać do Zielonej Góry, Wrocławia, Poznania. Kolejna sprawa to restauracje – w mieście jest mnóstwo kebabów, ale mieszkańcy chcieliby czasem zjeść coś innego. Przydałoby się więcej kawiarni i miejsc, które są otwarte dłużej, gdzie można spędzić wieczór z przyjaciółmi.

Przychodzi jej do głowy remont stadionu, na którym można byłoby organizować profesjonalne zawody lekkoatletyczne.

Paweł Kopeć jest historykiem, uczy w „Elektryku". Chciałby, żeby kopalnia powstała.

- Lumina Metals zapewnia, że ma być nowoczesna i nie będzie żadnego zbiornika odpadów w stylu Żelaznego Mostu. Tylko się cieszyć, że nie zdewastuje przyrody – zaznacza. – Ale od lat mówi się o konkretnych datach, a one wciąż są przesuwane. Może dlatego, że kolejne rządy z różnych opcji nie wspierały dostatecznie tej inwestycji? Może warto jakoś obniżyć podatek od wydobycia, żeby mieć nowosolskie zagłębie miedziowe? Jeśli KGHM nie był do tej pory zainteresowany budową kopalni, to niech ją wybudują Kanadyjczycy. Warto skorzystać z tego, co kryje ziemia pod naszymi stopami. Powinna wygrać gospodarka i progresywne myślenie.

Kopeć przewiduje, że jeśli kopalnia powstanie, przyjedzie mnóstwo nowych mieszkańców, którzy będą myśleli o kupnie mieszkania, założeniu rodziny. I że pojawi się więcej uczniów.

- Wtedy nie stracimy roboty – żartuje. – Podczas wizyty w naszej szkole Kanadyjczycy powiedzieli, że liczą na współpracę ze szkolnictwem zawodowym, a jesteśmy prężną placówką. Korzyści byłyby obopólne. Może nowe kierunki: technik górnictwa, robót podziemnych? Pytasz o przypuszczenia, więc fantazjuję.

Lista marzeń jest długa

- Czy wierzę, że kopalnia powstanie? Tak, od wielu lat już o tym mówią – mówi Anna, pracownica jednego ze sklepów w dzielnicy Zatorze. Rozmawiamy, bo akurat nie ma klientów.

Ekspedientka dodaje, że w pierwszej kolejności Lumina powinna zatrudniać tutejszych. Przewiduje, że miasto stanie się dużo większe.

- Wieś Rudno można byłoby dołączyć do Nowej Soli. W kopalniach jest duża kasa, a życie jest drogie. Będą zupełnie inne możliwości – zauważa. - Dobrze by było, gdybyśmy nie musieli ciułać przez 12 miesięcy, by odłożyć na wakacje. Może to nie oznaczałoby wielkiego bogactwa, ale na pewno godne życie.

– Przydałaby się galeria handlowa z prawdziwego zdarzenia. Nie ma gdzie się ubrać, brakuje porządniejszych sklepów - mówi. Kolejne marzenie na liście: kąpielisko. Wie nawet, gdzie mogłoby powstać.

Pytam, czy rozważałaby zatrudnienie się w kopalni, np. w administracji. - A czemu nie? – dziwi ją moje pytanie. – Nie zastanawiałabym się dwa razy. Handel to ciężka praca, a ludziom się wydaje, że stoimy i nic nie robimy.

Joanna i Marcin Dysiewiczowie są młodym małżeństwem. Ich syn Adaś ma dziewięć lat.

- Może macie w domu małego górnika, a jeszcze o tym nie wiecie? – zagajam.

- Siedzi czasem w ciemnym pokoju przy komputerze i gra w Minecrafta, więc może nieświadomie przyzwyczaja się do ciemności podziemi – śmieje się Marcin.

- A w grze posługuje się kilofem, czyli powoli ćwiczy – żartuje mama chłopca.

Małżeństwo uważa, że kopalnia jest szansą dla pokolenia mieszkańców, które dopiero dorasta.

- Ludzie nadal będą mogli próbować realizować się w różnych miejscach pracy, ale jednocześnie, gdyby coś nie wyszło, pojawi się możliwość znalezienia etatu w kopalni. Taki spokój swego czasu wprowadziła u nas strefa ekonomiczna – zwraca uwagę Marcin.

- Jeśli przyjadą tu pracownicy z dziećmi, potrzebne będą nowe żłobki i przedszkola. Być może pokoleniu naszego syna będzie żyło się najlepiej w historii Nowej Soli – dodaje Marcin.

Co mają wspólnego kultura i kopalnia?

Konrad Gramont jest aktorem nowosolskiego teatru niezależnego Terminus A Quo. Prowadzi Fundację Panopticum, która działa w sferze kultury i prowadzi warsztaty dla młodzieży.

Kultura i kopalnia – oba słowa zaczynają się na tę samą literę i pozornie wydaje się, że tylko tyle mają ze sobą wspólnego. Ale Gramont zaznacza, że kopalnia mogłaby przeznaczać fundusze na przedsięwzięcia kulturalne. Przecież po pracy część ludzkości szuka wytchnienia w sztuce.

- Chodzi o granty nie tylko dla organizacji pozarządowych, ale też grup nieformalnych, które chciałyby realizować swoje małe marzenia za nieduże pieniądze – podkreśla. – Oddolnie staramy się robić, co możemy. Samej fundacji dzięki zewnętrznym środkom udało się zorganizować ponad sto działań w ciągu czterech lat. Przydałby się w mieście młodzieżowy dom kultury, miejsce, z którym młodzi by się utożsamiali.

W Panopticum marzą i o tym, by w Nowej Soli powstała mała szkoła artystyczna.

- Może pojawi się szansa powrotu większych imprez, które kiedyś były w mieście – zaznacza Gramont. – Mieliśmy masę festiwali: Solówkę, Spring Rock Festival, turnieje literackie, kon-

eprasa.pl c1e91c68ff

FOT. PAP/PIOTR NOWAK

Młodzież w Nowej Soli chodzi „na zegar". To część zabudowań dawnej fabryki nici

certy trzy razy w tygodniu. Warto byłoby do tego wrócić.

A sport? Prezes miejscowej Astry Grzegorz Boruszewski podkreśla, że bogatszy region mógłby łatwiej sfinansować budowę lub przebudowę infrastruktury sportowej. Hala? Jest świetna, ale nie spełnia standardów najwyższej klasy rozgrywkowej, tym bardziej europejskich. Stadion? Powiedzieć, że wymaga remontu, to nic nie powiedzieć. Do niedawna mieszkańcy mogli chodzić na mecze pierwszej ligi – zaplecza siatkarskiej ekstraklasy. Astra zrezygnowała jednak z gry na tym szczeblu. Powód? Pieniądze. Kasa z kopalni mogłaby być dla klubów wielką szansą.

- Ale to nieprawda, że nam cokolwiek się należy – mówi Boruszewski. – Chcemy, żeby biznes widział w nas partnera, a nie tylko koszt. Jeżeli dostaniemy coś za darmo, może się to skończyć tak jak w innych miastach, gdzie były kluby, które zniknęły z rynku, bo właśnie tak myślały: że im się wszystko należy. Będziemy przygotowywać się do każdego scenariusza biznesowego, który się wydarzy.

Z hali sportowej idę do kawiarni. Dawid Matejko prowadzi w centrum Cafe Wanilię. Ale centrum obumiera – to kolejny problem Nowej Soli. Standardem są kartki na szybach z napisem „do wynajęcia" lub „na sprzedaż". Przedsiębiorcy liczą, że jeśli ludzie zarabialiby lepiej, mogłaby się wytworzyć kultura częstszego chodzenia do lokali gastronomicznych.

Tyle że w sercu miasta nie ma rynku, tylko coś w rodzaju minideptaka – to i tak za duże słowo. Część mieszkańców zazdrości centralnego placu pobliskiemu Bytomiowi Odrzańskiemu. - Była próba zamknięcia pl. Wyzwolenia i stworzenia deptaka – przypomina Matejko. – Dla mnie jako przedsiębiorcy to byłoby najlepsze rozwiązanie. Ale patrząc szerzej myślę, że to nie zdałoby egzaminu. W centrum jest bardzo duży ruch aut. Od zawsze życie miało skupiać się bardziej wokół Odry, a nie rynku.

Właściciel kawiarni zwraca uwagę, że w Nowej Soli nie ma szkoły wyższej – nie ma więc życia studenckiego. Chciałby, żeby powstała uczelnia górnicza albo filia jakiegoś uniwersytetu. Studenci za dnia by się uczyli, a wieczorem... wiadomo.

Matejko rozmawia z turystami, którzy przyjeżdżają do miasta. - Pytają, gdzie jest rynek – śmieje się. – Słyszałem od gości, że dla nich przyjazd do Nowej Soli jest sentymentalny, bo zapamiętali, że kiedyś, gdy jechali nad morze, byliśmy najbardziej obskurną miejscowością, jaką mijali. Po latach są zaskoczeni, jak tu jest pięknie.

Ludzie będą wracać?

Andrzej Dela jest społecznikiem związanym z rzeką. Czasami myślę, że on i Odra to jedno, że stanowią jeden organizm. Jego rejsy za jeden uśmiech obrosły legendą. Dela to emerytowany górnik. Płyniemy jego Adelą po rzece i rozmawiamy.

Górnikiem w kopalni w Polkowicach został w 1973 r. Miał 20 lat. Pracował tam aż do emerytury – najpierw na głębokości 750 m, potem 850, a pod koniec na 950 m.

Zwraca uwagę, że w Polsce w kontekście takich inwestycji są ostre restrykcje środowiskowe i politycy muszą dopilnować, by były przestrzegane. Dodaje, że w ciągu kilkudziesięciu lat technologia wydobycia się rozwinęła, więc jeśli to ma być nowoczesna kopalnia, potrzebni będą fachowcy.

Podkreśla, że Polkowice i Lubin są przykładami tego, jak może zmienić się region, gdy powstanie kopalnia.

O potencjalnym wpływie kopalni na życie społeczne w mieście rozmawiały już w swoim gronie tutejsze organizacje pozarządowe. Jarosław Wolak jest prezesem Nowosolskiej Paczki pomagającej chorym i potrzebującym.

- To inwestycja z ogromnym potencjałem, oznacza jednak dużą ingerencję w przyrodę – podkreśla. – Będzie miała wpływ praktycznie na każdy aspekt życia. Tysiące nowych pracowników, a tych ludzi trzeba gdzieś pomieścić. Z tym się wiążą mieszkania, ochrona zdrowia, drogi. Trzeba do tego podejść z głową.

Wolak pochodzi z Lubina, więc wie, jaki wpływ na jego rodzinną miejscowość ma KGHM. Ocenia, że kombinat dobrze wplótł się w życie miasta.

- Jeżeli kopalnia Lumina Metals wplecie się tak w społeczność Nowej Soli, to być może publicznych zbiórek charytatywnych będzie mniej. Chciałbym, żeby w mniejszym stopniu były potrzebne, bo ludzie staną się zamożniejsi i będzie dużo możliwości bezpośredniego sponsoringu inicjatyw. Marzy mi się system, który opiekuje się potrzebującymi i można zwrócić się bezpośrednio po pomoc do kopalni czy firmy, która z nią współpracuje – mówi. – Mogłyby powstać fundacje celowe, bo mówimy o potężnych pieniądzach. Potrzebny jest kontrakt społeczny, w którym inwestor gwarantuje wsparcie w różnych obszarach. Żebyśmy nie byli pionkami, tylko mieli prawo głosu. Wtedy przyszłość maluje się w jasnych barwach. Bo mieszkańcy boją się, że przyjdą, wydobędą to, co mają wydobyć – i koniec.

Wolak przez dwadzieścia lat mieszkał i pracował za granicą, głównie w Londynie. Według niego kopalnia może sprawić, że ludzie będą wracać z emigracji ekonomicznej.

- Tym bardziej że jeżeli dziś myślisz o wyjeździe na stałe do Anglii, to nie masz już takich benefitów jak dwie dekady temu – zwraca uwagę. – Wtedy życie tam było tanie, człowiek zarobił i odłożył. Teraz jest inaczej.

A może zostanę górnikiem?

W PRL-u głównymi pracodawcami w Nowej Soli były dwa potężne konsorcja: Dolnośląskie Zakłady Metalurgiczne Dozamet i Nowosolska Fabryka Nici Odra. Nie przetrwały jednak zmian gospodarczych po 1989 r. Później w mieście królowała produkcja krasnali, ale w latach 90. bezrobocie było ogromne. Jeszcze na początku XXI w. sięgało 40 proc. Szarość i marazm. To zmieniło się w momencie, gdy powstały fabryki w strefie ekonomicznej. Dziś w skali całego powiatu stopa bezrobocia pozostaje na poziomie 8 proc.

Istnieje obawa, że w przyszłości pracownicy będą chcieli masowo przenieść się ze strefy do kopalni. Adam pracuje w jednej z fabryk. Podkreśla, że ten temat przewija się w rozmowach podczas przerw w pracy. Mówi, że sam rozważyłby zostanie górnikiem. - Gdy człowiek – strzelam – dostanie pensję wyższą o 30-40 proc., to raczej tam pójdzie. Liczę, że firmy zmienią podejście i zaczną podnosić pensje, by sobie z tym poradzić – zaznacza. - Ale jak starsi odejdą, to kto będzie uczyć młodych?

Marek też pracował w strefie. - Dla fabryk nadchodzą ciężkie czasy, tym bardziej że praca tam nie jest łatwa. Człowiek giba przy maszynie osiem godzin – podkreśla. - Ale ja nie zdecydowałbym się zostać górnikiem. Ziomek pracuje w kopalni i mówi, że to straszna robota. Generalnie jest strach.

Prof. Stanisław Speczik, dyrektor działu eksploracji Lumina Metals, mówił mi, że spółka deklaruje otwartość, jeśli chodzi o współpracę z lokalnymi firmami. - Mieliśmy spotkania, na których wyjaśniałem przedsiębiorcom, że chcemy zająć się wyłącznie produkcją koncentratu, ale całą obsługę – zaopatrzenie, dostawy, przeróbki, naprawa maszyn, produkcja sprzętu – mogą robić lokalne firmy – zapewniał. - Po co mamy to przywozić z zagranicy? Możemy nawet czerpać prąd od lokalnych producentów wiatraków, bo to najtańsza energia. Chcielibyśmy też, żeby część odpadów przedsiębiorcy przerabiali na użyteczne nawozy czy piaski.

***

Po kilku dniach wreszcie wróciłem na starą „Odrę". Pogoda już zupełnie inna – niebo niebieskie, bez jednej chmury. 23-letnia Anna czeka na koleżanki. Mruży oczy, bo nie wzięła okularów przeciwsłonecznych.

Mieszka w jednej z okolicznych wsi. Regularnie odwiedza przyjaciółkę w Lubinie, więc wie, jak wygląda życie z kopalnią po sąsiedzku.

- Tam są darmowe autobusy, szybciej dostaniesz się do lekarza – opowiada. – Wejście do zoo też jest za darmo, tak jak wiele innych rzeczy.

Zofia Skoczeń właśnie zaczęła naukę w „Ogólniaku". Mówi, że dzięki kopalni urząd miasta mógłby wprowadzić bezpłatne parkingi na terenie Nowej Soli.

- Ale nie wydaje mi się, żeby inwestycja odmieniła region nie do poznania – ocenia nastolatka. - Jeśli chodzi o młodych, na większą skalę nie zmieni ich decyzji o tym, czy wyjechać, czy tu pozostać.

Anna myśli inaczej niż Zofia. Uważa, że kopalnia może zmienić perspektywę młodych ludzi. Wylicza dobre zarobki, dodatki, pakiety socjalne. Jej wujek pracuje w hucie w Głogowie i niedawno skasował dużą premię. Według niej to wszystko sprawi, że młodzież przestanie wyjeżdżać.

- Ale praca w kopalni to też ryzyko – zwraca uwagę. – Dodatkowo w Lubinie są szkody, pękają ściany, sufity. Jest hałas, a wstrząsy czasem są takie, że obrazy spadają.

23-latka marzy o darmowym transporcie w regionie i o tym, by siatka połączeń się rozrosła. Mówi, że dla lubińskich seniorów jazda autobusem tam i z powrotem jest formą spędzania wolnego czasu. Przemierzają miasto i plotkują.

Ostatnio zapytała siostrzenicę, czego oczekiwałaby w związku z kopalnią. Dziewczynka chodzi do podstawówki i powiedziała całkiem serio, że chce, by w szkolnej toalecie zawsze było mydło, bo czasem go brakuje.

eprasa.pl c1e91c68ff

KONKURS WIENIAWSKIEGO

Skrzypce za miliony nie wygrają. „Różnica jest w umiejętnościach”

Na scenie spotykają się najlepsi młodzi skrzypkowie świata. Jeden dźwięk może zdecydować o ich dalszej drodze. Jednak Konkurs Wieniawskiego to nie tylko walka o zwycięstwo – przekonuje nas wirtuoz Bartłomiej Nizioł, przewodniczący tegorocznego jury. - Nawet przegrany konkurs może być początkiem wielkiej kariery.

FOT. WALDEMAR WYLEGALSKI

Bartłomiej Nizioł, przewodniczący jury na Międzynarodowym Konkursie Skrzypcowym im. H. Wieniawskiego. W 1991 roku zajął na nim I miejsce jako 17-latek

Maciej Szymkowiak

Pamięta pan swój pierwszy Konkurs Wieniawskiego? Jak pan wtedy, jako młody skrzypek, czuł się, wychodząc na scenę?

Oczywiście, bardzo dobrze to pamiętam. To były niesamowite momenty, naprawdę duże wzruszenie, które właściwie są we mnie zakorzenione aż do tej chwili. Czuję się rzeczywiście połączony z naszą Aulą Uniwersytecką w Poznaniu. Pamiętam niesamowite emocje, ale nawet nie tylko związane z samym graniem.

Co prawda urodziłem się w Szczecinie, ale w tym czasie byłem już uczniem liceum muzycznego w Poznaniu. Spędziłem więc w Poznaniu kilka lat i bardzo dobrze mi się w tym mieście mieszkało i działało. Pamiętam ogromne wsparcie poznańskiej publiczności, kolegów, przyjaciół i mojej przyszłej żony.

Czy to było jedno z najbardziej stresujących wystąpień w pana karierze?

Muszę powiedzieć, że nie zostało mi to w pamięci jako ogromny stres, tylko bardziej jako pozytywne przeżycie. To był 1991 r. i miałem ułożony harmonogram działalności w taki sposób, żeby sam udział w Konkursie Wieniawskiego nie był nagłym wydarzeniem. Byłem po prostu dobrze przygotowany do tego konkursu. Brałem wcześniej udział w dwóch innych dużych międzynarodowych konkursach. We wrześniu był konkurs w Adelajdzie, na którym udało mi się wygrać pierwszą nagrodę. Później, w październiku, był duży konkurs w Hanowerze. I właśnie ten konkurs w Hanowerze bardziej kojarzy mi się ze stresem, ponieważ częściowo miałem tam inny program niż na Konkursie Wieniawskiego, a przygotowania trwały właściwie do ostatniej minuty przed występem.

Natomiast w Poznaniu wiedziałem, co mnie czeka. Był to już trzeci duży konkurs w bliskim okresie. Wiedziałem, czego się spodziewać, byłem dobrze przygotowany. Czułem duże wsparcie publiczności, mojej ówczesnej profesor Jadwigi Kaliszewskiej, pianisty, z którym grałem, profesora Tatarskiego, rodziny i przyjaciół. Nie zostało mi to więc w pamięci jako ogromny

eprasa.pl c1e91c68ff

stres, ale bardziej jako ważne wydarzenie w mojej karierze.

Co dziś widzi pan jako juror, czego nie widział pan wtedy jako uczestnik?

To jest zupełnie inny odbiór tego konkursu. Staram się czerpać większą przyjemność z bycia po tej drugiej stronie. Chciałbym zapomnieć o tym, że muszę oceniać. Chciałbym przeżywać te występy bardziej jak koncerty, recitale czy pokazy. Sama ocena jest właściwie takim złem koniecznym, ponieważ wiadomo, że celem konkursu jest wyłonienie zwycięzcy.

Tak naprawdę jednak wszyscy, którzy tam grają, już doszli bardzo daleko. Nie zapominajmy, że to runda finałowa na żywo w Poznaniu, a wcześniej były dwa etapy online. Jako juror bardziej nastawiam się więc na przeżycia artystyczne.

Czy istnieje coś takiego jak pierwsze wrażenie, które pojawia się u jurora? Trzeba się przed nim jakoś bronić, żeby nie skrzywdzić uczestnika, czy raczej czeka pan na cały występ?

Przesłuchaliśmy już 250 uczestników online i wiem, czego się spodziewać. Wśród kandydatów zakwalifikowanych do finału w Poznaniu mamy naprawdę laureatów innych wielkich konkursów skrzypcowych. Mamy wspaniałych artystów, z których niektórzy mają już całkiem spore kariery na różnych rynkach. Wiem więc, czego się spodziewać i nie mam żadnych obaw o poziom.

Myślę, że naprawdę będziemy mieli święto muzyki skrzypcowej. Tego też życzę wszystkim odbiorcom i wszystkim, którzy będą śledzić konkurs, żeby to było takie święto.

Co odróżnia bardzo dobrego skrzypka od artysty wybitnego, który potrafi zachwycić i poruszyć słuchacza?

To jest bardzo ciekawe, bo może być bardzo indywidualne. Każdemu może zaimponować coś innego. Oczywiście my, jurorzy i profesjonalni muzycy, patrzymy na to trochę inaczej, może bardziej dokładnie, analitycznie. Sprawdzamy, czy gra jest czysta, czy jest dobry dźwięk, czy jest ciekawa, ale myślę, że potencjalnego słuchacza, który będzie słuchał transmisji w radiu, online czy jadąc samochodem, może zachwycić zupełnie coś innego. Piękno gry skrzypcowej polega właśnie na tym, że może złapać za serce naprawdę zupełnie przypadkowego słuchacza.

Czyli można być technicznie perfekcyjnym i przegrać z kimś, kto nie ma aż takiej techniki?

Myślę, że tak. Chodzi nam jednak bardziej o emocje niż o takie popisy cyrkowe.

Czy konkurs wyłania więc artystów, którzy najbardziej poruszają, czy również ocenia to, jak ktoś radzi sobie z presją?

Zdecydowanie jest to bardzo duża presja. Przede wszystkim jest to maraton. To naprawdę długi konkurs. Mamy praktycznie cztery etapy, więc trzeba umiejętnie zaplanować siły. Trzeba dawać z siebie wszystko, ale jednak z myślą o tym, że być może jeszcze za dwa tygodnie musimy dać jeszcze więcej. Dobre przygotowanie i dobre wyobrażenie o tym, jak taki konkurs się odbywa, są bardzo ważne. Myślę jednak, że nie mamy tutaj debiutantów. To jest jeden z najważniejszych konkursów na świecie. Przyjeżdża tutaj naprawdę czołówka światowych skrzypków. To nie jest konkurs regionalny.

Jak ocenia pan poziom polskich reprezentantów na tle światowej czołówki?

Myślę, że mamy świetnych reprezentantów i trzymam za nich kciuki. Może trochę nieszczęśliwe było losowanie, że jeden z naszych kandydatów, który również grał na poprzednim konkursie, Wojtek Niedziółka, znakomity skrzypek, będzie grał jako pierwszy. Te pierwsze wykonania są trochę specyficzne, ponieważ wtedy dopiero kształtuje się poziom i jest on trudny do oceniania. Wierzę, że uda mu się przez tę trudność przebrnąć. Trzymam kciuki również za wszystkich pozostałych.

Dostrzega pan różnice w interpretacjach na przestrzeni kolejnych edycji Konkursu Wieniawskiego?

Myślę, że jest więcej fantazji. Przez to, że mamy dostęp do praktycznie wszystkich możliwych wykonań online, na YouTubie można oglądać recitale i występy wszystkich wielkich skrzypków, młodzi skrzypkowie są odważni na tyle, żeby szukać własnej interpretacji. Mam nadzieję, że nie będą się tego bać. Żeby pokazali swoją kreatywność, wyobraźnię, fantazję. Tego właśnie od nich oczekuję.

Pierwsze wykonania są trochę specyficzne, ponieważ wtedy dopiero kształtuje się poziom i jest on trudny do oceniania.
BARTŁOMIEJ NIZIOŁ
przewodniczący tegorocznego jury, skrzypek i pedagog muzyczny

Czy jury ocenia również potencjał artysty: to, jak może się dalej rozwijać jego kariera?

Myślę, że gdzieś w podświadomości to pytanie się pojawia. Natomiast właściwie powinno się oceniać to, co stało się akurat w tym momencie. Gdzieś w podświadomości to jednak jest. Często też bywa tak, że zna się tych kandydatów. Kandydatów można było słuchać podczas różnych festiwali, kursów muzycznych czy innych konkursów. Więc gdzieś w podświadomości istnieje czasami takie życzenie, dobra wola, chęć przekazania pozytywnej energii.

Jakie przełożenie na grę mają skrzypce, z którymi przychodzą uczestnicy? Czy można przegrać przez gorszy instrument?

Oczywiście taki instrument bardzo pomaga, ale nie jest powiedziane, że współcześnie zbudowany instrument czy instrument trochę gorszej klasy przekreśla szanse. Pamiętam to ze swojego doświadczenia. Kiedyś dostęp do instrumentów, do wypożyczalni czy różnych kolekcji był o wiele bardziej skomplikowany.

Pamiętam, że w czasach, kiedy sam brałem udział w konkursach, mieliśmy w Polsce dostęp właściwie tylko do państwowej kolekcji instrumentów, w której brakowało egzemplarzy naprawdę wysokiej klasy. Na konkursach występowałem więc obok uczestników dysponujących znacznie lepszymi instrumentami, a mimo to udawało mi się niwelować te różnice i osiągać porównywalne rezultaty. Instrument na pewno pomaga, ale nie sądzę, żeby jego brak przekreślał szanse. Z tego, co wiem, w Poznaniu będziemy mieli całkiem niezłą kolekcję naprawdę wspaniałych, topowych instrumentów. Będą Stradivariusy, będą Guarneriusy – naprawdę najlepsze instrumenty.

Ile mniej więcej warte są takie skrzypce?

Takie naprawdę topowe instrumenty potrafią być bezcenne. To są już miliony dolarów.

One są ubezpieczone?

Tak, zawsze są ubezpieczone.

Czyli mogą być ubezpieczone na kilka milionów?

Może się tak zdarzyć. Aczkolwiek to nie jest tak, że każdy instrument jest warty miliony.

Pan gra na Guarneriusie.

Tak, z 1727 roku.

Dlaczego akurat ten instrument?

Właściwie to był przypadek. Wcześniej grałem na pożyczonym instrumencie Stradivariusa, zresztą na takim, na którym grał Wieniawski. Przez kilka lat miałem przyjemność na nim grać, dostałem go z pewnej fundacji szwajcarskiej. Później udało mi się poznać jednego z kolekcjonerów, ówczesnego największego kolekcjonera instrumentów. Dał mi ten instrument do użytkowania i gram na nim już 23 lata.

Co się zmieniło w pana grze przez te cztery dekady i więcej? Gra pan przecież od piątego roku życia.

Tak. Aż trudno uwierzyć, że to już tak długo, tyle lat.

Czy wciąż się pan czegoś uczy? Jest przecież takie powiedzenie, że gry na instrumencie człowiek uczy się całe życie.

Dokładnie tak jest. Czyż nie jest tak, że człowiek rozwija się przez całe życie i zawsze jest czas, by odkryć coś nowego, także poza sferą zawodową? A wracając do skrzypiec, ostatnio zacząłem grać na instrumencie ze strunami jelitowymi, przystosowanym do wykonawstwa historycznego. Zrobiłem pierwsze polskie nagranie wszystkich koncertów Feliksa Janiewicza właśnie na skrzypcach ze strunami jelitowymi. Wtedy instrument jest też inaczej strojony. W różnych okresach strój instrumentu był różny. Później ustabilizował się do takiego stroju, który mamy obecnie. Natomiast na początku XIX wieku, pod koniec XVIII wieku, strojenie wyglądało inaczej. Tak więc ciągle uczę się czegoś nowego. Bardzo interesuję się odkrywaniem nowych utworów. Czysto technicznie ten rozwój może nie jest już aż tak duży, natomiast moje zainteresowania muzyczne są ciągle aktywne.

Nie każdy czytelnik zdaje sobie sprawę, ile pracy wymaga gra na skrzypcach.

To trzeba odpowiednio zaplanować. Trzeba zrobić harmonogram pracy, żeby nie przesadzić z ćwiczeniem. Pozycja skrzypka jest dosyć wymagająca. Trzeba trzymać skrzypce w górze, jest też wykręcenie nadgarstka. Mogą pojawić się przeciążenia szyi czy odcinka kręgosłupa. Trzeba uważać, żeby nie zedrzeć sobie skóry z palców. Trzeba więc odpowiednio zaplanować pracę, ale są to godziny codziennej pracy. Ja ćwiczę bardzo regularnie, w zasadzie codziennie. Oczywiście robię sobie przerwy na czas wakacji, bo odpoczynek i regeneracja są niezbędne dla ciała i głowy.

Czy można przegrać Konkurs Wieniawskiego, a mimo to wygrać własną przyszłość w świecie muzycznym?

Można. Podkreślam jeszcze raz, że tutaj już wszyscy są zwycięzcami. Naprawdę. Sam udział w konkursie nie powinien być celem samym w sobie. To jest kolejny stopień do długiej drogi kariery. To taka trampolina. Może być trampoliną dla zwycięzcy, ale może być też kolejnym stopniem dla każdego z uczestników.

Na zakończenie: czy słucha pan tylko muzyki klasycznej, czy również bardziej popularnej?

Muzyki popularnej słucham na co dzień, najczęściej w samochodzie. Często wracam wtedy do muzyki lat 80., która towarzyszyła mi, gdy sam przygotowywałem się do Konkursu Wieniawskiego. Dużo słucham też muzyki klasycznej. Praktycznie codziennie słucham radiowej Dwójki albo jej szwajcarskiego odpowiednika. Do śniadania natomiast słucham raczej jazzu. (śmiech) Wieczorem, po koncercie, przedstawieniu czy całym dniu uczenia, często potrzebuję ciszy.

Bartłomiej Nizioł

Urodził się w 1974 roku w Szczecinie. Naukę gry na skrzypcach rozpoczął w wieku 5 lat.
Absolwent z wyróżnieniem Akademii Muzycznej w Poznaniu pod kierunkiem prof. Jadwigi Kaliszewskiej. Następnie naukę kontynuował pod kierunkiem prof. Pierre'a Amoyala w Conservatoire de Lausanne.
Od blisko czterech dekad koncertuje na całym świecie, występując zarówno jako solista, jak i kameralista. Artysta ma w dorobku ponad 20 albumów. Od 1995 roku na stałe mieszka w Szwajcarii.

eprasa.pl c1e91c68ff

INSTYTUCJA

Fałszywe leki, toksyczna odzież, nielegalne e-papierosy. Wszystko trafia pod lupę ekspertów z laboratorium

Codziennie badają towary, których skład i pochodzenie budzą wątpliwości służb, wykrywają podróbki, niebezpieczne substancje i produkty mogące zagrażać zdrowiu konsumentów. Laboratorium Celno-Skarbowe w Przemyślu od ponad 20 lat stoi na straży bezpieczeństwa rynku, wspierając funkcjonariuszy w walce z oszustwami, nielegalnym handlem i nieuczciwymi praktykami. Choć jego działalność pozostaje mało znana, efekty pracy ekspertów mają realny wpływ na to, jakie produkty trafiają do polskich sklepów i domów

Urszula Sobol

FOT. ARCHIWUM „NOWIN"

Na zdjęciu (od lewej): st. asp. Brygida Starzyk-Fil, mł. rew. Tomasz Gontarz, asp. Monika Krupa, st. rachm. Agnieszka Diawoł-Wodka, asp. Edyta Nowakowska-Swawola, st. rachm. Iwona Walus, st. asp. Magdalena Kurhan, Lucyna Wilk i kom. Krzysztof Góral

Od ponad 20 lat Laboratorium Celno-Skarbowe w Przemyślu pełni niezwykle ważną rolę w systemie kontroli państwa. To właśnie tutaj trafiają próbki towarów budzących wątpliwości funkcjonariuszy Służby Celno-Skarbowej, policji, Straży Granicznej czy innych służb.

Specjaliści badają ich skład, sprawdzają bezpieczeństwo, wykrywają podróbki i pomagają ustalić, jakie cło lub podatek powinny zostać naliczone. Choć dla wielu mieszkańców działalność laboratorium pozostaje mało znana, każdego dnia jego pracownicy mają realny wpływ na bezpieczeństwo konsumentów i ochronę rynku przed nieuczciwymi praktykami.

– Naszą działalność rozpoczęliśmy w 2003 roku. Powstała wtedy sieć laboratoriów na wzór laboratoriów działających w krajach Unii Europejskiej. Nasze laboratorium zostało ulokowane na ścianie wschodniej przede wszystkim po to, aby wzmacniać kontrolę celno-skarbową oraz kontrolę towarów przewożonych przez granicę. Od tego czasu systematycznie rozwijamy zakres naszych badań i kompetencji – wyjaśnia st. asp. Brygida Starzyk-Fil, kierownik Laboratorium Celno-Skarbowego.

Laboratorium w Przemyślu jest jedyną taką jednostką na Podkarpaciu. W strukturach Krajowej Administracji Skarbowej działają jeszcze laboratoria m.in. w Białymstoku, Koroszczynie, Otwocku i Gdyni, jednak to przemyska placówka odpowiada za znaczną część badań wykonywanych na południowo-wschodniej granicy kraju.

– Nowoczesna aparatura badawcza pozwala nam w krótkim czasie uzyskać dokładne informacje o składzie próbki. Dzięki laboratoryjnym analizom możemy ustalić dokładny skład i właściwości produktów, zanim trafią do obrotu. Na tej podstawie można dokonać właściwej klasyfikacji towarowej, a to z kolei decyduje o wysokości cła i podatków – podkreśla podinsp. Krzysztof Niewęgłowski, naczelnik Podkarpackiego Urzędu Celno-Skarbowego w Przemyślu.

I dodaje, że duża część badań koncentruje się na nielegalnych towarach, wykrytych podczas kontroli na granicy czy wewnątrz kraju. – Technologie, z których korzystają nasi analitycy, sprawiają, że możemy wykrywać coraz mniejsze, nawet śladowe ilości narkotyków czy zanieczyszczeń. Wyniki tych badań są bardzo istotne w prowadzonych postępowaniach celnych, podatkowych czy karnych skarbowych – zaznacza podinsp. Krzysztof Niewęgłowski.

Cło, podatki i bezpieczeństwo

Działalność laboratorium dla wielu osób może wydawać się skomplikowana, jednak jej podstawowy cel jest prosty.

– Nasze badania pomagają właściwie sklasyfikować towary, które trafiają do Polski. To od wyników tych badań zależy później między innymi wysokość naliczanego cła czy podatków. Sprawdzamy również, czy produkty nie są podróbkami i czy nie stanowią zagrożenia dla zdrowia konsumentów – opowiada kierownik laboratorium.

Zakres badań jest bardzo szeroki. Specjaliści zajmują się analizą wyrobów akcyzowych, alkoholu, papierosów, e-papierosów, leków, środków ochrony roślin, kosmetyków, odzieży, zabawek, a nawet urządzeń do gier hazardowych.

– W jednym dniu możemy badać alkohol, następnego dnia narkotyki, a kolejnego środki ochrony roślin albo odzież pod kątem bezpieczeństwa. To wymaga ogromnej wiedzy, elastyczności oraz ciągłego podnoszenia kwalifikacji – podkreśla Brygida Starzyk-Fil.

W laboratorium pracują specjaliści z zakresu chemii, biologii, analityki i informatyki. Jak zaznacza kierownik placówki, sama wiedza naukowa nie wystarcza.

– Oprócz kompetencji chemicznych czy biologicznych, nasi funkcjonariusze muszą również znać przepisy celne, podatkowe i akcyzowe. Nieustannie się szkolimy, ponieważ pojawiają się nowe produkty, nowe technologie i nowe zagrożenia – mówi.

E-papierosy pod szczególnym nadzorem

Jedną z grup produktów, które obecnie trafiają do laboratorium wyjątkowo często, są e-papierosy i liquidy.

– W ostatnim czasie bardzo dużą część próbek stanowią właśnie produkty związane z e-papierosami. Sprawdzamy ich skład, zawartość nikotyny oraz zgodność deklaracji producenta

eprasa.pl c1e91c68ff

z rzeczywistą zawartością produktu – stwierdza Brygida Starzyk-Fil.

Jak podkreśla, problem nie polega wyłącznie na kwestiach podatkowych. – To jest również kwestia bezpieczeństwa zdrowotnego. Zdarza się, że rzeczywista zawartość nikotyny odbiega od tej deklarowanej na opakowaniu. Nikotyna jest substancją silnie uzależniającą, dlatego takie badania mają ogromne znaczenie dla ochrony konsumentów – zaznacza.

Laboratorium sprawdza także autentyczność wyrobów i wykrywa produkty, które mogą być nielegalnie wprowadzane do obrotu.

Podróbki leków i preparatów medycznych

Do laboratorium regularnie trafiają również różnego rodzaju farmaceutyki.

– Badamy leki przede wszystkim pod kątem składu. Zdarzało się, że produkty deklarowane jako zawierające określoną substancję czynną w rzeczywistości składały się niemal wyłącznie z wypełniaczy. Analizowaliśmy między innymi preparaty na potencję czy różnego rodzaju środki hormonalne – mówi kierownik laboratorium.

W ostatnich latach coraz częściej analizowane są również produkty wykorzystywane w medycynie estetycznej. – Otrzymujemy do badań między innymi preparaty zawierające kwas hialuronowy czy produkty określane jako botoks. Sprawdzamy, czy rzeczywiście zawierają deklarowane składniki i czy są bezpieczne – wylicza.

Czego nie widać na metce

Jednym z najbardziej zaskakujących obszarów działalności laboratorium są badania odzieży i wyrobów tekstylnych. – Wielu konsumentów zakłada, że informacje umieszczone na metce są zgodne z rzeczywistością. Niestety, nie zawsze tak jest – mówi Brygida Starzyk-Fil.

Pracownicy laboratorium sprawdzają zarówno skład materiałów, jak i obecność niebezpiecznych substancji chemicznych. – Zdarzały się przypadki, że produkt oznaczony jako wełniany po szczegółowej analizie okazywał się zwykłym poliestrem. Co ciekawe, takie nieprawidłowości dotyczyły również znanych marek obecnych na polskim rynku – wyjaśnia.

Jeszcze poważniejsze są przypadki wykrycia szkodliwych substancji. – W badanych ubraniach wykrywaliśmy związki chemiczne mogące powodować alergie, podrażnienia skóry, a nawet substancje uznawane za kancerogenne. Przy długotrwałym kontakcie mogą one stanowić zagrożenie dla zdrowia – ostrzega.

Szczególna troska o najmłodszych

Jednym z priorytetów laboratorium jest kontrola produktów przeznaczonych dla dzieci.

– Szczególną uwagę poświęcamy zabawkom oraz odzieży dziecięcej. Sprawdzamy, czy nie zawierają substancji szkodliwych dla najmłodszych użytkowników – mówi kierownik placówki.

Zdarzało się, że pozornie niegroźne produkty nie spełniały norm bezpieczeństwa.

– Badaliśmy popularne zabawki, które cieszyły się dużym zainteresowaniem dzieci. W niektórych przypadkach wykrywaliśmy bardzo wysokie stężenia substancji szkodliwych. Naszym celem jest to, aby takie produkty nie trafiały do sprzedaży i nie stanowiły zagrożenia dla najmłodszych konsumentów – podkreśla.

Wyniki badań trafiają do instytucji odpowiedzialnych za dalsze działania administracyjne i kontrolne.

Metale ciężkie w codziennych produktach

Laboratorium sprawdza również produkty codziennego użytku. – Badamy między innymi biżuterię, wyroby szklane, suplementy diety czy inne przedmioty mające kontakt z człowiekiem. Analizujemy je pod kątem obecności metali ciężkich, takich jak kadm czy nikiel – wyjaśnia Brygida Starzyk-Fil.

Jak dodaje, wykrycie nieprawidłowości skutkuje zatrzymaniem produktu. – Jeżeli badania wykażą przekroczenia dopuszczalnych norm, sprawa trafia do odpowiednich instytucji. Naszym zadaniem jest wskazanie zagrożenia. Dzięki temu niebezpieczne produkty mogą zostać wycofane z rynku, zanim trafią do konsumentów – tłumaczy.

Tajemnice ukryte w przesyłkach

Praca analityków często przypomina działalność detektywistyczną. Do laboratorium trafiają bowiem substancje, których składu nie sposób określić gołym okiem.

– Otrzymaliśmy kiedyś do badań produkt wyglądający jak zwykły płyn do mycia naczyń. Dopiero szczegółowa analiza wykazała, że w rzeczywistości był to wysoko stężony alkohol etylowy – wspomina kierownik laboratorium.

Innym nietypowym przypadkiem był list zabezpieczony przez służby.

– Po przeprowadzeniu badań okazało się, że znaczki przyklejone do koperty były nasączone substancją psychoaktywną. To pokazuje, jak pomysłowe potrafią być osoby próbujące ominąć przepisy – mówi.

Hazard pod kontrolą

Mało kto wie, że przemyskie laboratorium zajmuje się również badaniem automatów do gier.

– Od 2010 roku prowadzimy także badania urządzeń hazardowych. Sprawdzamy przede wszystkim, czy automat jest urządzeniem losowym, czy zręcznościowym. To niezwykle ważne, ponieważ od wyniku takiej analizy zależy sposób jego legalnego użytkowania – wyjaśnia Brygida Starzyk-Fil.

Jak zaznacza, nielegalny hazard oznacza nie tylko straty dla budżetu państwa, ale także zagrożenie społeczne wynikające z uzależnień.

Ochrona środowiska

Istotnym obszarem działania laboratorium są również środki ochrony roślin. – Kontrolujemy preparaty stosowane w rolnictwie pod kątem bezpieczeństwa środowiska oraz zgodności z przepisami unijnymi. Zdarzały się przypadki wykrywania substancji niedopuszczonych do stosowania w krajach Unii Europejskiej albo występujących w zbyt dużym stężeniu – mówi kierownik laboratorium.

To działalność mająca wpływ nie tylko na rolnictwo, ale także na ochronę wód, gleby i zdrowia konsumentów.

Warto wspomnieć, że przemyskie laboratorium korzysta z nowoczesnej aparatury badawczej finansowanej między innymi ze środków unijnych. Dzięki temu możliwe jest szybkie identyfikowanie nawet bardzo skomplikowanych substancji.

– Dysponujemy sprzętem, który pozwala na bardzo dokładne badania i szybkie uzyskiwanie wyników. W wielu przypadkach nasze analizy są później wykorzystywane w postępowaniach prowadzonych przez organy ścigania i sądy – podkreśla Brygida Starzyk-Fil.

Jednocześnie zaznacza, że nawet najbardziej zaawansowana technologia nie zastąpi wiedzy ekspertów. – Sprzęt jest niezwykle ważny, ale najważniejsi są ludzie. To doświadczenie, wiedza i zaangażowanie naszych pracowników sprawiają, że jesteśmy w stanie skutecznie identyfikować zagrożenia i reagować na zmieniające się realia rynku. Każdego dnia dbamy o to, aby do konsumentów trafiały produkty bezpieczne, zgodne z przepisami i uczciwie oznakowane – podsumowuje kierownik Laboratorium Celno-Skarbowego w Przemyślu.

©℗

Laboratorium Celno-Skarbowe w Przemyślu

Tylko w pierwszej połowie 2026 roku laboratorium przeprowadziło ponad 5,3 tys. specjalistycznych analiz różnych grup towarów. Wyniki badań pokazały, że w blisko 84 proc. zbadanych próbek występowały nieprawidłowości.

FOT. BARBARA GALAS

Urząd odgrywa ważną rolę w wykrywaniu podróbek, niebezpiecznych substancji i produktów niespełniających wymogów bezpieczeństwa

FOT. BARBARA GALAS

Podinsp. Krzysztof Niewęgłowski, naczelnik Podkarpackiego Urzędu Celno-Skarbowego w Przemyślu

FOT. BARBARA GALAS

Analiza mikroskopowa to jedna z metod określających skład surowcowy badanych produktów

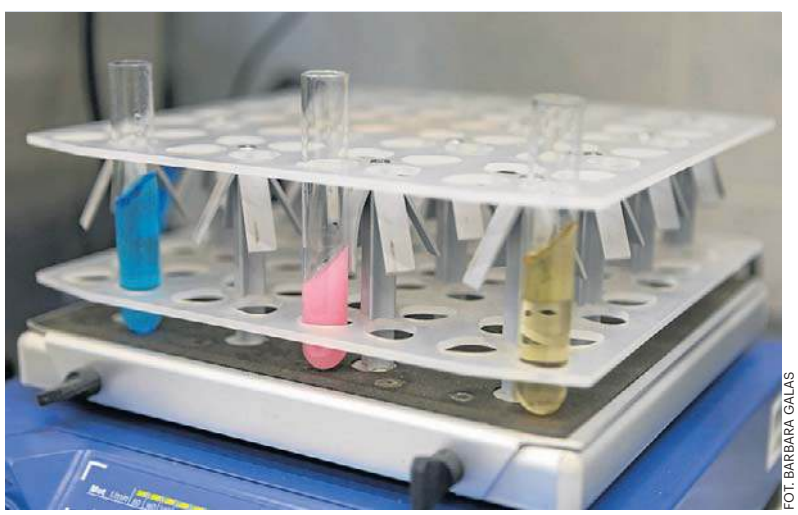

FOT. BARBARA GALAS

Wstępne przygotowanie próbek do dalszych badań laboratoryjnych

eprasa.pl c1e91c68ff

GWIAZDA TYGODNIA

Maria Dębska: Aktorstwo jest dla mnie sposobem na to, by się mniej wstydzić w życiu

Oglądamy ją w kinach jako Kazimierę Wąsowską w „Lalce", a w serwisie streamingowym Sky Showtime w serialu „Pionek". Na premierę czeka poruszający film „Przez ścianę", w którym zagrała główną rolę. Nam zdradza, co sprawia, że ciągle odczuwa wielką radość z pracy na planie

Paweł Gzyl

Według wszelkich badań najchętniej oglądanymi serialami i filmami w serwisach streamingowych są thrillery. Ty też lubisz tego rodzaju opowieści z dreszczykiem?

Kiedyś mniej, teraz dużo bardziej. Może dlatego, że w ciągu ostatnich dwóch lat zrobiłam trzy kryminały. Obecnie lubię dobre thrillery i sprawia mi przyjemność kombinowanie, kto i dlaczego stoi za intrygą. Myślę, że ludzie kochają te gatunki, bo one wyjątkowo silnie związują widza z opowiadaną historią. O ile jest to dobrze skrojone, chcemy się dowiedzieć co będzie w następnym odcinku. Mamy na to swoje scenariusze i ciekawi nas czy mamy rację.

Pierwszą główną rolę w thrillerze zagrałaś dwa lata temu w „Ślebodzie". To była ekranizacja książki autorstwa Małgorzaty i Michała Kuźmińskich. Co znalazłaś ciekawego dla siebie w tej opowieści, że dałaś się wyciągnąć na plan aż w Tatry?

Bardzo ucieszyłam się, że dostałam tę rolę. Castingi trwały długo i od razu wiadomo było, że będzie więcej sezonów niż jeden. Sam projekt wydał mi się ciekawy, a poza tym nigdy nie grałam tego typu bohaterki. Po roli w filmie „Bo we mnie jest seks" dostawałam propozycje wcielenia się w podobne postaci do Kaliny Jędrusik. Nie chciałam się powtarzać, więc bardzo mało grałam, bo odmawiałam. Kiedy pojawiła się „Śleboda", pomyślałam, że ciekawie będzie zagrać introwertyczną dziewczynę, która musi się przełamać, dla której wiele rzeczy, które dla moich poprzednich bohaterek były jak pstryknięcie palcem, jest trudnych. Z bogatym życiem wewnętrznym i jakąś raną w sercu. Szukałam jednak małych momentów, kiedy jej siła dochodzi do głosu. Żeby widz zobaczył jej zmaganie – że chciałaby, ale się boi i wreszcie się odważa. Dopiero jednak w „Pionku" dostałam to, co chciałam: Anka jest bardziej odważna, dużo więcej ryzykuje.

Trudno ci było początkowo wgryźć się w taką introwertyczną postać?

Taka energia w dużej mierze jest mi bliska. Z jednej strony jestem energiczna, potrzebuję ludzi do życia, jestem bardzo społeczną osobą, a z drugiej – dużo we mnie nieśmiałości i zawstydzenia. Aktorstwo jest dla mnie często sposobem na to, by się mniej wstydzić. I tutaj mogłam dotknąć tego w sobie. Bardzo nie lubię się powtarzać i nie kręci mnie granie podobnego typu postaci przez wiele lat. W „Ślebodzie" pracowałam wreszcie na subtelnych nutach.

Anka Serafin to detektyw z przypadku. Bo tak naprawdę jest antropolożką, ale jej wiedza pomaga rozwiązywać kryminalne zagadki. To pewna nowość w tym gatunku. Miało to dla ciebie znaczenie?

Na pewno. Chociaż bardzo chętnie zagrałabym też w pełni profesjonalną policjantkę. (śmiech) Anka, choć w ogóle się o to nie prosi, zostaje wrzucona w sam środek kryminalnej akcji. Ale to interesujące. Wpada do kotła wydarzeń i powoli przejmuje inicjatywę. Zawsze starałam się znaleźć ten moment, kiedy Anka przełamuje się, by mocno zbudować jej przebieg, dlaczego to robi, wchodzi w śledztwo i zaczyna mieć wpływ na bieg akcji.

Na potrzeby „Ślebody" rozpracowałaś już swoją bohaterkę – czy to znaczy, że wchodząc na plan „Pionka", łatwiej ci było stać się Anką Serafin?

To było ciekawe doświadczenie, ponieważ po raz pierwszy grałam tę samą postać, ale w zupełnie nowych okolicznościach. Śmialiśmy się z reżyserem, że dostałam „Ankę po terapii". Miałam bowiem wrażenie, że moja bohaterka pewne rzeczy w sobie wreszcie przerobiła. Minął jakiś czas. Niby pierwsza scena jest podobna: ojciec przekreśla jej plany o wymarzonym wyjeździe za granicę i wysyła ją na Śląsk. Potem jednak Anka bierze sprawy w swoje ręce. Takie przełamanie bohaterki jest bardzo ciekawe: nagle zaskakuje siebie i widza – i ryzykuje.

Tym razem Anka trafia na Śląsk i jest to znacznie mroczniejsza sceneria niż Tatry. Jak się tam czułaś?

Kręciłam już wcześniej kilka razy na Śląsku, ale tym razem miałam okazję zanurzyć się w jego klimat głębiej. I zachwyciłam się nim: z jednej strony jest bardzo nowoczesny, a z drugiej – blisko tradycji. Momentami mroczny, a kiedy indziej jakby baśniowy. Dlatego uważam, że to lepsze miejsce na kryminał niż Tatry, choć góry też miały swój urok.

I tym razem życie prywatne Anki mocno splata się z kryminalną intrygą. Takie ustawienie tej opowieści było dla ciebie atrakcyjne pod kątem aktorskim?

Tak. Staraliśmy się to trochę podkręcić. Anka doszła do momentu, w którym woli żałować, że coś zrobiła, niż nie robić nic i żałować, że się wycofała. Nawet jeśli się pomyli, chce działać. W efekcie dzieje się coś zaskakującego – kompletnie traci głowę dla chłopaka, z którym chyba nigdy byśmy jej nie połączyli. Nagle okazuje się, że Ankę zachwyca coś, czego ona nie ma i bardzo ją to uwodzi. Na początku nie zdaje sobie sprawy, że pójdzie za tym impulsem. Kiedy spotyka się pierwszy raz z Gerardem, myśli: „Nie chcę czuć, więc przeżyję coś mocnego, może w ten sposób stłumię swój ból". Ale potem on naprawdę zaczyna ją fascynować i Anka, nie tracąc nic ze swej delikatności, staje się postacią sprawczą, bo podejmuje decyzje. To było dla mnie tutaj najciekawsze. Że instynkt wyprzedza naszą głowę, a my za tym idziemy.

A nie masz wrażenia, że Anka zakochuje się w tym śląskim „bad boyu", aby zrobić na złość ojcu?

Być może chce samej sobie pokazać, nawet w taki trochę nastoletni sposób, że nie pozwoli się ojcu upupić. Uważam, że zachowuje się tak, bo coś się w niej przelało i robi to dla siebie.

Między tobą a Mateuszem Rozwadowskim faktycznie iskrzy na ekranie. Jak się uzyskuje taką przysłowiową „chemię"?

To było spore wyzwanie, bo nie znaliśmy się wcześniej. Mateusz był trochę „nowy w klasie", bo my z większością ekipy i twórców znaliśmy się z pierwszego sezonu. To nigdy nie jest łatwe, ale poradził sobie wspaniale. Jesteśmy Mateuszem po łódzkiej filmówce, więc mieliśmy sporo wspólnych tematów na start. Myślę, że dość szybko sobie zaufaliśmy i bardzo dobrze się nam pracowało.

Anka tworzy również barwną parę z Bastianem, a ich relacja ma momentami nawet komediowy charakter. Dobrze bawiliście się z Maćkiem Musiałem we wspólnych scenach?

Uwielbiam Maćka, znamy się dobrze, więc to była przyjemność. W „Ślebodzie" jego Bastian był tym kimś motywującym do odważnego śledztwa, działającym szybciej niż pomyśli. Tymczasem w „Pionku" nagle role trochę się odwracają i to Anka zaczyna przeć do przodu.

Anka musi stanąć na Śląsku twarzą w twarz z seryjnym zabójcą – wampirem z Szombierek. Grając te sceny z Łukaszem Simlatem, inspirowaliście się trochę pamiętnymi scenami z „Milczenia owiec"?

Anka, opętana uczuciem do Gerarda, zaczyna podejrzewać, że to on może stać za nowymi morderstwami. Decyduje się więc na wizytę u Pionka, aby upewnić się, że to nie on jest naśladowcą wampira z Szombierek. Bardzo się cieszyłam na to spotkanie, bo zawsze chciałam zagrać z Łukaszem. To nie były łatwe sceny, ale świetnie się nam razem pracowało.

Anka Serafin to pierwszoplanowa bohaterka „Ślebody" i „Pionka". Lubisz, kiedy w serialu lub w filmie to na tobie spoczywa prowadzenie całej akcji?

Lubię. Choć umiem się też znaleźć w innych okolicznościach, kiedy jestem na drugim planie. Grając główne role, nie stresuję się tą większą odpowiedzialność. Odbieram to raczej jako cudowny i motywujący ciężar.

A jak podchodzisz do roli drugoplanowej – czyli takiej, jaką grasz teraz w „Lalce"?

Kazimiera Wąsowska była moją ulubioną postacią powieści Prusa, więc to była ogromna przyjemność ją zagrać. Drugoplanowe role bywają często dużo wdzięczniejsze dla aktorów. Kazia jest mięsista, intensywna, wyrazista. Dostałam więc fantastyczny materiał w scenariuszu.

Powiedziałaś o niej w jednym z wywiadów, że jest „wyemancypowaną, współczesną kobietą". Odpowiadał ci taki rys tej bohaterki?

Wąsowska jest antagonistką swoich czasów, zna rządzące nimi zasady i potrafi być panią swego losu. Żyje pełnią życia, zmienia kochanków jak rękawiczki i imprezuje na całego. Najciekawsze było jednak dla mnie to, że w pewnym momencie następuje w niej pęknięcie – jest niezależna, nad wszystkim panuje, ale nagle niespodziewanie się zakochuje i traci głowę dla Wokulskiego.

Myślisz, że taka postać będzie bliska współczesnym kobietom?

Na pewno. To najbardziej współczesna postać w „Lalce". Jest tak napisana przez Prusa, że jej kwestie z książki, można by włożyć w usta współczesnym postaciom.

Twoim partnerem w roli Wokulskiego jest „nasz człowiek w Hollywood" – czyli Marcin Dorociński. Jak wspominasz waszą współpracę?

Wspaniale. To była ogromna przyjemność. Kiedy pierwszy raz przeczytałam scenę, w której Wąsowska ściga się konno z Wokulskim i wygrywa, pomyślałam: „Och, trzeba będzie być twardą partnerką dla tego zawodnika". (śmiech) Szybko się zrozumieliśmy z Marcinem, czułam, że możemy sobie wszystko powiedzieć i wspólnie bawić się budowaniem relacji naszych bohaterów.

Największe emocje budzi na pewno wspomniana

eprasa.pl c1e91c68ff

scena wyścigu konnego Wąsowskiej z Wokulskim. Jak sobie w niej poradziłaś?

Chciałam zagrać ją sama, ale nie było to możliwe, bo nie mogliśmy jeździć w kaskach. Taki galop, a momentami wręcz cwał, byłby bez kasku zbyt niebezpieczny. Trochę więc pomogli nam dublerzy, ale większość zagraliśmy jednak sami. Dwa miesiące przed rozpoczęciem zdjęć zaczęłam trenować jazdę konną i absolutnie się w niej zakochałam. Cieszę się, że dostałam taką szansę i mogłam nauczyć się czegoś nowego.

Kinowa „Lalka" ma wyjątkowo gwiazdorską obsadę. Miało to wpływ na atmosferę pracy na planie?

Czułam, że powstaje coś wyjątkowego. Kilka moim marzeń odnośnie aktorskich spotkań, zostało na tym planie spełnionych. Kiedy tuż przed rozpoczęciem zdjęć zobaczyłam listę obsady, poczułam czystą wdzięczność. Bo człowiek ciągle pracuje, nieustannie pędzi, skupia się na kolejnym zadaniu, a tu dzieje się coś, co jest naprawdę magiczne.

Wiedzieliście, że powstaje również serial na podstawie „Lalki". Rozmawialiście o tym na planie?

Wiedzieliśmy, ale za bardzo o tym nie rozmawialiśmy. Skupialiśmy się na naszym zadaniu.

W serialu „Lalka" rolę Wąsowskiej gra Magda Cielecka. Miałaś już okazję zobaczyć jej wersję swojej bohaterki?

Jestem wzruszona i zaszczycona, że gram tę samą bohaterkę co Magda. Bo uwielbiam ją! Kiedy przez ostatnie miesiące wpadałyśmy na siebie na mieście, zawsze padało: „Kazia, to ty?". (śmiech) I oczywiście mam zamiar zobaczyć niebawem serial z Magdą.

Ponoć rola w klasycznym kostiumowym filmie to marzenie każdej aktorki. Rzeczywiście to coś wyjątkowego?

Kocham historyczne kino i uwielbiam grać w kostiumie. Kiedy kończyłam szkołę aktorską, marzyłam o tym, aby grać w teatrze w klasycznych sztukach. Bardzo dobrze się w tym czułam – w Czechowie czy w Dostojewskim. Potem zdarzyło mi się kilka razy grać w historycznych filmach i za każdym razem miałam z tego wręcz dziecięcą radość.

Na niedawnym festiwalu w Gdyni Złote Lwy zdobył inny film z tobą w roli głównej - „Przez ścianę". Tym razem musiałaś się przenieść do czasów stalinowskich. To była wyjątkowo mroczna podróż?

FOT. FOT. HARRY LIVINGSTONE / MAT. PRAS.

Maria Dębska: Kocham historyczne kino i uwielbiam grać w kostiumie. Kiedy kończyłam szkołę aktorską, marzyłam o tym, aby grać w teatrze w klasycznych sztukach

Tylko w małej części. Reżyser Maciek Sobieszczański zaproponował mi tę rolę na długo zanim odbyły się zdjęcia. Kiedy poznałam tę historię, byłam niesamowicie poruszona i za każdym razem, gdy później czytałam scenariusz w całości, nie mogłam powstrzymać łez wzruszenia. To, że miłość rodzi się w stalinowskim więzieniu i ratuje ludzi przed poddaniem się złu, sprawia, że ten film zamienia się we wręcz laboratoryjny ekstrakt miłości. Aż trudno uwierzyć, że w miejscu, gdzie było tyle cierpienia i śmierci, naprawdę wydarzyło się coś takiego. Nasz film jest oparty na autentycznej historii Wiesławy Pajdak i Jerzego Śmiechowskiego, osadzonych w więzieniu przy Rakowieckiej w Warszawie. I tam pojawia się coś takiego. To wprost niewiarygodne, że to prawdziwa historia. Nie jest to więc film, który pokazuje ciężką stalinowską rzeczywistość, ale raczej opowieść o wolności i miłości. Dlatego ta rola była spełnieniem moich marzeń.

Co znalazłaś bliskiego sobie w dziewczynie, żyjącej w zupełnie innym świecie i w innych czasach?

Wiesia była więźniem politycznym, wielokrotnie próbowano ją złamać, torturowano, doświadczała strasznych rzeczy. Miała jednak kręgosłup moralny, którego nie dało się złamać. Patrzę więc na nią z szacunkiem i podziwem. Jeśli chodzi o mnie, na pewno tak jak Wiesia potrzebuję jak tlenu drugiego człowieka do życia. Złości mnie też niesprawiedliwość i nie mam na nią zgody. Historie, z którymi rezonuje „Przez ścianę", chodziły za mną od dawna. Jednym z moich ukochanych filmów jest „Przesłuchanie" Ryszarda Bugajskiego, które rozłożyłam w szkole filmowej na części pierwsze i pracowałam na zajęciach nad pochodzącymi zeń scenami. W moim spektaklu dyplomowym grałam tytułową rolę w „Marii Stuart". To opowieść o królowej Szkocji, uwięzionej przez swoją siostrę i skazanej na śmierć, z podniesioną głową czekającą na wykonanie wyroku. „Przez ścianę" to dla mnie opowieść o jednostce, która potrafi się przeciwstawić złu miłością i dzięki temu udaje jej się przetrwać.

Twoja bohaterka zostaje osadzona w więzieniu i nawiązuje kontakt z innym więźniem za pomocą alfabetu Morse'a. W efekcie z czasem zakochują się w sobie. Jak to możliwe?

Dzisiaj ludzie porozumiewają się e-mailami i SMS-ami – i też potrafią się w sobie zakochać. Oczywiście widzą swoje zdjęcia, ale też nie mają osobistego kontaktu. Pomiędzy bohaterami naszego filmu narodziło się naprawdę głębokie uczucie. Przez ścianę się poznali, pokochali i zaręczyli. Potem wzięli ślub w więzieniu, a po jego opuszczeniu, byli ze sobą razem przez pół wieku aż do śmierci.

Twoim partnerem w tym filmie jest Jakub Gierszał. Trudno było wam zagrać narodziny miłości przez ścianę?

To było dla nas duże wyzwanie. Opowiadamy bowiem tę historię poprzez moją bohaterkę – i widz nie widzi Jurka przez długi czas. Zobaczy go dopiero wtedy, kiedy zobaczę go ja, czyli Wiesia. Mieliśmy więc z Kubą bardzo mało wspólnych scen. Wspaniałe jednak było to, że podczas kręcenia tych sekwencji, w których stukam w ścianę alfabetem Morse'a, Kuba przyjeżdżał na plan na Śląsk, siadał obok kamery, stukał do mnie naprawdę i szeptał. To było bezcenne i cieszę się, że reżyser i produkcja wymyślili to tak, że choć filmowego Jurka nie widać w kadrze, to jednak cały czas był ze mną.

Wiesia przechodzi w więzieniu wycieńczające tortury. Jak poradziłaś sobie z tą rolą od strony fizycznej?

Zdjęcia zostały podzielone na dwie części. W pierwszej Wiesia przychodzi do więzienia zdrowa i silna, musiałam więc trochę przytyć. Potem dostałam cztery miesiące na schudnięcie. Nie pracowałam w tej przerwie nad innymi projektami, byłam całkowicie skupiona na przygotowaniach do „Przez ścianę". Schudłam sześć czy siedem kilo - i pomogło mi to w budowaniu drugiej części podróży Wiesi. Czułam się słaba, zirytowana, jakby za szybą. Do tego kręciliśmy w opuszczonych więzieniach, często wiele godzin spędzałam w ciemnych i zimnych pomieszczeniach. Co ciekawe: to przy tym filmie po raz pierwszy zapytano mnie czy potrzebuję pomocy psychologicznej. Są tu mocne sceny przemocy i koordynatorka scen intymnych, Marta Zygadło, powiedziała mi: „Twoje ciało myśli, że to prawda. Nawet jeśli ktoś uderza cię pałką ze styropianu". Zadbałam więc o siebie od tej strony – i to było super.

Zagranie w takiej mrocznej historii na pewno było trudnym doświadczeniem. Trudno ci było zostawić ją za sobą?

Spędzaliśmy na planie wiele godzin w ciemności, dlatego mieliśmy zalecenie, aby wychodzić co jakiś czas na słońce, żeby nie zwariować. Nigdy wcześniej nie weszłam tak głęboko w żadną rolę, przez osiem miesięcy robiłam tylko ten film. Mam jednak poczucie, że tym razem bardzo się sobą zaopiekowałam. Choć na pewno bardzo dużo mnie to kosztowało. Zostawiłam na tym planie całe serce. Dużo zawdzięczam Maćkowi Sobieszczańskiemu. Po zakończeniu zdjęć, powiedziałam mu: „Czuję, że mogę skoczyć w przepaść, bo wiem, że mnie złapiesz". Bo tak naprawdę się czułam. Poza tym, wszystkich nas niosła miłość, która wypełnia każdy kadr tego filmu.

Właściwie każda twoja rola jest inna. Wcielasz się w różne bohaterki w różnych czasach. Rozwijasz się przez to jako aktorka?

Uwielbiam tę zmienność. Przychodzą do mnie różne propozycje. Czasem nie przychodzą żadne. I to bardzo długo. Czasem takie, których nie czuję. Zdarza się, że nie chcę wchodzić w jakiś projekt, bo wiem, że już zagrałam coś bardzo podobnego i to kilka razy. Nie chcę się powtarzać, w każdej roli szukam czegoś nowego. To ogromne szczęście, że mam teraz trzy tak różniące się od siebie projekty. To kumulacja premier, nad którymi pracowałam przez ostatnie dwa lata.

W jednym z wywiadów powiedziałaś: „Wciąż mam ogromną, dziecięcą frajdę z grania, umiem się tym bawić". Co sprawia, że zachowujesz taką radość z pracy?

Na pewno to, że właściwie do każdego projektu muszę się nauczyć czegoś nowego. Na potrzeby „Lalki" zaczęłam jeździć konno. Zagrałam też na fortepianie „Etiudę rewolucyjną" Chopina, do której musiałam ćwiczyć wcześniej przez cztery miesiące. Do „Przez ścianę" nauczyłam się z kolei alfabetu Morse'a, musiałam się też mocno wyciszyć, była to więc ciekawa szkoła bycia samej z sobą. Często robię sobie też przerwy w pracy, żeby czytać, oglądać, inspirować się i żeby po prostu pożyć. Nawet, jeśli boję się, że nie nadejdą kolejne propozycje. Bo życie samo w sobie bywa ciekawsze niż film.

eprasa.pl c1e91c68ff

HISTORIA

SCREEN Z FILMU „STAWKA WIĘKSZA NIŻ ŻYCIE"

Mieczysław Stoor jako Sturmführer Stedtke w „Stawce większej niż życie"

Jego umowę z teatrem w Rzeszowie kazał rozwiązać minister kultury

„Pod maską silnego człowieka skrywał wrażliwość i miłość do aktorstwa" – napisano po tragicznej śmierci Mieczysława Stoora. Aktor żył tylko 44 lata. W początkach pracy scenicznej występował na deskach rzeszowskiego teatru

Cezary Kassak

W październikową niedzielę 1973 roku prezentowano w telewizji aktualne wydanie Polskiej Kroniki Filmowej. Można tam było zobaczyć Mieczysława Stoora w trakcie prac społecznych na Wisłostradzie. Energicznie machał łopatą, uśmiechając się od ucha do ucha. Jednak w dniu emisji kroniki ten znany aktor niestety już nie żył.

Zmarł 5 października 1973 roku w Kraśniku, dokąd przyjechał na zdjęcia do filmu „Gniazdo". Szczegółowe okoliczności i przyczyny jego nagłej śmierci stały się pożywką dla różnych plotek, domysłów. Według najczęściej powtarzanej wersji Mieczysław Stoor zatruł się tlenkiem węgla (czadem). Na jego nagrobku na Powązkach umieszczono błędne daty. Jako miesiąc urodzin, zamiast września, podano październik, z kolei w dacie śmierci – listopad zamiast października.

Żył tylko 44 lata, mimo to zdążył zagrać w ponad 50 filmach i serialach. Pamiętamy go m.in. jako Sturmführera Stedtke w „Stawce większej niż życie", wachmistrza Kalitę w serialu „Czterej pancerni i pies" czy Sitarza w „Czarnych chmurach".

Zdobył też uznanie publiczności teatralnej, a pierwszą sceną, w której pracował na etacie, był Państwowy Teatr Ziemi Rzeszowskiej, dziś Teatr im. Wandy Siemaszkowej.

„Nowiny": „Nieprzeciętny talent"

Mieczysław Stoor przyjechał do Rzeszowa w 1953 roku, jako świeżo upieczony absolwent ówczesnej Państwowej Wyższej Szkoły Aktorskiej w Łodzi. Razem z nim angaż w rzeszowskim teatrze otrzymało dziewięcioro innych absolwentów łódzkiej uczelni (tzw. „Grupa 10"). Byli wśród nich znani później nie tylko z teatru, ale i z filmów Teresa Szmigielówna oraz Bogusław Sochnacki.

Mieczysław Stoor na rzeszowskiej scenie zadebiutował rolą Juraszka w „Domku z kart". Później można go było oglądać w „rewolucyjnej" sztuce „Jak hartowała się stal".

Ignacy Wirski odnotował w „Nowinach Rzeszowskich": „Odtwórca roli Pawki Korczagina (Mieczysław Stoor) wykazuje swój nieprzeciętny talent". Mniej spodobał się Stoor jako Świstak w „Fircyku w zalotach". Recenzent Edmund Gajewski ocenił, że początkujący aktor sposobem grania, gestami i mimiką za bardzo przypominał tu siebie w swoich poprzednich rolach. Na rzeszowskiej scenie Stoor wcielił się jeszcze w postać porucznika de la Coterie w „Zabawnym zdarzeniu".

Mieszkał w bloku przy obecnej ul. Hetmańskiej

W tym czasie wynajmował – należące do teatru – mieszkanie przy ul. Obrońców Stalingradu (dziś ul. Hetmańska). Na umowie najmu, podpisanej w lipcu 1953 roku, brak dokładniejszego adresu. Być może mieszkanie to mieściło się w bloku numer 16. Wiadomo bowiem, że w tym bloku teatr dysponował mieszkaniem lub mieszkaniami. Tutaj lokum wynajmowała np. koleżanka Stoora z teatru, wspomniana Teresa Szmigielówna. W tamtych siermiężnych czasach, kiedy niedoinwestowany rzeszowski teatr był w bardzo trudnej sytuacji materialnej i borykał się m.in. z deficytem mieszkań dla aktorów, jeden lokal zwykle wynajmowano kilku osobom.

Wolny czas w mieście nad Wisłokiem Stoor spędzał z reguły w gronie kolegów z teatru. Poznał też środowisko dziennikarskie. We wstępie do książki Juliana Woźniaka „Byłem przy tym..." Witold Szymczyk wspomina: „My – grupa młodych dziennikarzy, przybyłych po studiach w Warszawie i Krakowie – mieliśmy wówczas bliskie kontakty z równie młodymi aktorami, którzy całą gromadą po ukończeniu PWST w Łodzi zasilili rzeszowski teatr. Po spektaklach spotykaliśmy się w »Jutrzence« lub »Rzeszowskiej«, dyskutując zawzięcie o wszystkim. Restauracje zamykano wtedy – jak na nasze wymagania – zbyt wcześnie, często zatem zapraszaliśmy aktorów na »ciąg dalszy« do siebie, do hotelu naprzeciw dworca PKP, gdzie zajmowaliśmy kilka »apartamentów«. (...) Z teatru przychodzili m.in. Zbigniew Wójcik, Teresa Szmigielówna, Irena Chudzikówna, Mieczysław Stoor (...)".

Już wtedy grywał w filmach

Wyczerpujące, czasochłonne wyjazdy na występy w terenie, brak stabilizacji mieszkaniowej czy rozłąka z rodziną powodowały, że aktorzy z „Grupy 10" w większości szybko rezygnowali z pracy w Państwowym Teatrze Ziemi Rzeszowskiej. Prośbę o zwolnienie złożył też Mieczysław Stoor. Postanowił z dniem 1 września 1954 roku przenieść się do Państwowego Teatru Ludowego w Warszawie.

Można domniemywać, że w jego przypadku chęć wyjazdu do stolicy była podyktowana m.in. pragnieniem rozwijania współpracy z kinematografią. Podczas pobytu w Rzeszowie Stoor podawał w ankiecie personalnej, że jego drugim miejscem pracy jest Przedsiębiorstwo Państwowe Film Polski, czyli działający w pierwszych latach po wojnie monopolista w kwestii produkcji czy dystrybucji filmów. Na ekranie Stoor zadebiutował rolą zdeprawowanego przez wojnę i przechodzącego później przemianę chłopca Marka w filmie „Piątka z ulicy Barskiej", nakręconym w 1953 r.

Decyzja samego ministra kultury

Fakt, że kolejny zdolny aktor wypowiada pracę, dyrekcji rzeszowskiego teatru był oczywiście nie na rękę. Starano się zresztą zatrzymać Stoora jak najdłużej, tym bardziej że był obsadzony w minimum jednej sztuce, która nie zeszła z afisza.

W oddziale Archiwum Państwowego w Rzeszowie, w aktach Stoora, znajduje się dzisiaj pismo, które aktor otrzymał w tej sprawie od dyrektora rzeszowskiej sceny, Ireneusza Pączkiewicza. „Dyrekcja postanawia nie rezygnować z Waszej współpracy w zespole artystycznym. Jednocześnie zawiadamiamy Was, że sztuki, w których Obywatel bierze udział, są nie wygrane i nadal aktualne na jesień br." – przypomniał Pączkiewicz w liście datowanym na 31 sierpnia 1954 r.

Kontrolę nad teatrami sprawowała wtedy instytucja pod nazwą Centralny Zarząd Teatrów, Oper i Filharmonii, działająca w strukturach Ministerstwa Kultury i Sztuki. I to minister Włodzimierz Sokorski podjął decyzję, że Mieczysław Stoor od września ma pracować w teatrze w Warszawie, a jego umowa z Państwowym Teatrem Ziemi Rzeszowskiej – zgodnie z życzeniem aktora – zostaje rozwiązana 31 sierpnia. Z Rzeszowem Stoor był więc związany tylko przez nieco ponad rok (od 1 lipca 1953).

„Ciepło i autentyczna pasja życia"

Mieczysław Stoor urodził się 5 września 1929 roku w Bojanowie koło Rawicza. Do 1939 r. ukończył trzy klasy szkoły powszechnej. W czasie okupacji niemieckiej był młodocianym pomocnikiem w warsztacie ślusarskim. Po wojnie zdał maturę w szkole średniej w Górze, a potem – jak już wiemy – został absolwentem uczelni aktorskiej w Łodzi.

W teatrze grywał już jako student, najpierw na deskach Teatru im. Wojciecha Bogusławskiego w Kaliszu, później w łódzkim Teatrze Powszechnym. Najdłużej występował w Warszawie, w teatrach: Ludowym, Domu Wojska Polskiego, Dramatycznym i Polskim. Zagrał również w kilkudziesięciu spektaklach Teatru Telewizji. Pod koniec lat 50. współtworzył Kabaret Koń.

Informując w październiku 1973 roku o śmierci Mieczysława Stoora, tygodnik „Film" napisał: „Odszedł aktor niezwykle popularny i lubiany przez wszystkich, aczkolwiek w swojej bogatej karierze filmowej grywał przeważnie bohaterów negatywnych. Tylko że jego »czarni bohaterowie« nigdy nie byli tak do końca źli. Było w nich ciepło i autentyczna pasja życia. Pod maską »mocnego człowieka«, jaką zwykle przybierał na ekranie, skrywał wrażliwość i ogromną miłość teatru, aktorstwa, sztuki".

Prywatnie był mężem Barbary, z którą miał syna Kamila. Syn aktorem nie został, ale zapisał się w historii polskiego punk rocka. Był współzałożycielem i perkusistą pionierskich w naszym kraju grup punkowych, takich jak The Boors, Kryzys i Deuter.

©℗

eprasa.pl c1e91c68ff

HISTORIA

Señor Zorro pozdrawia z hiszpańskiej Kalifornii

Pierwszy odcinek serialu „Zorro" obejrzało 10 października 1957 roku w telewizji ABC ponad 15 milionów Amerykanów. Potem liczba widzów tylko rosła

Mariusz Grabowski

Guy Williams z zabójczym wąsikiem jest jednym z najbardziej znanych filmowych Zorro

FOT. COURTESY EVERETT COLLECTION/EVERETT COLLECTION/EAST NEWS

Serial przyciągał nie tylko wartką akcją. Przypominał też, że Kalifornia byłą ongiś hiszpańska, a pierwowzorem głównego bohatera był kalifornijski banita Joaquin Murrieta z czasów XIX-wiecznej gorączki złota w San Francisco.

Historyczne tropy

Aby zrozumieć tło ekranowe przygód Zorro, trzeba przeprowadzić kilka krótkich śledztw. Pierwsze na temat ABC, stacji-matki, która wyprodukowała serial, drugie na temat pierwowzoru jego głównego bohatera, trzecie o historii Nueva España, czyli Nowej Hiszpanii w Ameryce.

W 1957 roku American Broadcasting Company, jedna z trzech głównych amerykańskich potęg telewizyjnych, należała do koncernu United Paramount Theatres, zachowując – jak twierdzi Anthony Smith w opasłym tomie „Television. An International History" – dużą „swobodę finansową, programową i organizacyjną".

Jednym ze sposobów na przyciągnięcie publiki przez ABC były popularne seriale westernowe. Smith podaje, że w 1956 r. liczba teleodbiorników w Stanach wynosiła już 36 mln (dla porównania: w całej Europie niespełna 5 mln), zatem było o co konkurować. „Zorro" miał wykraczać poza zwykłą masówkę. Miał być serialem familijnym, nadawanym przed południem, z krótkimi, 30-minutowymi odcinkami o przesłaniu umoralniającym.

Odwoływanie się do hiszpańskiej tradycji nie było przypadkowe. Szef ABC Edward J. Noble i jego ówczesny przełożony z UTP Leonard H. Goldenson w ramach zawodowych relacji często polowali na kaczki w dolinie Sacramento. Taki był model rozrywki telewizyjnych bossów z nowojorskich elit. I to tam wpadł im do głowy pomysł stworzenia serialu o hiszpańskim herosie sprzed wieków.

Z bandyty – bon vivant

Pamięć o hiszpańszczyźnie jest dziś w Kalifornii starannie pielęgnowana. Podobnie jak legendy o postaci Joaquína Murietty, zaoceanicznym odpowiedniku słowackiego Janosika. Prawdopodobnie był to drobny koniokrad, ale gdy zebrał bandę, przypisano mu z czasem kilka zabójstw. Gdy zaszedł ludziom za skórę, wytropił go jeden z kalifornijskich rangerów – łowców głów – i zastrzelił mniej więcej w 1850 r. Działo się to w czasach, gdy Kalifornia była już amerykańska.

Głowy Murietty i jego najbliższego druha Trzypalczastego Jacka odcięto, wsadzono do słojów i zalano whisky. Można je było później oglądać za dolara na jarmarkach i w gabinetach osobliwości. Ich bandycka sława z czasem tylko rosła, a po ukazaniu się w 1854 r. powieści Johna Ridge'a „The Life and Adventures of Joaquín Murieta: The Celebrated California Bandit" stali się prawdziwą legendą.

Armia pracujących dla ABC scenarzystów (Smith podaje, że nad fabułą pierwszego odcinka „Zorro" biedziło się ich 15) dokonała prawdziwego cudu. Nie tylko przesunęli akcję o kilka dekad wstecz, ale z nienawidzącego Ameryki i Amerykanów meksykańskiego bandziora stworzyli wyrafinowanego hiszpańskiego szlachcica don Diego de la Vegę – naszego „Zorro". A ściślej mówiąc, ukradli – co czym później.

Sielski świat Californios

Czas na śledztwo historyczne i pytanie: jak Diego de la Vega znalazł się w Los Angeles w Nowej Hiszpanii? Był potomkiem Hiszpanów, którzy odkryli ten kawałek świata w poł. XVI wieku. Akcja „Zorro" dzieje się na przełomie XVII i XIX w. Z serialu dowiadujemy się, że don Diego wrócił właśnie ze studiów w Hiszpanii, co dowodzi, że komunikacja między metropolią a jej kolonią funkcjonowała jeszcze wówczas w najlepsze.

Elitę społeczną i polityczną Kalifornii stanowili tzw. Californios – hiszpańskojęzyczni potomkowie osadników z czasów kolonialnych, którzy posiadali gigantyczne majątki ziemskie nadawane przez rząd (tzw. ranchos). Hodowali na nich wielkie stada bydła. Znacznie niżej byli meksykańscy rzemieślnicy i robotnicy pracujący w tzw. pueblos lub jako nadzorcy na ranczach. Na samym dnie znajdowali się chłopi (peones) i rdzenna ludność, czyli Indianie, nierzadko zmuszani do niewolniczej lub półniewolniczej pracy na rzecz Californios. Na terenie Kalifornii istniała sieć franciszkańskich misji – centrów administracyjno-religijnych. Rządzili nimi mianowani przez hiszpańską Koronę gubernatorzy.

Sielski świat don Diego skończył się w 1821 r., gdy w wyniku powstania przeciwko hiszpańskiej władzy Kalifornia stała się częścią niepodległego Meksyku i pozostała nią przez 25 lat. Potem na wszystkim położyli łapę Amerykanie. Już w 1850 r. Kalifornia przystąpiła do Unii jako 31 stan. Niewykluczone, że sędziwy don Diego de la Vega mógł o tym przeczytać w gazecie, pijąc wino na patio swojej hacjendy.

„Zorro" znaczy „lis"

W latach 1957-1961 powstało 78 odcinków serialu (plus 4 specjalne). Ich fabuły były uproszczone do minimum. Don Diego (grany przez Guya Williamsa z zabójczym wąsikiem), w dzień złoty młodzian i birbant, w nocy staje się mścicielem w pelerynie i z maską na twarzy, który wymierza kary nikczemnikom i wybawia uciśnionych. Pomagają mu służący Bernardo i wyjątkowo bystry koń Tornado. Postacią humorystyczną jest sierżant Garcia, opilec i obżartuch, ale o złotym sercu.

Jego wrogiem jest zaś kapitan Monastario, przedstawiciel administracji kolonialnej, który już w pierwszym odcinku chce zniszczyć don Nacho Torresa, właściciela ziemskiego, niesłusznie oskarżonego o zdradę. Co ciekawe, Zorro nie działa z pobudek klasowych – większość serialowych intryg rozgrywa się w sferze hacendados – bogatych posiadaczy ziemskich – ale z poczucia sprawiedliwości.

Universum serialu jest głęboko zakorzenione w hiszpańskiej kulturze i tradycji. Przykładowo: Zorro zręcznie wywija rapierem, co jest bezpośrednim nawiązaniem do hiszpańskiej szkoły szermierki, zwanej La Verdadera Destreza. A jego czarna peleryna oraz kapelusz typu cordobés z płaskim rondem nawiązują do tradycyjnego, eleganckiego ubioru andaluzyjskich jeźdźców.

Duch Los Angeles

Ów ideowo-estetyczny sztafaż „Zorro" nie narodził się w gabinetach scenarzystów ABC – wymyślił go w 1919 r. pisarz Johnston McCulley w powieści „The Curse of Capistrano". Jej bohaterem jest szlachetny banita o ksywce Zorro, który pozostawia po sobie tajemniczy znak „Z". Powieść odniosła ogromny sukces i już rok później została zekranizowana w niemym filmie pod tytułem „Znak Zorro". Główną rolę zagrał w nim Douglas Fairbanks.

To McCulley nakreślił mapę hiszpańskości „Zorro". Akcja dzieje się w przestrzeni między Los Angeles a misją San Juan Capistrano. Komendant Monasterio czy sierżant Garcia odzwierciedlają hiszpańską obecność militarną na odległych rubieżach imperium. Z kolei ojciec Felipe reprezentuje system misyjny, który miał za zadanie chrystianizację klas niższych.

W czasie gdy Zorro dokonuje swoich karkołomnych wyczynów, Amerykanów (jankesów, jak mówiono w XIX w.) w Kalifornii jeszcze nie ma. Gdy w kilku serialowych odcinkach w Los Angeles pojawia się traper Joe Cran, natychmiast ujawniają się kulturowe i polityczne waśnie. Sytuacja gęstniej zwłaszcza w momencie, gdy w tawernie Crane popada w konflikt z don Carlosem Fernandezem – Hiszpan traktuje przybysza jako „prymitywa i pariasa z Północy".

Ameryka górą

Odnosząc ten incydent do historii, hiszpańska Kalifornia w starciu z rosnącą i drapieżną potęgą Stanów Zjednoczonych nie miała żadnych szans na przetrwanie. Hiszpania powoli traciła nie tylko Kalifornię, ale także dzisiejszą Nevadę, Utah, Kolorado, Arizonę, Nowy Meksyk oraz Teksas.

W 1821 r. Korona nie miała już większości terytorium zamorskiego, z wyjątkiem Kuby, Filipin oraz Portoryko. Administracji tzw. Wicekrólestwa Nowej Hiszpanii podlegały jeszcze formalnie tylko Filipiny. Po błyskawicznej wojnie amerykańsko-hiszpańskiej w 1898 r. Kuba uzyskała niepodległość (pod kontrolą Stanów), zaś Portoryko, Guam i Filipiny stały się terytorium USA.

Czasy don Diego de la Vegi były ostatnimi chwilami istnienia Starego Świata. Warto o tym pamiętać, otrzepując z kurzu kolejne odcinki klimatycznego teletasiemca o nazwie „Zorro".

eprasa.pl c1e91c68ff

SUKCES

Stół do gry kupiła dwa tygodnie przed mistrzostwami świata. I zdobyła brązowy medal

Agnieszka Żmudzka z Białegostoku zdobyła brązowy medal mistrzostw świata w foot table. Na co dzień pracuje na pełny etat, a mimo to trenuje nawet 15–20 godzin tygodniowo. Rozmawiamy z nią o sporcie, który można uprawiać na niewielkim stoliku, rywalizacji z Brazylijkami i o tym, jak spełnić marzenie o medalu w zupełnie nowej dyscyplinie sportu

Agnieszka Domanowska

Foot table brzmi trochę jak połączenie kilku sportów. Co właściwie kryje się pod tą nazwą?

Myślę, że inspiracją mógł być teqball. To sport młody, ale trochę starszy od foot table. Wymyślili go Węgrzy, którzy na osiedlowym betonowym stole do pingponga grali w piłkę nożną. Później opracowali krzywiznę stołu, żeby piłka lepiej odbijała się w stronę rywala i gra była płynniejsza. Z teqballem jest jednak taki problem, że stół jest ogromny i opatentowany, więc nie jest łatwo dostępny. Przeciętny polski Kowalski czy Brazylijczyk z biedniejszego osiedla nie może sobie pozwolić na treningi.

Teqball początkowo był bardzo popularny w Brazylii. Mieli tam nawet kilku mistrzów świata w pierwszych latach istnienia tego sportu. Później jego rozwój trochę wyhamował i myślę, że właśnie wtedy pojawił się foot table z mniejszym stolikiem, o wymiarach metr na metr, który nie jest licencjonowany. Można wziąć stolik z kawiarni albo zwykły ogrodowy i grać.

Czyli to wersja dla mniej zamożnych?

Zdecydowanie. I myślę, że nie ma w tym nic obraźliwego. Sport będzie się rozwijał wtedy, kiedy będzie łatwo dostępny. Stąd fenomen piłki nożnej. Dziecko, które ledwo chodzi, może toczyć piłkę przed sobą, wtoczyć ją do bramki i cieszyć się, że strzeliło gola.

Myślę, że foot table może się kiedyś bardzo fajnie rozwinąć. Oficjalny stół kosztuje teraz około 400 euro. Dla porównania – najtańszy, naprawdę słabej jakości oficjalny stół do teqballa kosztuje około 1000 euro, a lepszy nawet 2,5 tys. euro. To ogromna różnica.

Jak wygląda mecz w foot table?

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Agnieszka Żmudzka z Białegostoku z brązem przywiezionym z mistrzostw świata foot table, które odbyły się w pierwszych dniach października we Włoszech

Stolik ma metr na metr i ścięte rogi, chyba głównie ze względów bezpieczeństwa, żeby się na nie nie nadziać. W ten sposób powstaje ośmiokąt. Zasada jest prosta: piłka musi trafić w stół dokładnie raz. Nie można jej zgasić na stole i zostawić. Dwa odbicia od stołu oznaczają punkt dla przeciwnika. Najczęściej trzeba więc uderzyć w stół albo bardzo umiejętnie skrócić zagranie, tak, żeby piłka odbiła się raz i spadła na ziemię. Kiedy spadnie na ziemię, akcja się kończy.

A po co są ściany?

Ściany normalnie „uczestniczą" w grze. Odbicie od nich niczego nie zmienia, a właściwie może pomóc. I właśnie dzięki nim wymiany są dłuższe i ciekawsze.

Początkowo gra była bez ścian. Na TikToku można zobaczyć filmiki, na których zawodnicy po mocnym uderzeniu biegają za piłką nawet kilkanaście metrówod stołu. Wprowadzono więc klatkę, oktagon. Tutaj inspiracją był squash.

W oktagonie jest jeszcze ciekawiej, bo piłka odbita od ściany czasami wraca dokładnie tam, gdzie stał obrońca. Może wtedy od razu kontynuować grę.

I nie można używać rąk?

Nie. Mamy maksymalnie trzy kontakty z piłką i można odbijać ją wszystkim poza ręką. Bark jest jeszcze w porządku, wszystko poniżej to już zagranie ręką. Najczęściej uderza się lepszą nogą, czyli prawą, jeśli ktoś jest prawonożny. Dużo łatwiej przebić głową i klatką piersiową, szczególnie w defensywie.

Najfajniejsze jest to, że zaczynamy z konkretnego punktu, z linii serwisowej, ale później nie ma czegoś takiego jak moja połowa czy połowa rywala. Można biegać wokół stołu. Trzeba więc dynamicznie się poruszać i cały czas obserwować, jak zachowuje się rywal. W deblu dochodzi jeszcze wy-

eprasa.pl c1e91c68ff

miana podań. Nie mogę zagrać piłki dwa razy z rzędu. Trochę jak w siatkówce.

Pani przygoda z foot table zaczęła się właściwie od teqballe'a?

Tak. Foot table jest bardzo młody. O pierwszym graniu mówi się od 2017 roku, a pierwsze mistrzostwa świata odbyły się dopiero rok temu. W tym roku rozegrano drugą edycję. Ja od kilku lat gram w teqball. W tym roku mistrzostwa Europy odbyły się w San Marino. Zaczęto więc rozwijać ten sport w Europie. Kupiłam stół za niecałe 400 euro i zaczęłam trenować.

Ile miała pani czasu na przygotowania do mistrzostw świata?

Stół przyszedł dosłownie dwa tygodnie przed turniejem.

Dwa tygodnie?

Tak. Absolutnie nie wystarczyło to do dobrego przygotowania. Rywale byli bardziej doświadczeni. Ale oni też nie mieli jak trenować. We Włoszech foot table rozwijają od ponad roku. W Rimini działa normalny klub, organizują regularne turnieje i trenuje tam około 20 mężczyzn. Mają więc już fajną rywalizację.

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Gra w foot table jest bardzo dynamiczna

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Polska reprezentacja na mistrzostwach świata w Rzymie

A w Polsce?

W tej chwili regularnie trenują cztery osoby. W tym dwie kobiety.

Gdzie w takim razie można trenować?

W Warszawie albo na przedmieściach Warszawy. Mamy już własny stół, a w czerwcu przywieźliśmy drugi. Inni Polacy z reprezentacji byli we Włoszech samochodem, więc zabraliśmy go do bagażnika. Dzięki temu mamy już na czym trenować.

A jak wyglądały same mistrzostwa świata w Rzymie?

To były dopiero drugie mistrzostwa świata. Pierwsze odbyły się rok wcześniej w São Paulo. O tym, że tegoroczne będą w październiku w Rzymie, dowiedzieliśmy się krótko po mistrzostwach Europy, w połowie czerwca. Wiedzieliśmy więc, że to blisko – zarówno geograficznie, jak i finansowo. Mieliśmy już dwa stoły, więc mogliśmy naprawdę fajnie trenować.

W naszej hali wymyśliliśmy nawet, jak wykorzystać ściany. Dostawiliśmy postawione na pół stoły do ping-ponga, żeby imitowały kolejną ścianę. To zupełnie inna gra, kiedy widzę, że piłka leci wysoko za mnie. Nie muszę za nią gonić – obracam się o 180 stopni i czekam, aż odbije się od ściany.

Na mistrzostwa świata w Rzymie przyjechali reprezentanci ponad 40 krajów – w sumie prawie 150 uczestników. Była Ameryka Południowa, przedstawiciel Ameryki Północnej, sporo zawodników z Europy. Z Afryki przyjechał Marokańczyk, z Azji – Japończycy i zawodnicy ze Zjednoczonych Emiratów Arabskich. Był też Hongkong. To już naprawdę fajna skala wydarzenia.

Jak wyglądała pani droga do brązowego medalu?

W grupie były cztery kobiety. Do dalszych rozgrywek przechodziły trzy, a z jednej grupy nawet najlepsza czwarta, bo chodziło o to, żeby z 20 uczestniczek zostało 16.

Wyjście z pierwszego miejsca dawało łatwiejszą drabinkę. Udało mi się to dzięki świetnemu meczowi z Węgierką, która jest bardzo dobra. Prowadziła ze mną 13:9, a gra się do 14. Udało mi się wybronić wszystkie piłki i zakończyć mecz wynikiem 14:13.

To był moment, który ustawił pani cały turniej?

Tak. Dzięki temu później miałam łatwiejszą drogę. W 1/8 finału pokonałam Szwedkę 14:12. W ćwierćfinale, dosłownie ledwo, 16:15 wygrałam z Hiszpanką. Gdybym nie odrobiła straty w meczu z Węgierką, już w ćwierćfinale trafiłabym na Kolumbijkę. Tam praktycznie nie miałabym szans.

A półfinał?

Tutaj trafiłam na Brazylijkę, która była już na zupełnie innym poziomie. Przegrałam 6:12 i 5:12. To było dość jednostronne spotkanie. Ona potrafi prawie za każdym razem wystawić sobie piłkę nad stół, spojrzeć, gdzie stoję, i uderzyć w inną stronę. Większość Europejek dopiero walczy o dobrą wystawę i dopiero z tego, co uda się wystawić, podejmuje decyzję, co zrobić z piłką.

Mimo wszystko brązowy medal to ogromny sukces. Jest satysfakcja?

Oczywiście. Zwłaszcza kiedy zdaję sobie sprawę, ile miałam po drodze trudnych meczów. Dwa wygrałam dosłownie jednym punktem. Kiedy ma się piłkę w górze i pojawia się ryzyko, że chybionym atakiem sprezentuję przeciwniczce zwycięstwo, pojawia się pokusa, żeby oddać łatwą piłkę. Na szczęście dwa razy tego nie zrobiłam. Szczególnie dumna jestem z ćwierćfinału, czyli meczu o wejście do strefy medalowej. Grałyśmy w największym upale, obie od rana grałyśmy miksta. Widać było, że obie jesteśmy zestresowane i spięte. Cieszę się, że udało mi się wygrać, tym bardziej że to głównie ona miała dwupunktową przewagę. Udało mi się ją zniwelować i przy 15:15 zakończyć mecz własnym dobrym atakiem, a nie po prostu błędem rywalki.

Stolik ma metr na metr i ścięte rogi. W ten sposób powstaje ośmiokąt. Zasada jest prosta: piłka musi trafić w stół dokładnie raz. Dwa odbicia od stołu oznaczają punkt dla przeciwnika. Piłkę można odbijać wszystkim poza ręką. Bark jest jeszcze w porządku, wszystko poniżej to już zagranie ręką. Najczęściej uderza się lepszą nogą, czyli prawą, jeśli ktoś jest prawonożny. Dużo łatwiej przebić głową i klatką piersiową

Ile trzeba trenować, żeby osiągnąć taki poziom?

W tej chwili trenuję codziennie. Od wiosny do jesieni mam codzienne treningi z piłką. Zimą to raczej cztery razy w tygodniu hala, a reszta to siłownia i akrobatyka w parku trampolin.

Latem, jeśli jest pogoda, korzystam z boiska pod domem, gdzie można trenować ze ścianą. Do tego dochodzą podstawy zabawy z piłką, freestyle football. Trenuję bardzo dużo – około 15–20 godzin tygodniowo.

I jednocześnie pracuje pani na pełny etat.

Tak. Normalnie pracuję na pełny etat w biurze, więc nie mam za dużo życia prywatnego. Ale tak sobie w tej chwili wybrałam. Moim marzeniem był medal na mistrzostwach świata w teqballu. Jeszcze do tego nie doszłam. Natomiast w tym roku pojawił się nowy sport i niespodziewanie spełniłam swoje marzenie o medalu na mistrzostwach świata – tylko nie w tej dyscyplinie, w której zakładałam.

Czyli brąz w foot table nie zmienia głównego celu?

Nie. Za chwilę mamy mistrzostwa Polski w teqballu. Muszę je wygrać, żeby pojechać na mistrzostwa świata. W teqballu jest jednak trudniej, bo wiele zawodniczek trenuje już sześć, siedem lat, a ja dopiero trzy. Jeszcze doganiam światową czołówkę.

Skąd w ogóle wziął się u pani ten pociąg do „dziwnych sportów"?

Przygodę z teqballem zaczęłam dzięki klubowi Czyżew Teq Club, który w czerwcu 2022 roku zorganizował w Białymstoku turniej teqballa. Dzięki temu do dziś trwa moja przygoda z takimi „dziwnymi sportami". Barwy Czyżewa reprezentowałam do października 2025 roku. Przez kilka sezonów byłam też piłkarką Włókniarza Białystok. Ostatni mecz w ich barwach rozegrałam w czerwcu 2025 roku, więc całkiem niedawno. Oba kluby – Włókniarz i Czyżew – przyczyniły się do mojego rozwoju piłkarskiego i ogólnosportowego.

Rozmawiała:
Agnieszka Domanowska

eprasa.pl c1e91c68ff

ŁÓDŹ

Adin, dwa, tri. Jak Anatolij Kaszpirowski zahipnotyzował Polskę lat dziewięćdziesiątych

Na czarno ubrana postać przeszywająca wzrokiem zgromadzonych przed telewizorami, wolno odliczający głos: Adin, dwa, tri... Zmarłego właśnie w wieku 87 lat Anatolija Kaszpirowskiego znają wszyscy starsi Polacy. Nie wszyscy jednak wiedzą, że jego oszałamiająca kariera zaczęła się od występów w Łodzi

Anna Gronczewska

Kariera Anatolija Kaszpirowskiego zaczęła się w telewizji Związku Radzieckiego. Gabriel Michalik jest autorem książki „Kaszpirowski. Sen o wszechmocy". Spotkał się z Anatolijem, poznał jego historię i początki zawrotnej popularności w Polsce.

– Mirosław Kuliś, łódzki dziennikarz, zobaczył w Telewizji Polskiej seanse Kaszpirowskiego, które wcześniej zarejestrowano w Związku Radzieckim – opowiada Gabriel Michalik. – Potem pojechał do Kijowa, by przeprowadzić wywiad z Anatolijem. Na miejscu zorientował się, że to ciekawy temat nie tylko na wywiad. Uznał, że może to dobry interes i po kilku miesiącach sprowadził uzdrowiciela do Polski. Pierwszy jego seans odbył się w Łodzi, w Hali Sportowej.

Kaszpirowski już w Łodzi

W niedzielę seanse w Hali Sportowej

Na zdjęciu: powitanie.

CAF — Damazy Kwiatkowski — telefoto

W ostatni dzień kwietnia, w poniedziałek, o godz. 23.17 na łódzkim lotnisku Lublinek wylądował wojskowy helikopter Mi-8, który przywiózł do naszego miasta rosyjskiego psychoterapeutę — znanego poprzez TV milionom mieszkańców Polski — Anatolija Kaszpirowskiego. Przylot „uzdrowiciela" organizowany był w największej tajemnicy. Na lotnisku była już jednak ekipa łódzkiej telewizji co doprowadziło one-

tyczne Anatolija Kaszpirowskiego odbędą się w Hali Sportowej w Łodzi w dniu 8 maja (niedziela) o godz. 11 oraz 17 a także 7 maja (poniedziałek) o godz. 17.30.

Karty wstępu są do nabycia już od dzisiaj m.in. w następujących punktach przedsprzedaży:

— Hala Sportowa (kasy od strony ul. Stefanowskiego i al. Politechniki) w godz. 9—18,

— DKM ul. Nawrot 27, w

◆ Msza w sanktu Jerzego Popiełuszki siedziby OPZZ manifestacja an

Święto Pracy p

Głównym akcentem „sołdarnościowych" obchodów 1 Maja w Warszawie była msza św. i spotkanie w kościele św. Stanisława Kostki na Żoliborzu.

W swym kazaniu ks. Malkowski przypomniał, że 1 Maja jest obchodzony uroczyście przez Koś-

50 mln zł nagrody za wskazanie sprawców podpalenia

Minister spraw wewnętrznych wyznaczył nagrodę w wysokości 50 mln zł dla osoby, która wskaże lub udzieli informacji pozwalającej na ustalenie i ujęcie sprawcy będą sprawców podpalenia mieszkania red. Jerzego Jachowicza, a także — być może — kilku innych podobnych podpaleń.

Informacje można przekazywać do Stołecznego Urzędu Spraw Wewnętrznych (nr tel. 45-65-53 lub 26-61-29) do Rejonowego U-

FOT. ARCHIWUM

Pierwsza strona „Dziennika Łódzkiego" z 2 maja 1990 roku. Informacja o seansie Kaszpirowskiego była na czołówce gazety

Ukrył się w centrum Łodzi

Kaszpirowski pojawił się w Łodzi na przełomie kwietnia i maja 1990 roku. Miał przylecieć na łódzkie lotnisko Lublinek helikopterem. Jego przylot miał być tajemnicą, ale na płycie lotniska pojawiła się ekipa łódzkiej telewizji. Helikopter wylądował więc w Leźnicy koło Łęczycy, stamtąd uzdrowiciel przyjechał do Łodzi samochodem.

– W ciągu następnych dni dziennikarze próbowali wytropić tajny ośrodek, w którym Kuliś zakwaterował psychoterapeutę – czytamy w książce „Kaszpirowski. Sen o wszechmocy". A prawda była zgodna z porzekadłem, że najciemniej jest pod latarnią. Przez tydzień kwaterował w apartamencie w Grand Hotelu, w samym centrum Łodzi.

Pierwszy seans odbył się w łódzkiej Hali Sportowej przy ówczesnej ulicy Worcella, obecnie ks. Skorupki.

– Nie była to klapa, ale z pewnością i nie sukces – wspominał w książce Gabriela Michalika Mirosław Kuliś. – Sprzedało się niespełna pięć tysięcy biletów. Miejsc w hali było prawie dziewięć tysięcy. Tak rozlokowaliśmy publiczność, żeby widownia nie świeciła pustkami.

Jak pisze w swojej książce Gabriel Michalik, przy bramie prowadzącej wprost z hali na ulicę zebrało się kilkudziesięciu Łodzian pragnących raz jeszcze z bliska zobaczyć Kaszpirowskiego.

– Sprzyjało mi szczęście – tak w książce „Kaszpirowski. Sen o wszechmocy" wspominał to Mirosław Kuliś. – W pobliżu stała wraz z ekipą zdjęciową koleżanka z łódzkiego oddziału telewizji. Wzdłuż drogi, którą jechała limuzyna, ustawiono barierki. W ciasnej przestrzeni pomiędzy barierkami a samochodem te kilkadziesiąt osób stworzyło mimowolnie sztuczny tłok.

Zawołałem koleżankę. Kamera zarejestrowała moment, gdy ludzie przepychają się, aby być jak najbliżej Kaszpirowskiego. Te sceny wyemitowano na antenie ogólnopolskiej. W ogóle powtarzano je dość często. Były bardziej efektowne, bardziej telewizyjne niż relacja z sennego seansu.

Później nie było już problemów z zapełnianiem hal w Katowicach, Gdańsku czy Warszawie. Bilety na seanse Kaszpirowskiego kosztowały 30-50 tysięcy złotych, a średnia pensja w Polsce wynosiła milion.

Po swym pierwszym polskim seansie Anatolij Kaszpirowski złożył życzenia czytelnikom „Dziennika Łódzkiego" i udzielił gazecie wywiadu. Nie odpowiedział na pytanie, czy wierzy w Boga. Twierdził też, że do leczenia potrzebuje czystego umysłu.

Podczas wizyty w Łodzi uzdrowicielowi towarzyszyła ówczesna żona Walentyna Kaszpirowska.

72-letnia Jolanta Śmiechowska, emerytowana księgowa, dobrze pamięta wizytę uzdrowiciela w Łodzi, choć już nie datę.

– Miałam od lat kłopoty ze zdrowiem – opowiada. – Z kręgosłupem, żołądkiem. Kaszpirowskiego wcześniej znałam z telewizji. Gdy dowiedziałam się, że przyjeżdża do Łodzi, to postanowiłam pójść na spotkanie. Okazało się, że nie było prosto znaleźć bilet. Pomógł mi szwagier. Zawiózł nas nawet do hali. Mnie i moją mamę, która miała kłopoty z nogami.

Jolanta nie zapomni, że siedziała w tłumie. Kaszpirowski zajął miejsce na scenie. Siedziała tak daleko, że nawet go dobrze nie widziała. Ale tak, jak w telewizji, zaczął liczyć: jeden, dwa, trzy... dziesięć.

– Koło mnie i mamy siedziała młoda dziewczyna – wspomina Jolanta. – W pewnym momencie podczas tego liczenia osunęła się z krzesełka, ludzie zaczęli ją cucić. Tak widać to przeżyła. Na mnie i na mamę nie podziałało i nie pomogło w naszych kłopotach zdrowotnych.

Psychiatra z Winnicy

Gabriel Michalik wiele razy spotykał się, rozmawiał z Anatolijem Kaszpirowskim.

– Anatolij miał bardzo silną osobowość – twierdzi . – Był bardzo apodyktyczny, ale też serdeczny i życzliwy wszelkiemu ludzkiemu nieszczęściu. W tej apodyktyczności zawierało się przewrażliwienie na swoim punkcie. Stąd przez ostatnie 20 lat toczył bezustanne walki ze śmiejącymi się z niego dziennikarzami, wytaczał procesy. Stał się memiczną postacią. Był po wielu operacjach plastycznych z ufarbowanymi na czarno włosami. Ja go w każdym razie bardzo lubiłem, trochę się go bałem. Bałem się go, bo ciągle ode mnie czegoś chciał. Niebawem będzie można oglądać film dokumentalny o Kaszpirowskim, który na potrzeby HBO nakręcił Łukasz Konopa.

Anatolij Kaszpirowski był z wykształcenia lekarzem psychiatrą. Pracował w szpitalu w ukraińskiej Winnicy.

– Jego matka Jadwiga była Polką, a ojciec po prostu sowieckim człowiekiem – mówi Gabriel Michalik. – Ojciec miał białoruskie i ukraińskie korzenie. Mama Anatolija raz przyjechała na jeden z polskich seansów syna. Mirek Kuliś zachwycał się jej piękną, kresową polszczyzną. Trzeba pamiętać, że Kaszpirowski dorastał w czasach stalinowskich. Jego polskie korzenie nie były eksponowane. W latach 80. jego kariera miała charakter wszechsowiecki. Najpierw awansował do Kijowa, a potem do Moskwy. A w ostatnich latach życia dzielił czas pomiędzy Moskwę i Nowy Jork. Miał też amerykańskie obywatelstwo. Po ataku Rosji na Ukrainę Kaszpirowski znalazł się w roli zakładnika. Zaraz po wybuchu wojny wypowiedział się o niej krytycznie, a był wtedy w Rosji. Ktoś go musiał nastraszyć, bo potem więcej o wojnie się nie wypowiadał.

Gabriel Michalik opowiada, że ponad rok temu, gdy Kaszpirowski był jeszcze w dobrej formie, na potrzeby filmu Łukasza Konopy miał przyjechać do Polski, dać jakiś seans, rozeszły się nawet bilety. Seans miał się odbyć w Warszawie, ale w tej sprawie u prezydenta Rafała Trzaskowskiego interweniował ambasador Ukrainy, który twierdził, że Kaszpirowski jest zwolennikiem Putina. Co nie było prawdą, bo w książce Michalika wypowiadał się krytycznie o prezydencie Rosji. Ostatecznie do seansu nie doszło.

Niedoszły seans z kosmosu

Anatolij Kaszpirowski ostatni raz był w Polsce w 2023 roku. Spotkał się wtedy z Lechem Wałęsą. Chciał, by były prezydent Polski, jako laureat Nagrody Nobla, pomógł mu spełnić jego wielkie marzenie i skontaktował go z Elonem Muskiem. Marzył, by polecieć w kosmos i stamtąd przeprowadzić seans.

– Spacerowaliśmy wtedy po Warszawie, ludzie go poznawali – wspomina Gabriel Michalik. – Starsze panie podchodziły i prosiły o uzdrowienie. Jednak najbardziej wzruszające zdarzenie miało miejsce na Okęciu. Tam podeszły do niego dwie starsze Ukrainki. Uklękły przed nim jak przed Mesjaszem i pytały: – Mistrzu, kiedy skończy się wojna!

Wiadomość o śmierci Kaszpirowskiego była dla Gabriela Michalika zaskoczeniem, choć wiedział, że od dłuższego czasu chorował.

– Nie miałem z nim przez ostatni rok kontaktu – tłumaczy. – Rok temu wydarzyła się też niezwykła rzecz. Mając 86 lat po raz kolejny został ojcem. Nie złożyłem mu wtedy gratulacji. Łukasz, reżyser filmu, rozmawiał często z trzecią żoną Anatolija, Gulizar. Mówiła, że jest w kiepskim stanie. Ma problemy z pamięcią, był w szpitalu.

Ani szarlatan, ani uzdrowiciel

Często stawia się pytanie, kim był Kaszpirowski? Szarlatanem czy uzdrowicielem?

– Myślę, że nie był ani jednym, ani drugim – odpowiada Gabriel Michalik. - Był lekarzem psychiatrą, ale pracując w szpitalu w Winnicy dorabiał sobie pokazami hipnozy estradowej. Jeździł z nimi po całym Związku Radzieckim. Nauczył się rozmaitych technik, sztuki perswazji. Później w jakiś sposób udało mu się odkryć, że ten sposób może poprawiać czyjeś samopoczucie. Spektakularnym sukcesem było znieczulenie podczas trzech operacji chirurgicznych z pomocą hipnozy. By to poważne operacje na jamie brzusznej u osób, które nie mogły być poddane zwykłej narkozie. Te operacje transmitowała sowiecka telewizja.

W Rosji seanse telewizyjne Kaszpirowskiego oglądało nawet 300 milionów ludzi, a w Polsce – 20 milionów. Prof. Włodzimierz Piątkowski, socjolog z Uniwersytetu Marii Skłodowskiej w Lublinie, przeanalizował kilkadziesiąt tysięcy listów, jakie Polacy wysyłali do telewizji po seansach Kaszpirowskiego. Wynika z nich, że efekt terapeutyczny był poniżej efektu placebo. Polacy pisali jednak w listach o zanikaniu jakichś owrzodzeń, blizn, guzów, zmian skórnych. Niektórym miały odrastać włosy. Podobno jego seanse dawały dobre efekty w leczeniu alergii.

Nikt jednak nie zaprzeczy, że Kaszpirowski zrobił w Polsce oszałamiającą karierę.

eprasa.pl c1e91c68ff

Krzyżówka panoramiczna

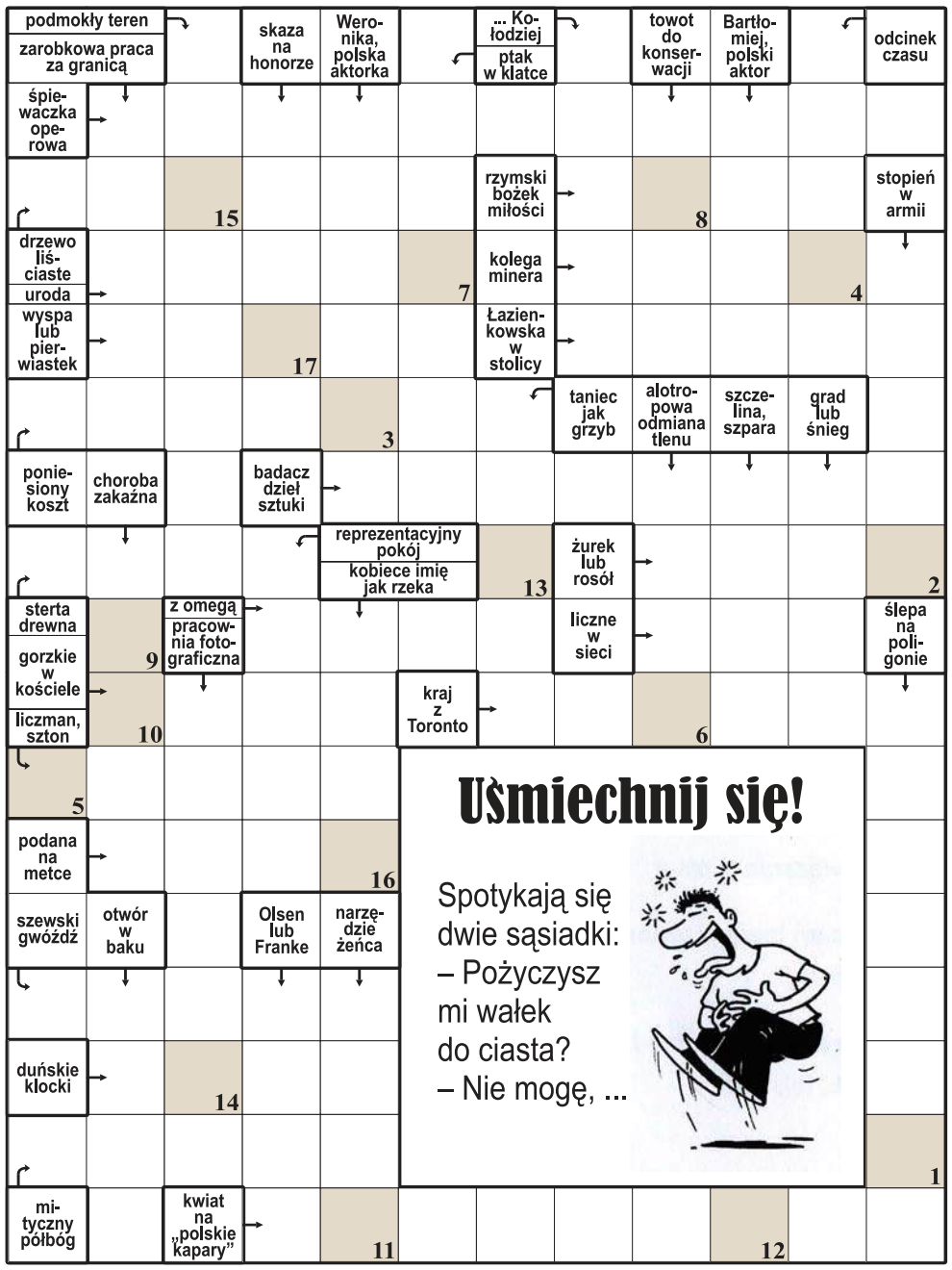

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17

Litery z pól ponumerowanych od 1 do 17 utworzą rozwiązanie: dokończenie dowcipu z okienka.

Krzyżówka A-Ż

Każdy odgadywany wyraz (w nawiasie liczba liter) zaczyna się literą poprzedzającą określenie. Miejsce wpisywania – do odgadnięcia. Litery w polach z kropką, czytane rzędami, utworzą rozwiązanie.

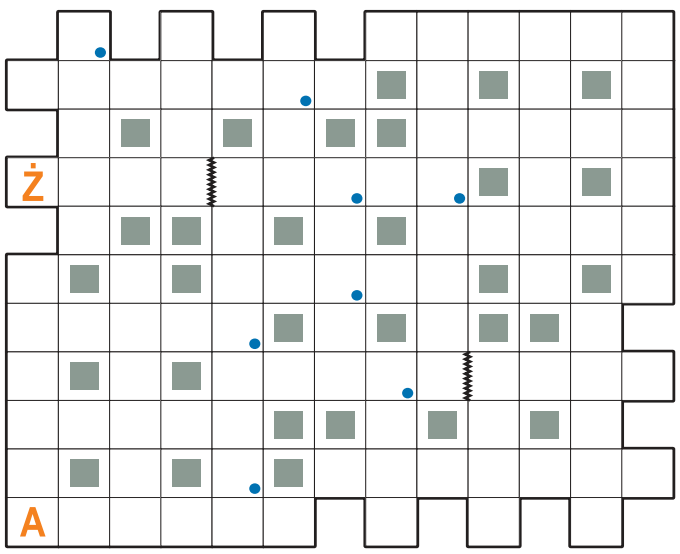

A) model auta z fabryki Nissana (6).
B) ptak z królewskiej uczty (6).
C) susz na podpałkę (6).
D) położenie, los człowieka (4).
E) pokrywa garnki szkliwem (7).
F) Michael, odkrył indukcję elektromagnetyczną (7).
G) w piórniku pierwszaka (5).
H) góry z Mount Everest (8).
I) siła rozpędu, dynamika (5).
J) imię Fondy, aktorki z filmu „Czyż nie dobija się koni” (4).
K) wódz plemienia w Afryce (5).
L) żona cesarza Oktawiana Augusta (5).
Ł) głośny stukot, łoskot (5).
M) dewiza życiowa (5).
N) katedra w stolicy Francji (5,4).
O) zielone miejsce postoju karawany (4).
P) film w reżyserii Alfreda Hitchcocka (5).
R) pochyła figura geometryczna (4).
S) model stajenki betlejemskiej (6).
T) śląski taniec ludowy (6).
U) akt prawny uchwalany w Sejmie (6).
W) odmiana wegetarianizmu (8).
Z) przerażająca postać widziana we śnie (5).
Ż) włókno z runa owiec pochodzące z pierwszego przędzenia (4,5).

Krzyżówka z hasłem

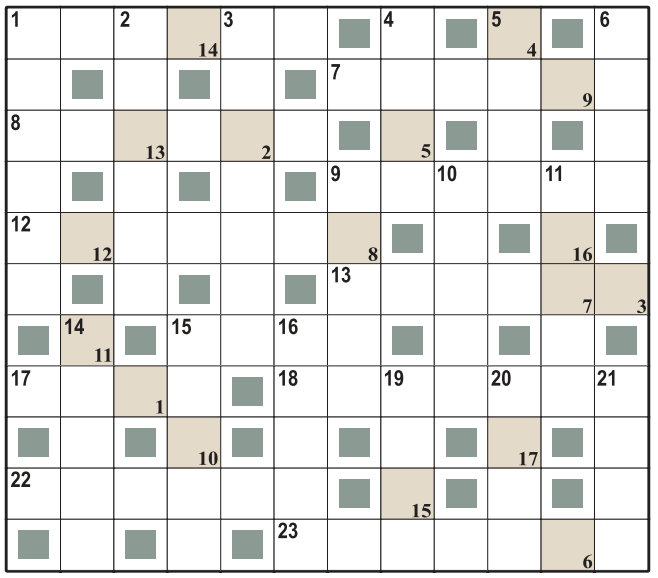

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17

Litery z pól ponumerowanych w prawym dolnym rogu od 1 do 17 utworzą rozwiązanie: sentencję łacińską.

Poziomo:
1) uprząż dla wołów,
7) jest cierpliwy,
8) ptak drapieżny, birkut,
9) kolor trawy,
12) co kraj, to ...,
13) barokowy chłopiec, putto,
15) pasmo górskie w Niemczech,
17) umowna na bazarze,
18) zwrócenie długu,
22) cywilna lub z o.o.,
23) szablon kreślarski.

Pionowo:
1) rajskie drzewo,
2) skórzany pasek,
3) szarytka lub klaryska,
4) żona radży,
5) zwiewna tkanina,
6) stromy grzbiet górski,
9) partyjny zlot,
10) „... lodowcowa”,
11) polsko-grecka piosenkarka,
14) żółwie w pracy,
15) przed odzewem,
16) ksiądz z „Pana Tadeusza”,
19) Cameron, aktorka z „Maski”,
20) odbiera bodźce,
21) autor powieści.

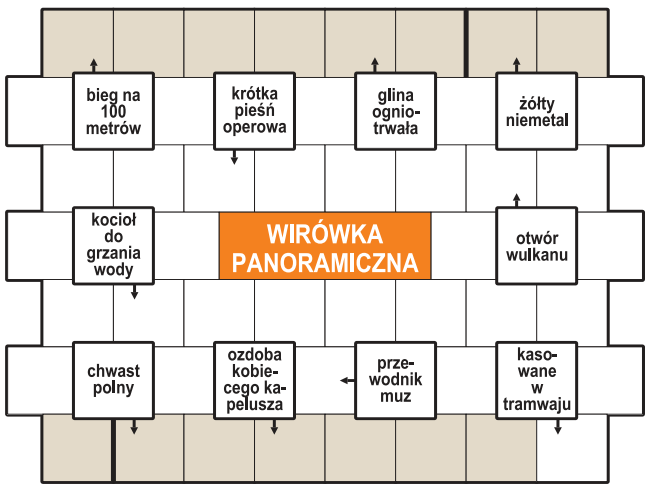

Początek wpisywania odgadniętych wyrazów w polach z kreską, kierunek zegarowy. Litery w oznaczonych polach, czytane rzędami, utworzą rozwiązanie: sentencję łacińską.

Duet jolek

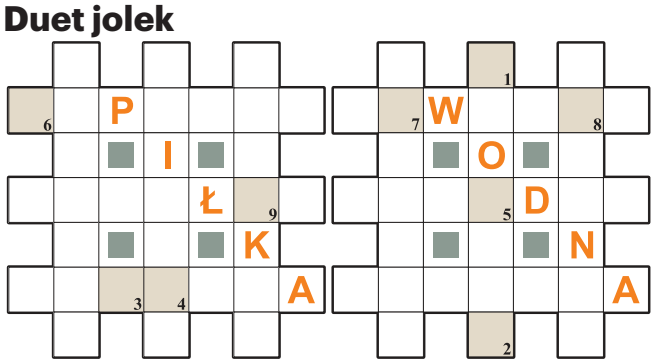

Litery z pól ponumerowanych od 1 do 9 (w obu diagramach), utworzą rozwiązanie. W przypadkowej kolejności:

– żona prawosławnego kapłana
– nadrzeczna dzielnica Warszawy
– sposób walki na morzu
– ukraiński placek weselny
– pseudonim Stefana Żeromskiego
– okulary pradziadka
– pospolita roślina astrowata, zioło na kaszel i chrypkę
– sąsiadka Greczynki
– komisarz z książek Simenona
– nudziarz, zrzęda
– renoma, sława
– dawna rosyjska miara długości

Logogryf

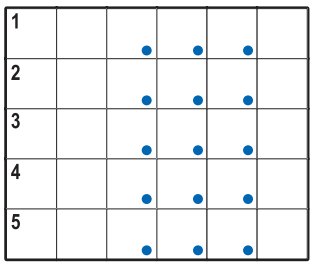

Litery w polach z kropką, czytane rzędami, utworzą rozwiązanie.
1) owoce palmy,
2) ludowa nazwa kukułki,
3) spuścizna po przodku,
4) wyrób ceramiczny,
5) krótka włócznia.

Szyfr

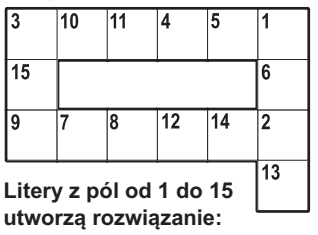

Litery z pól od 1 do 15 utworzą rozwiązanie: imię i nazwisko aktora.
Poziomo:
3) na głowie pływaka,
9) blaszka będąca ortograficznym wyjątkiem.
Pionowo:
3) drzewo iglaste o czerwonawym drewnie,
1) proces rozpuszczania skał przez wodę.

Krzyżówka

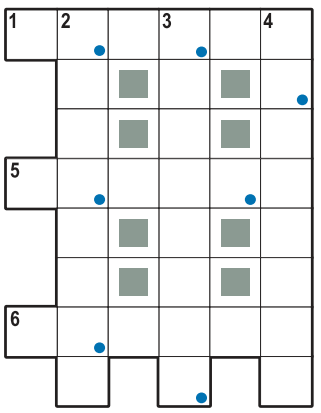

Litery w polach z kropką, czytane rzędami, utworzą rozwiązanie.
Poziomo:
1, 5, 6) odmiany czerwieni i błękitu.
Pionowo:
2) substancje wywołujące nieprawidłową reakcję układu odpornościowego,
3) pospolity minerał, najbogatsze źródło żelaza,
4) nadaje sygnały dźwiękowe na wybrzeżu morskim w czasie mglistej pogody.

Rozwiązania

Krzyżówka panoramiczna: ... ja też na mężą czekam; **krzyżówka A-Ż:** kalamarz; **krzyżówka z hasłem:** Nikt nie jest bez ale; **wirówka panoramiczna:** Spiesz się powoli; **duet jolek:** waterpolo; **logogryf:** koszula Dejaniry; **szyfr:** Kacper Kuszewski; **krzyżówka:** amarant.

eprasa.pl c1e91c68ff

SIATKÓWKA

Energa Trefl rozbił mistrzów Polski w Wałbrzychu

W finale turnieju LOTTO Giganci Siatkówki w Wałbrzychu Energa Trefl Gdańsk pokonał 3:0 aktualnych mistrzów Polski Aluron CMC Wartę Zawiercie. Finałowe spotkanie w Hali Aqua Zdrój oglądał komplet publiczności.

Jakub Guder

Zwycięstwo Energi Trefla Gdańsk w finale LOTTO Gigantów Siatkówki to duża niespodzianka. Gdańszczanie ubiegły sezon skończyli poza pierwszą ósemkę. Aluron CMC Warta Zawiercie został mistrzem Polski, grał w finale Ligi Mistrzów. Jest to zespół naszpikowany gwiazdami, a mimo tego w hali Aqua Zdroju w Wałbrzychu miał niewiele do powiedzenia. Tak łatwe zwycięstwo Trefla, który w całym turnieju nie stracił nawet seta, było więc zaskoczeniem. Niewielkim usprawiedliwieniem dla Aluronu jest fakt, że zaledwie kilka dni temu do drużyny dołączyło trzech mistrzów Europy: Tomasz Fornal, Jakub Popiwczak i Bartłomiej Bołądź. Momentami było to widać na boisku.

- Z pewnością mamy dużo do poprawy. Potrzebujemy nieco lepszego zgrania z chłopkami - z nowymi zawodnikami, a także powrotu do naszego systemu gry i przyzwyczajenia się do niego. To może wynikać z sezonu reprezentacyjnego i gry w kadrach latem. Czeka nas jeszcze trochę pracy, ale sezon jest długi i musimy być gotowi do rywalizacji, gdy tylko wejdziemy na boisko - powiedział po meczu amerykański przyjmujący Zawiercia Aaron Russell.

- To był dobry sprawdzian przed ligą. Mogliśmy pograć przy fajnej publiczności. Jest dużo materiałów do analizy, sporo pozytywów do wyciągnięcia, ale i rzeczy, które należy poprawić - uśmiechał się po finale kapitan Trefla Moustapha M'Baye, który jednocześnie zaznaczał, że po takim zwycięstwie nie można popadać w euforię.

FOT. PAWEŁ PIOTROWSKI/MAT. PRASOWE

Energa Trefl Gdańsk po raz drugi w historii wygrał turniej LOTTO Giganci Siatkówki

Męski turniej LOTTO Giganci Siatkówki pierwszy raz w historii gościł w Wałbrzychu i trzeba powiedzieć, że był to debiut udany. Zarówno polskie jak i tureckie drużyny chwaliły organizację i na przykład to, że wychodząc z hotelowych pokojów od razu trafiało się do hali Aqua Zdrój, co było bez wątpienia atutem. - Dopiero teraz po dwóch dniach wyjedziemy na dwór - żartował M'Baye.

Dopisała też publiczność. Na sobotnim finale nie było właściwie wolnych miejsc. To pokazuje, że przeniesienie imprezy z Twardogóry (gdzie wciąż został turniej kobiet) do Wałbrzycha było dobrym ruchem. Zresztą zadowoleni są chyba nie tylko organizatorzy, ale też gospodarz prezydent miasta Roman Szełemej, który w ostatnim czasie deklarował, że chciałby odbudowy wielkiej siatkówki pod Chełmcem. Oby to był pierwszy krok. Na razie jeszcze nie wiemy, czy za rok LOTTO Giganci Siatkówki zagrają ponownie w Wałbrzychu.

Uśmiechnięty od ucha do ucha chodził Wałbrzyszanin Krzysztof Ignaczak. Mistrz świata z 2014 roku jest od wielu lat przyjacielem turnieju.

- Kibice spisali się na medal. Frekwencja dopisała. Widać, że ludzie dalej tutaj kochają siatkówkę i warto inwestować tutaj w to, żeby trenującym tu dzieciakom dać klub, który można by reaktywować i by on wspinał się w hierarchii klubowych rozgrywek - mówił zadowolony Ignaczak. - Fajnie, że jest deklaracja Pana prezydenta. Dziękujemy mu, że obdarzył zaufaniem Gigantów Siatkówki i zdecydował się, aby ta impreza pojawiła się w Wałbrzychu. Mamy wszyscy nadzieję, że może będzie kontynuacja, ale dowiemy się tego w niedługim czasie - zakończył były reprezentacyjny libero.

Turniej LOTTO Giganci Siatkówki w tym roku obchodzi swoje 20-lecie. Z tej okazji w czwartek na Zamku Książ zorganizowano uroczystą galę, podczas której pomysłodawca tej imprezy Wojciech Rozdolski wręczył symboliczne statuetki ludziom, którzy od lat angażują się w organizację turnieju. Wybrano także trzech zawodników MVP 20-lecia Gigantów Siatkówki. Nagrody odebrali: Mariusz Wlazły, Michał Winiarski (dziś trener Aluronu CMC Warty) oraz Mariusz Dutkiewicz, były rozgrywający Gwardii Wrocław, który dziś angażuje się w organizację imprezy.

Partnerem tytularnym turnieju była po raz pierwszy marka LOTTO. TAURON był sponsorem strategicznym oraz partnerem tytularnym TAURON Młodych Gigantów Siatkówki. Partnerem medialnym były Gazeta Wrocławska oraz TVP Sport.

LOTTO GIGANCI SIATKÓWKI 2026

FINAŁ. Energa Trefl Gdańsk - Aluron CMC Warta Zawiercie 3:0 (27:25, 25:17, 25:15)

Energa Trefl: Stępień 3, Niemiec 9, Nasewicz 20, Orczyk 9, M'Baye 5, Gierżot 10, Koykka (libero) oraz Schulz i Durski.

Aluron CMC Warta: Bieniek 7, Zniszczoł 4, Russell 6, Tavares, Bołądź 7, Fornal 12, Popiwczak (libero) oraz Rychlicki 1 i Wright.

MECZ O III MIEJSCE. Halkbank Ankara - Spor Toto SK 3:2 (25:21, 34:36, 25:18, 17:25, 15:12)

Halkbank: Baltaci 8, Kurtulus 7, Bardarow 25 (MVP), Yenipazar, Darlan 1, Aslan 20, Done (libero) oraz Karahan, Mergen 1 i Fuentes 20.

Spor Toto: Bubul 6, Ergun, Unver 6, Tayaz 11, Herrera 16, Balean 12, Aray (libero) oraz Siratca 10, Koc, Erginay 4, Biber 8 i Senturk.

PÓŁFINAŁY

Aluron CMC Warta Zawiercie - Halkbank Ankara 3:1 (22:25, 25:22, 26:24, 25:23)

Aluron CMC Warta: Kwolek 12, Kochanowski 8, Rychlicki 18, Tavares 1, Bieniek 15, Fornal 13, Popiwczak (libero) oraz Wright i Bołądź.

Halkbank: Kazijski 3, Samet Baltaci 7, Kurtulus 4, Bardarow 18, Yenipazar, Darlan 27, Done (libero) oraz Karahan, Fuentes i Aslan 5.

Energa Trefl Gdańsk - Spor Toto Spor Kulubu 3:0 (25:19, 25:16, 25:21)

Energa Trefl: Stępień, Niemiec 2, Schulz 16, Orczyk 12, M'Baye 3, Gierżot 14, Koykka (libero) oraz Nasewicz 2, Kogut i Durski.

Spor Toto: Kiyak 1, Koc 3, Vasina 7, Tayaz 3, Herrera 20, Balean 6, Yesilbudak (libero) oraz Siratca, Bubul, Unver 4 i Aray (libero).

FOT. PAWEŁ PIOTROWSKI/MAT. PRASOWE

Sobotni finał miał zaskakujący przebieg - Trefl nie dał szans faworyzowanemu Zawierciu

FOT. PAWEŁ PIOTROWSKI/MAT. PRASOWE

Tomasz Fornal był największą gwiazdą turnieju w Wałbrzychu

eprasa.pl c1e91c68ff

PIŁKA NOŻNA W SOBOTĘ GŁOGOWIANIE ZMIERZĄ SIĘ NA WYJEŹDZIE Z POLONIĄ BYTOM

Sroga lekcja skutecznego futbolu od lidera

RED
Głogów

Na wyjazdach Chrobry potrafi pokazać się z dobrej strony, ale w Głogowie wciąż szuka sposobu na regularne punktowanie. Obraz gry był lepszy od wyniku meczu z Pogonią.

Już po 45 minutach goście prowadzili 3:0, ale taki rezultat nie odzwierciedlał przebiegu gry. Chrobry miał swoje okazje, a bliscy zdobycia bramki byli zarówno Michał Kozajda, jak i Mateusz Bartolewski. Wydaje się, że punktem zwrotnym spotkania mogła być sytuacja z 34. minuty. Pogoń prowadziła już wtedy po tym, jak w 14. minucie Krzysztofa Bąkowskiego pokonał Aldrit Oshafi. Dwadzieścia minut później w świetnej, niemal czystej sytuacji znalazł się Kelechukwu Ibe-Torti, ale jego strzał obronił Krzysztof Kamiński. Mogło, a może nawet powinno być 1:1, tymczasem dosłownie sekundy później zrobiło się 0:2. W 36. minucie pięknym i skutecznym strzałem z dystansu popisał się Bartłomiej Ciepiela. To mocno podcięło skrzydła głogowianom, którzy nie zasługiwali na tak niekorzystny rezultat. W końcówce pierwszej połowy dobił ich Kacper Łoś, trafiając dokładnie w 43. minucie.

Niełatwo po takim ciosie wyjść na drugą połowę i próbować jeszcze coś zdziałać. Było to widoczne, choć Pomarańczowo-Czarni również mieli swoje szanse. Ponownie trafiali jednak tylko przyjezdni – a konkretnie Damian Jaroń, który wpisał się na listę strzelców w 69. minucie.

A Chrobry? Bramka Antoniego Klimka nie została uznana z powodu pozycji spalonej. Nie wchodziło też Michałowi Kozajdzie i Agonowi Sadiku.

FOT. CHROBRY GŁOGÓW SA

Chrobry nie sprostał liderowi rozgrywek pierwszej ligi

Bezsilność z przodu mogli ponownie wykorzystać zawodnicy z Grodziska, którzy zwłaszcza w ostatnich minutach mieli okazje, by jeszcze podwyższyć i tak wysokie prowadzenie. Na ich drodze stanął jednak Krzysztof Bąkowski, popisując się interwencją w bardzo groźnej sytuacji.

Cóż, trzeba liczyć na Chrobrego w meczach wyjazdowych, bo to właśnie tam w tym sezonie pokazuje swoją jakość. O podtrzymanie lepszej wyjazdowej formy powalczy teraz w Bytomiu.

Mecz z Polonią odbędzie się w sobotę, 17 października, o godz. 15:30.

CHROBRY GŁOGÓW - POGOŃ GRODZISK M. 0:4 (0:3)

BRAMKI: 0:1 Aldrit Oshafi 14, 0:2 Bartłomiej Ciepiela 36, 0:3 Kacper Łoś 43, 0:4 Damian Jaroń 69.

CHROBRY: 22. Krzysztof Bąkowski - 80. Kacper Tabiś (46, 6. Beniamin Czajka), 8. Jakub Grič, 21. Michał Kozajda, 77. Mateusz Bartolewski - 10. Jehor Szarabura, 5. Radosław Bąk (46, 33. Adrian Bukowski), 24. Kamil Grzelak (80, 51. Alan Rybak), 47. Antoni Klimek (62, 17. Agon Sadiku), 7. Kelechukwu Ibe-Torti (72, 9. Mateusz Ozimek) - 11. Sebastian Strózik.

POGOŃ: 1. Krzysztof Kamiński - 42. Jakub Zbróg (75, 4. Maciej Ruszkiewicz), 2. Kamil Głogowski, 3. Bartosz Dembek, 17. Jakub Niewiadomski, 27. Jakub Konstantyn (80, 99. Oskar Koprowski) - 21. Kacper Łoś, 14. Henry Uzoigwe, 23. Bartłomiej Ciepiela (75, 15. Nikodem Niski) - 9. Radosław Majewski (62, 10. Damian Jaroń), 20. Aldrit Oshafi (62, 19. Hubert Turski).

ŻÓŁTA KARTKA: Jaroń.

SĘDZIA: Mateusz Jenda (Warszawa).

Sukces młodego pięściarza z Legionu Głogów

Grażyna Szyszka
Głogów

Oliwier Szymorek z Legionu Głogów wywalczył brązowy medal Mistrzostw Polski Juniorek i Juniorów w boksie. Zawody odbyły się na przełomie września i października w Ostrowcu Świętokrzyskim.

W mistrzostwach udział wzięło ponad 300 zawodniczek i zawodników. Reprezentant Legionu Głogów rywalizował w licznie i mocno obsadzonej kategorii 70 kg, będącej jednocześnie wagą olimpijską.

Oliwier stoczył cztery pojedynki, z których trzy rozstrzygnął na swoją korzyść, dzięki czemu awansował do strefy medalowej. W półfinale po zaciętej walce uległ na punkty zawodnikowi, który ostatecznie sięgnął po tytuł mistrza Polski.

– Oliwier trenuje w naszym klubie już od czterech lat. Z roku na rok robił coraz większe postępy, jednak dotychczas nie odnosił większych sukcesów. Aż do teraz – zostaje brązowym medalistą Mistrzostw Polski 2026! Jest to ogromny sukces zarówno dla zawodnika, klubu i trenera, jak i dla całego miasta. W męskim boksie medal dla Głogowa został zdobyty kilkadziesiąt lat temu, dlatego wiemy, jak dużą wartość ma dla nas ten sukces – podkreśla Legion Głogów.

FOT. LEGION GŁOGÓW

Oliwier Szymorek z brązowym medalem. To także ważne osiągnięcie klubu z Głogowa

Aby wystartować w Mistrzostwach Polski Juniorów, Oliwier musiał wcześniej wywalczyć kwalifikację. Dokonał tego, wygrywając trzy pojedynki, zdobywając tytuł mistrza okręgu.

Po niezłym meczu piłkarze ręczni przegrali z Wisłą Płock

RED
Głogów

W niedzielnym meczu w Głogowie górą drużyna wicemistrza Polski. Wisła wywozi z Głogowa komplet punktów, ale KGHM Chrobry pokazał, że jest w formie i jest groźny w każdym pojedynku.

Radość na trybunach głogowskiej hali, wypełnionej niemal po brzegi, wybuchła już w drugiej minucie, kiedy to pierwszą bramkę w meczu rzucił Kosznik. Goście odpowiedzieli szybko, bo aż trzema trafieniami z rzędu.

Wydawało się, że Wisła pójdzie za ciosem i szybko zdominuje mecz. Tak się nie stało, głogowianie świetnie bronili, w bramce na wysokim procencie piłki odbijał Dereviankin i choć płoczczanie mieli 2-3 bramki więcej, spotkanie było wyrównane.

Drugą część spotkania Chrobry rozpoczynał z czterobramkową stratą, by po 15 minutach gry zmniejszyć ją do dwóch trafień. Głogowianie byli w gazie i chyba zasiali ziarno strachu w ekipie z Płocka.

I chwilę później Chrobremu przydarzył się przestój, goście rzucili pięć bramek z rzędu i było już wiadomo, że to wicemistrz zainkasuje komplet punktów w tym meczu.

Gospodarze walczyli do końca, swoją pierwszą bramkę w Superlidze rzucił wychowanek Chrobrego Mikołaj Piotrowski. Wisła wyjeżdża z punktami, a Chrobry zostawił po sobie dobre wrażenie po tym meczu.

KGHM CHROBRY GŁOGÓW - ORLEN WISŁA PŁOCK 24:31 (12:16)

KGHM Chrobry: Dereviankin, Stachera - Strelnikov, Stolarski, Zieniewicz, Kosznik 4, Orpik 1, Adamski, Styrcz 3, Mosiołek 1, Paterek 6, Komarzewski 3, Skiba 2, Piotrowski 1, Pavlovskyi 3 ORLEN Wisła: Vujovic, Alilovic - Daszek 1, Szyszko 1, Morales, Szita 2, Richardson 7, Zarabec 2, Fazekas 4, Krajewski 1, Dawydzik 1, Mihic 1, Ilic 2, Bjerre 4, Kosorotov 5

FOT. KGHM CHROBRY GŁOGÓW

Głogowianie walczyli ambitnie, lecz ulegli rywalom

eprasa.pl c1e91c68ff

REKLAMA 0011589842

MATERNA FERMA

SKUP ZBÓŻ

ROWNIEŻ MOKRA KUKURYDZA
SOJA • SŁONECZNIK

ERGO-ROL Sp.z o.o.

513 675 365

NASZE ELEWATORY:
Kiełpiny 57 k.Wolsztyna
Bojadła ul.Kolejowa 11e
Marianki 8, Konotop

- MOŻLIWOŚĆ ODBIORU WŁASNYM TRANSPORTEM
- USŁUGA ZBIORU MOKREJ KUKURYDZY
- SZYBKI PRZELEW

AKTUALNE CENY: www.fermamaterna.pl

eprasa.pl c1e91c68ff